

WYDANIE SPECJALNE NA WIELKANOC

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 15/471 11-18 KWIETNIA 2022
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO PŁACZY

GEOPOLITYKA DUCHA

– Polska między ruskim mirem
a niemiecką Drogą Synodalną

SEMKA o Berlinie po inwazji Rosji:
„Wstrząśnięty, mocno zmieszany”

MASŁOŃ o wspólnych
lekcjach historii dla dzieci
polskich i ukraińskich

WARZECHA o topniejącej
„Partii Ludzi Zdrowego Rozsądku”

GMYZ o tym, co kanclerz Scholz
robił dla reżimu Honeckera

CÓRKA STANISŁAWA BAREI
z pasją opowiada o swoim ojcu

PAWEŁ LISICKI

Kobiety w roli świadków Zmartwychwstania

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 54 000 egzemplarzy

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA
 STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

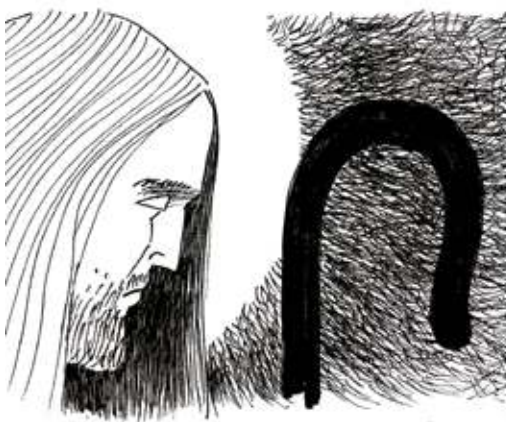


PARTNER
STRATEGICZNY



PARTNER
GŁÓWNY





Niech Zmartwychwstały Chrystus
obudzi w nas to, co jeszcze uspione,
a światło Jego słowa prowadzi nas
przez życie do wieczności

Radosnych Świąt Wielkanocnych
w rodzinnym gronie
życzy redakcja tygodnika „Do Rzeczy”



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zełenski, Orbán i wojna

Dzień przed wyborami parlamentarnymi na Węgrzech prezydent Wołodymyr Zełenski dał do zrozumienia, że głosowanie na Viktora Orbána oznacza poparcie dla Rosji Putina. W nagrany specjalnym oświadczeniu mówił, że polityka premiera Węgier w kontekście rosyjskiego ataku jest niewłaściwa. Według prezydenta Ukrainy Orbán „wydaje się nie w pełni rozumieć, co się dzieje, nie tylko na Ukrainie, lecz także w całej Europie”. Dalej twierdził, że premier Węgier „jest niemal jedynym w Europie, który otwarcie popiera Putina”. Co ciekawe, pomimo że Węgry przyjęły setki tysięcy ukraińskich uchodźców, Zełenski wyraził opinię, jakoby Węgry nie zrobiły „nawet tego, co robią wszyscy inni”. Dalej: „Ze strony Węgier nie widać żadnego wysiłku, by zatrzymać wojnę”. Na koniec podsumował: „Dlaczego więc Budapeszt jest przeciwny całej Europie, wszystkim cywilizowanym krajom? Po co?”.

Przytaczam tu tę wypowiedź, bo obecnie wielu zdaje się o niej zapominać. Każdy znający się cokolwiek na polityce obserwator musiał zauważyć, że to prezydent Ukrainy rozpoczął w ten sposób swoistą wojnę retoryczną z premierem Orbánem.

Łatwo zauważyć, że późniejsza krytyka Zełenskiego przez Orbána, który powiedział, że wygrał wbrew prezydentowi Ukrainy, była jedynie usprawiedliwioną reakcją. I tak samo łatwo dostrzec kolejne pouczenia prezydenta Ukrainy: już po wyborach, po rozmowie z Orbánem, Zełenski stwierdził, że premier Węgier będzie musiał wybrać pomiędzy Rosją a „innym światem” i że Orbán się boi. Ten sam ton pojawia się w innych wypowiedziach ukraińskich polityków. „Zabrałbym premiera Węgier Viktora Orbána do Buczy, by zobaczył tych, którzy zginęli. On nie chce tego wiedzieć, trzeba go pociągnąć do odpowiedzialności. Wspierając Putina, nawet słowami, staje się współnikiem tych zbrodni” – stwierdził ambasador Andrij Deszczyca w Warszawie. Mimo że Orbán nazywa działania Rosjan agresją, to samo już stwierdzenie, że zbrodnie w Buczy muszą być zbadane, zostało uznane za współnictwo w zbrodni.

Jak to się stało, że prezydent Zełenski i inni ukraińscy dyplomaci zaczęli z dnia na dzień występować w roli międzynarodowych nauczycieli moralności? Odpowiedź jest prosta: zdecydowana większość opinii publicznej przyjmuje za dobrą monetę twierdzenie, że w istocie Ukraińcy nie tyle bronią swego kraju przed napaścią, ile występują

w obronie całej Europy, całego cywilizowanego świata. Agresja Rosji na Ukrainę jest w tym ujęciu atakiem na cały Zachód: na Polskę, Unię, Stany Zjednoczone, NATO. Jeśli przyjąć taką perspektywę, to rzecz jest jasna: nie ma mowy o neutralności, a słowa Orbana, że „wojna na Ukrainie to nie nasza wojna”, są niemal zdradą.

W tej roli uniwersalnego nauczyciela ukraińscy dyplomaci występują nie tylko wobec Węgrów. Kilka dni temu ambasador ukraiński w Niemczech Andrij Melnyk napisał: „Ani Rosjanie, ani Niemcy nie mają prawa określać, kogo Ukraińcy czczą jako bohatera. Tak Stepan Bandera, jak setki tysięcy moich rodaków walczyli tak przeciw Hitlerowi, jak przeciw Stalinowi za państwo ukraińskie. Zostawcie nas w spokoju z waszymi pouczeniami”. Czyli nikt nie ma już prawa krytykować Bandery i UPA.

W Polsce wszystkie wątpliwości, które powinny się w związku z tym pojawić, natychmiast są tłumione. Z jednej strony to zrozumiałe, bo Polacy, słusznie, są po stronie ofiary agresji, której sprawcą jest Rosja Putina. Jednak nie może to oznaczać zatracenia zmysłu krytycyzmu i rezygnacji z oceny działań innych państw z jedyne go właściwego punktu widzenia, gdzie miarą są polskie interesy narodowe. ©

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ WE WTOREK 19 KWIETNIA 2022 R.



TEMAT TYGODNIA

18 PAWEŁ LISICKI
KOBIETY W ROLI ŚWIADKÓW
 Odkrycie pustego grobu
 wstrząsnęło zwłaszcza Maryją

KRAJ

24 KAMILA BARANOWSKA
CZAS PREZYDENTA
 Przebudzenie w pałacu

26 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM
CELEM ROSJI JEST ZACHÓD

29 PIOTR SEMKA
**Niemcy wstrząśnięte,
 mocno zmieszane**

32 ŁUKASZ WARZECHA
PARTIA ZDROWEGO ROZSĄDKU

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SZALEŃSTWO ADAMA M.

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
MIŁOŚĆ W PRAKTYCE

KULTURA

38 KRZYSZTOF MASŁOŃ
GDZIE PĘDZISZ, KOZACZE?
 Wspólne lekcje historii dla dzieci polskich
 i ukraińskich

42 PIOTR GOCIEK
REBELIA POLSKA

46 ROZMOWA Z KATARZYNĄ BAREJĄ
JEDNOZNAKI STANISŁAWA BAREI

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 GRZEGORZ KUCHARCZYK
GEOPOLITYKA DUCHA
 Polska między ruskim mirem
 a Drogą Synodalną

60 TOMASZ ROWIŃSKI
**CIEŃ MOSKWY
 NAD WATYKANEM**

62 KRYSZTOF KRATIUŁ
ŚMIERĆ – ODMOWA WSPÓŁPRACY

HISTORIA

66 MACIEJ ROSALAK
KŁAMSTWA ROSJI
 Czym karmi się od wieków społeczeństwo
 rosyjskie

70 TOMASZ LENCZEWSKI
ZAPRZAŃCY CZY KOMBINATORZY?

ŚWIAT

76 JACEK PRZYBYLSKI
ORBĄN POD PRĘGIERZEM
 Wojna na słowa

80 MACIEJ PIECZYŃSKI
BOHATEROWIE Z BRUNATNĄ SKAZĄ

82 CEZARY GMYZ
CZERWONA PRZESZŁOŚĆ KANCLERZA

EKONOMIA

84 JAKUB WOZINSKI
SAUDYJSKI GIGANT W POLSCE
 Najbardziej dochodowa firma świata

86 ŁUKASZ ZBORALSKI
MADE IN POLAND



DODATEK SPECJALNY

WIELKIE POSTACIE POLSKIEJ NAUKI
**POLSKIE PODWALINY GLOBALNEJ
 ELEKTRONIKI**

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (74), PRZYBYLSKI (75),
 GABRYEL, WARZECHA (88), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JĄSTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), NOWAK (97), CEJROWSKI (98)



Pokoju i spokoju
z okazji Świąt Wielkanocnych
życzy PZU



Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Sanitarny Gułag

Szanowna Redakcjo, chciałbym podzielić się kilkoma refleksjami odnośnie do zniesienia restrykcji noszenia maseczek.

Dziś wielki dzień. W Polsce przestał obowiązywać nakaz noszenia maseczek. Wreszcie, po dwóch latach, zerwano z obłudą, z sanitarną hipokryzją. Zdmaskowana została największa w historii

mistyfikacja. Świata została przywrócona twarz, ludzka twarz. Skończyło się, jak przewidywał Naczelny Epidemiolog Świata, Bill Gates, w 2022 r. (choć zdaje się, że chciał ciągnąć to dalej). Ale nie cieszymy się jeszcze, WHO już wkrótce chce zamienić planetę w Sanitarny Gułag. Dlatego proponuję, żebyśmy w Polsce już teraz się zjednoczyli, aby odeprzeć ten atak. Na razie działamy w rozproszeniu, chociaż doceniam bardzo cenne inicjatywy takich organizacji jak Niezależni Lekarze, Nauczyciele dla Wolności, Ordo Iuris czy inicjatywę prezydenta Siemianowicz Śląskich. Jednocześnie jestem niezmiernie wdzięczny Redakcji „Do Rzeczy”, zwłaszcza

Panu redaktorowi Pawłowi Lisickiemu, Panu Jerzemu Karwelisowi, który powinien opublikować swój „Dziennik z czasów zarazy”, Panu Janowi Pospieszalskiemu i wielu innym

osobom, które dociekały prawdy i miały odwagę o niej mówić. Ocalili Państwo wiele osób i dali nadzieję. Bardzo za to dziękuję.

Z wyrazami szacunku
Grzegorz Zientecki

REKLAMA

Z GŁĘBOKIM ŻAŁEM PRZYJĄŁEM WIADOMOŚĆ
O ŚMIERCI



MARKA PASIONKA

ZASTĘPCY PROKURATORA GENERALNEGO
WYBITNEGO PROKURATORA
WSPANIAŁEGO CZŁOWIEKA

RODZINIE I NAJBLIŻSZYM
PRZEKAZUJĘ
WYRAZY WSPARCIA
ORAZ
GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA

ZBIGNIEW ZIOBRO

**MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI
– PROKURATOR GENERALNY**



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoni, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenkowski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmieł, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,

Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Toraniński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Małgorzata Wokczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmieł** (zastępca,
także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja),
Zofia Magdziak, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz
Grzymowicz, Dawid Siemkowski, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (kierownik), **Marta Michałowska,**
Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczak-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**
Okładka: „Noli me tangere” **A.R. Mengsa, FOT. DOMENA PUBLICZNA**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki



MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



BLUZA FREEDOM APPAREL



BLUZA DYWIZJON 303



BLUZA RED IS BAD - NADruk NA RĘKAWIE



BLUZA KRZYŻ ŻUAWI ŚMIERCI



BLUZA MILITARNA - ORZEŁ NASZYWKA



BLUZA ORZEŁ POLSKI PODNISZCZONA TARCZA



KOSZULKA ORZEŁ RYCINA



KOSZULKA FREEDOM APPAREL



KOSZULKA PZL 37 ŁOŚ

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA
PRODUKCJA

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306
eprasa.pl ff6ce59dde

SKLEPY STACJONARNE
Warszawa
• ul. Jagiellońska 88/24
• Plac Piotra Szembeka 4

RED IS BAD™



NA PIERWSZY OGIEŃ

Manifest **Cyber-Dżyngis-Chana**

PIOTR SEMKA

Rosyjska państwowa Agencja RIA Novosti opublikowała manifest „Co Rosja ma zrobić z Ukrainą”. Tekst wyraźnie ma zastraszyć Ukraińców i uświadomić im, co może się zdarzyć w razie dalszego stawiania oporu Władimirowi Putinowi.

Ten upiorny manifest przedstawia plan wyniszczenia ukraińskich elit niepodległościowych pod pretekstem oczyszczania Ukrainy z „wszczepionego im od 30 lat neonazizmu”. Dokument zaznacza, że „jak największa liczba nazistów, która wzięła broń do ręki, powinna być zlikwidowana na polu walk”, co jest pośrednio zapowiedzią niebrania jeńców. Potem przychodzi w dokumencie czas na zapowiedź likwidacji elity ukraińskiej z wyraźnym zaznaczeniem, że „jej reedukacja jest niemożliwa”. I wreszcie trzecia faza już po wygranej wojnie – zapowiedź reedukacji całego społeczeństwa jako „likwidowanie brunatnej dżumy maskującej się dążeniem do niezależności i europejskiej drogi rozwoju”. Sama nazwa Ukrainy ma być wymazana i zastąpiona przez państwo niezależne regiony.

Ten dokument na pewno przejdzie do historii politycznego szaleństwa XXI w.

Zwracają uwagę trzy elementy. Po pierwsze, trwałość myślenia w elitach Kremla ceniącego wyniszczanie i terroryzowanie ludności na podbitych terenach sąsiadujących z Rosją. Szczególnie polski czytelnik zauważy tu analogię do rzezi Pragi w 1794 r., operacji likwidacji Kościoła unickiego na Białorusi po powstaniu listopadowym, eksterminacyjnej polityki Murawiewa na ziemiach litewskich po powstaniu 1863 r. czy też sposobu myślenia Stalina przy wcielaniu „operacji polskiej” w 1936 r. i decyzji o zbrodni katyńskiej w 1940 r. Okazuje się, że to, co uważano za wybryk historii, jest trwałym elementem rosyjskiego myślenia państwowego. Po drugie, szokuje jawność wyklarowanych planów. Wynikać to może z wiary, że takie manifesty sparaliżują wolę oporu zaatakowanej ofiary. Pod tym względem myślenie otoczenia Putina zasadniczo nie różni się od myślenia Dżyngis-chana czy Tamerlana, którzy usypywali piramidy z czaszek zamordowanych przeciwników, aby sparaliżować opór tych, którzy im się przeciwstawiali. Po trzecie, tu również refleksja jest ściśle związana z polskim doświadczeniem historycznym, zwraca uwagę przekonanie Rosjan, że można uczucia narodowe Ukraińców po prostu unieważnić jednym politycznym planem. A przypomnę, że mowa o narodzie, który przetrwał anihilację elit w latach 30. w ramach tzw. rozstrzelanego odrodzenia narodowego oraz ma za sobą wielki głód, który miał Ukraińcom raz na zawsze przetrącić kręgosłup. Z obu tych potwornych prób ukraińska świadomość narodowa wyszła zwycięsko.

Trzeba pychy i perfidii Putina, by takie plany na nowo głośno objawiać światu.

Ala cały ten złowroźny manifest pokazuje skalę zdżeczenia i demoralizacji na szczytach władzy w Moskwie. To nie jest ekipa taka sama jak inne na świecie, z którą można prędzej czy później się dogadać, bo – jak to piszą niemieckie gazety – „Putin nie będzie żył wiecznie”. Owszem, sowiecki satrapa kiedyś umrze, ale pytanie, czy sposób myślenia, który zdradza ten antyukraiński manifest, nie zostanie przejęty przez kolejną generację wojskowych i bezpieczeństwa. To jest najbardziej niepokojące pytanie. ©©



FOT. ALEK MARKOWICZ/RAP

**LUDWIK DORN
NIE ŻYJE**

Publicysta i polityk, współzałożyciel Prawa i Sprawiedliwości, były marszałek Sejmu, wicepremier oraz minister spraw wewnętrznych zmarł w ubiegły czwartek w wieku 67 lat. „Odszedł człowiek, który miał bardzo dobry życiorys, działał [w opozycji – dop. red.] w latach 70., w kolejnych dziesięcioleciach. Działalność Ludwika Dorna to była działalność, która uczyniła dużo dobrego dla Polski. Wybitnie zdolny człowiek” – takimi słowami na antenie Radia Plus Ludwika Dorna żegnał prezes PiS Jarosław Kaczyński. (*jap*) ©©



Czy warto inwestować w eksport?



EKSPORTUJ Z NAMII!

*Zapraszam
do udziału w projekcie!*

Karol Zelewski
Mistrz olimpijski Tokyó 2020



Według szacunków do końca 2022 r. globalna wartość handlu transgranicznego pomiędzy firmami ma wzrosnąć o 30 proc., do 35 bln dol. Jednak wciąż wiele rodzimych firm obawia się uruchomienia sprzedaży na rynki zagraniczne. Pomocą służy Fundusz Górnośląski S.A. wraz z Urzędem Marszałkowskim Województwa Śląskiego za pośrednictwem projektu InterSilesia, skierowanego do przedsiębiorców MŚP właśnie w województwie śląskim. Myśląc o rozwoju firmy poprzez eksport, warto z niego skorzystać

Eksport towarów za granicę umożliwia dotarcie na nowe rynki i pozyskanie nowych klientów, a także pozwala firmie stać się bardziej innowacyjną i konkurencyjną.

Rozpoczęcie sprzedaży na rynki zagraniczne może budzić wiele obaw i wydawać się poważnym wyzwaniem, a także ryzykownym i przytłaczającym przedsię-

wzięciem. Jednak wiele tych obaw wynika z braku odpowiedniej wiedzy, której nabycie wcale nie musi być trudne. Biorąc pod uwagę, jak szybko rozwija się handel międzynarodowy, zdecydowanie warto rozważyć w swojej firmie ekspansję na rynki zagraniczne. Największą korzyścią z rozpoczęcia eksportu jest znaczne poszerzenie swojego rynku zbytu, pozyskanie nowych klientów i zwiększenie dochodów.

SPRZEDAŻ ZA GRANICĄ NIE JEST TRUDNA

Obecnie handel na rynki europejskie jest łatwiejszy niż kiedykolwiek. Dzięki ujednoliconym przepisom w całej Wspólnocie Europejskiej nie trzeba obawiać się procedur prawnych. W przypadku ekspansji na pozostałe rynki konieczne może być zdobycie odpowiedniej wiedzy na temat procedur celno-prawnych. Jednak w tej kwestii przedsiębiorcy w województwie śląskim mogą liczyć na spore wsparcie, dzięki takim projektom jak InterSilesia. Zatem po odpowiednim przygotowaniu sprzedaż międzynarodowa może okazać się równie łatwa jak sprzedaż na rodzimym rynku.

SZUKASZ WSPARCIA? INTERSILESIA SŁUŻY POMOCĄ

Projekt InterSilesia to wiedza i bezpłatne usługi niezwykle przydatne dla

przedsiębiorstw z sektora MŚP prowadzących swoją działalność na terenie województwa śląskiego. Projekt ma w praktyce wzmocnić rozwój handlu transgranicznego oraz podnieść wiedzę przedsiębiorców z zakresu sprzedaży międzynarodowej. Działania podejmowane w ramach projektu mają służyć zarówno doświadczonym eksporterom w ekspansji na kolejne rynki, jak i przedsiębiorcom, którzy dopiero planują działalność eksportową.

TO MUSISZ WIEDZIEĆ

Projekt InterSilesia skierowany jest do mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw prowadzących działalność na terenie województwa śląskiego. Zakończono pierwszy etap rekrutacji – wyłoniono już 40 przedsiębiorców o najwyższej gotowości eksportowej. Otrzymają oni m.in. indywidualny model internacjonalizacji i możliwość uczestniczenia w wizytach studyjnych.

Dodatkowo wszyscy uczestnicy będą mogli skorzystać ze specjalistycznych usług doradczych m.in. z zakresu handlu zagranicznego, finansów, prawa, w tym zagadnień certyfikacji, jak również marketingu i promocji.

Przedsiębiorcy zakwalifikowani do udziału w projekcie będą mogli korzystać z usług świadczonych przez doradców zagranicznych, którzy opracują pakiety informacyjne, zweryfikują potencjalnych zagranicznych kontrahentów, pomogą nawiązać kontakty biznesowe.

JAK SIĘ ZAREJESTROWAĆ?

Aby wziąć udział w projekcie, należy dokonać rejestracji poprzez wypełnienie formularza rejestracyjnego. Więcej informacji o prowadzonej rekrutacji i innych działaniach prowadzonych w ramach projektu można znaleźć na stronie: www.intersilesia.eu oraz na stronie Funduszu Górnośląskiego S.A. www.fgsa.pl.

Wszystkie działania w projekcie są bezpłatne, dzięki współfinansowaniu ze środków Unii Europejskiej w ramach RPO WSL na lata 2014–2020.



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Cicho tam, **Macron!**

Prezydent Francji, Macron, podczas wywiadu telewizyjnego oskarżył polskiego premiera o ingerowanie we francuskie wybory. Dość nietuzinkowe wydarzenie, więc przyjrzyjmy mu się bliżej. Poszło o to, że Mateusz Morawiecki publicznie skrytykował Macrona za wielokrotne telefony do Putina, w których starał się załatwić u zbrodniarza jakąś taryfę ulgową dla robiących z Rosją interesy francuskich koncernów.

Zarzut jest więc o tyle zdumiewający, że polityka wobec Rosji nie jest przedmiotem francuskiej kampanii prezydenckiej. Wobec każdego z konkurentów Macrona określenie „przyjaciół Putina” będzie mniej więcej równie zasadne – spór dotyczy stosunku do Niemiec i Unii Europejskiej,

a nie do Rosji. Krytykując niemoralne zachowanie Macrona, polski premier w żaden sposób więc się do wyborów nie odnosił, nie wskazywał Francuzom, na kogo mają głosować.

A gdyby nawet to zrobił? Przez całą Europę, i Francja bynajmniej nie jest tu wyjątkiem, przetoczyła się właśnie fala połańek pod adresem wybierających swój parlament Węgrów. Zachodni politycy, liderzy opinii, pracownicy mediów, nawet prezydent Ukrainy (choć wydawałoby się, że on przynajmniej ma teraz ważniejsze rzeczy na głowie) uznali się za uprawnionych do pouczania węgierskich wyborców, na kogo im nie wolno głosować. A gdy Węgrzy całkowicie te pouczenia zignorowali i przyznali miażdżące zwycięstwo, po raz piąty zresztą, temu, komu nie

wolno, zachodnie media zakipiwały oburzeniem, nawet obelgami. O nieustającym pouczaniu Polaków w analogicznych kwestiach nawet już nie wspomnę. Ani o innych przejawach poczucia wyższości zachodnich polityków, jak choćby coroczne poparcie zachodnich ambasadorów demonstracyjnie udzielane sprzecznym z polskim prawem i konstytucją roszczeniom skrajnej lewicy spod sztandarów LGBT.

Po prostu – dla liberalnych elit zachodnich, wciąż niewyrosłych z kolonialnego poczucia rasowej wyższości, pouczanie w tamtą stronę jest oczywiste. Ale żeby jakieś dzikusy ze Wschodu miały czelność krytykować ICH? No nie dziwota, że tu Macronowi nerwy puściły i „stracił okazję, żeby siedzieć cicho”. ©©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Tuszczyzna **na dnie**

Angela Merkel oświadczyła, że nie chce Ukrainy w NATO. Owszem, jest „tylko” byłym kanclerzem, ale w końcu były szef rządu to nie byle co, to tak jak Donald Tusk u nas. Robiąc to porównanie, należy oczywiście widzieć różnice. Tusk jest (tak to nazwijmy) kontrowersyjnym przywódcą opozycji, podczas gdy kanclerz Merkel jest niekwestionowanym narodowym autorytetem. Jej deklaracja przeciw udziałowi Ukrainy w przymierzu atlantyckim ma więc tym większe znaczenie, również dla pokoju. Jeżeli bowiem Ukraińcy sugerują, że mogliby przyjąć status międzynarodowo gwarantowanej neutralności, to tym bardziej wspierające ich państwa, w ramach koniecznej

presji na Rosję, powinny deklarować gotowość zaproszenia Ukrainy do NATO.

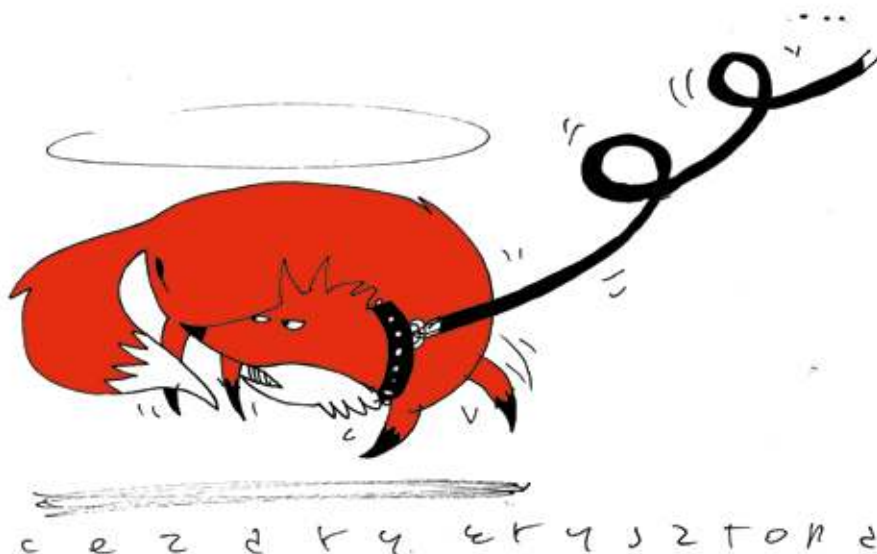
Wydawałoby się więc, że Tusk w sprawie deklaracji byłej kanclerz powinien z urzędu zwrócić się nie tyle nawet do niej, ile do jej partii, o zajęcie wyraźnego, przeciwnego stanowiska. W innym wypadku można założyć, że była liderka mówi głośno to, co nowi przywódcy CDU myślą po cichu. Ale Tusk jak Tusk, silnych nie rusza, winnych szuka gdzie indziej. Zamiast krytykować niewiele znaczące Niemcy – krytykuje znacznie bardziej wpływowe w Europie Węgry. Oczywiście też nie wprost. Jako nieskazitelną demokrację nie mógłby przecież krytykować decyzji wyborców.

Atakuje więc Viktora Orbána, choć przecież Orbán nie wybrał się sam na kolejną kadencję, i oczywiście PiS, choć PiS wielokrotnie częściej krytykował w ostatnich tygodniach węgierski Fidesz niż Tusk sojuszników Putina w europejskiej federacji, którą kieruje.

Stara chrześcijańska zasada każe „zaczynać od siebie”, więc najpierw do siebie odnosić kryteria, według których oceniamy innych. Mądrość wyborczej demokracji, którą Tusk tak ukochał, każe jednak kryteria stosować wyłącznie do oponentów. Oczywiście ta reguła ma również swoją wielką wartość moralną, bo w sposób doskonały gwarantuje spokój zostawianego w spokoju sumienia. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Nawet nie wieccy panowie nie
zawsze są w stanie opłukoi Red Lisa



PIECZEŃ RZYMSKA

A dziad wiedział, nie powiedział

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

We włoskich mediach doszło do potężnego wylewu analiz uczonych ludzi, którzy przekonują, że na dobrą sprawę człowiek bystry jak oni powinien był już w 2007 r. przewidzieć, że Rosja zaatakuje Ukrainę. Wystarczyło właściwie odczytać prorocze znaki. Odwołują się do wystąpienia Putina na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium sprzed 15 lat, w którym KBG-ista labiedził, że Zachód haniebnie Rosję oszukał, przyjmując do NATO byłe kraje Układu Warszawskiego i państwa bałtyckie. Przekonują też, że ludzie nieco mniej przenikliwi powinni byli wyciągnąć wnioski z aneksji Krymu, a najpóźniej z lektury eseju Putina z lipca ubiegłego

roku o wspólnym duchowym dziedzictwie Rosji i Ukrainy.

Niepomiernie jednak dziwi, że ci obdarzeni przez Boga lotnym umysłem ludzie, m.in. Federico Fubini z „Corriere della Sera”, który kilka dni temu poświęcił proroczym znakom zapowiadającym ukraińską hekatombę potężny tekst, dotychczas trzymali tę bezcenną wiedzę wyłącznie dla siebie. Nasuwa to brzydkie, choć graniczące z pewnością podejrzenia, że włoscy politolodzy i analitycy doznali tej iluminacji dopiero w lutym tego roku, gdy Putin rozpoczął wojnę. Przypominają nieco ekonomistów, którzy potrafia doskonale wytłumaczyć przyczyny wszystkich katastrof finansowych i gospodarczych, ale

nie potrafią żadnej przewidzieć czy jej zapobiec.

Inną ciekawostką włoskich rozmów i telewizyjnych dyskusji o wojnie na Ukrainie jest to, że dzięki połączeniu internetowemu ton narzucają w nich goście z Rosji, tacy jak kremłowski ideolog Aleksandr Dugin czy propagandysta Putina Władimir Sołowjow. Cyniczni łgarze zapraszani są do włoskich telewizji w imię dogmatu o udzielaniu głosu wszystkim stronom konfliktu. W efekcie rosyjska propaganda zalewa Italię praktycznie bez przeszkód. Skutek jest taki, że Włosi, już bez udziału Rosjan, w jednym z programów zacięcie dyskutowali o tym, czy rosyjskie zbrodnie w Buczy nie są aby ukraińską mistyfikacją. Zdania były podzielone. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



FOT. ANIELA GRADWA

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

Celebrytka Blanka Lipińska, znana jako autorka thrillera erotycznego, na podstawie którego niestety nakręcono też film, postanowiła w końcu opowiedzieć o swojej relacji z Baronem, basistą zespołu Afromental. Para bardzo chętnie obnosila się ze swoim uczuciem w mediach społecznościowych, ale jakiś czas temu doszło do rozstania. Baron znalazł nową partnerkę, a Blanka długo – jak donosiły plotkarskie media – leczyła złamane serce. Ale teraz czuje się już lepiej, więc postanowiła, że o swoim związku może zacząć trochę opowiadać. – Ja czuję, że ta relacja była gigantyczną lekcją dla mnie, która mnie bardzo dużo nauczyła, i ja jestem bardzo wdzięczna za tę lekcję. Nie postrzegam już relacji na zasadzie porażek albo krzywdzenia, tylko lekcji, która musiała się odbyć w danym czasie, to mnie bardzo dużo nauczyło. Nie wiem, czy to akurat kwestia tego, że to był Baron, czy gdyby to był Zdzisiek Kowalski, to by było tak samo. Natomiast jestem mądrzejsza – zdradziła portalowi Pudelek. – Między nami nie ma złej krwi. Między nami tylko nie ma przyjaźni – dodała. I dlatego właśnie Blanka pracuje nad scenariuszem filmu przedstawiającego „ostrą historię pisarki i gitarzysty”. Zemsta zranionej kobiety potrafi być okrutna.

TEŻ MAMY DOŚĆ

Marianna Schreiber, żona ministra i polityka PiS, która chciała zostać modelką, a teraz robi wszystko, by show-biznes o niej nie zapomniał, zapowiedziała, że chce spróbować swoich sił w polityce. Planuje założyć partię i wystartować w wyborach w 2023 r. Nowa partia ma się nazywać Mam Dość i ma to być „coś pomiędzy prawicą a lewicą”, jak sama zapowiada. – Czy mój program rozwiąże problemy? Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie w tej chwili. Wierzę, że znajdą się fachowcy, którzy mnie wesprą. Wielu z Was stwierdzi, że w pojedynkę jestem na przegranej pozycji, a tworzyć coś samemu jest bardzo ciężko, dlatego wierzę, że razem nam to się uda. Dlatego za jakiś czas, letnią porą, widzimy się w każdym miejscu w Polsce – zapowiada na wrzuconym do sieci filmiku. – Partia Mam Dość przełamie te wieczne kłamstwa, puste obietnice, wieczne przepychanki lewicy z prawicą! My mamy tego dość, chcemy nowości, chcemy prawdy, chcemy właściwych rozwiązań – dodaje. Cóż, najwłaściwszym rozwiązaniem byłoby odcięcie pani Schreiber od Internetu. Bo świat też ma już dość. Jej.

DO ZOBACZENIA?

Aktor i celebryta Antek Królikowski po fali krytyki, jaka spadła na niego, gdy postanowił, że na organizowanej przez niego gali MMA pierwszą walkę stoczą ze sobą sobowtóry Żelenskigo i Putina, postanowił zerwać z show-biznesem. Przynajmniej tak zadeklarował. Choć początkowo jeszcze próbował bronić swojego pomysłu, tłumacząc, że była to prowokacja, która miała pomóc zbierać mu pieniądze na Ukrainę, to nikogo nie przekonał. Widząc, co się dzieje i jak jego wizerunek szoruje po dnie, nagrał krótkie wideo, w którym przeprosił za swój głupi pomysł. – Kochani, w związku z ostatnimi wydarzeniami chcę ogłosić, że rezygnuję ze współpracy



FOT. PAVEL WODZINSKI/FAST NEWS

z federacją Royal Division. Promowanie gali skojarzeniami z tą okropną, potworną wojną, która toczy się za naszą wschodnią granicą, było złą drogą. To było złe. Ponośzę tego konsekwencje i zrobię wszystko, żeby pomóc ofiarom wojny na Ukrainie. Obiecuję – zapowiedział. – Teraz jednak muszę zadbać o zdrowie. Ostatni miesiąc to dla mnie ciężki czas. Nie mogę udawać, że wszystko jest OK, że jestem zdrowy i silny. Muszę się wykurować, bo mam dla kogo żyć. Dlatego znikam. Żałuję, że zawiodłem. Żałuję, że to zaszło za daleko. Do zobaczenia – zakończył. To ostatnie wskazuje na to, że mimo wszystko planuje wrócić. I to jest zła informacja.

TAKA NIENAWIŚĆ

O komentarz do głupiego pomysłu Antka Królikowskiego została poproszona jego eksdziewczyna, celebrytka Julia Wieniawa. – Ja mam swoje zdanie na ten temat. Myślę, że podobne do reszty. Było to słabe i jest to słabe, ale cieszę się, że Antek się z tego wycofał, i mam nadzieję, że wróci na dobrą stronę mocy po prostu – stwierdziła w rozmowie z portalem Pomponik. Po czym wyznała, że ma sentyment do byłego partnera, wobec czego nie chce go oceniać. – Mnie jest po prostu przykro, kiedy widzę, co się u niego dzieje. Mogę to tylko z boku obserwować, ale życzę mu dobrze. Nie mam do niego takiej nienawiści jak cała Polska – dodała. Bidulek. Jeszcze trochę i uwierzmy, że Antek to ofiara całej sytuacji, a nie jej główny bohater i pomysłodawca. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy w szoku i współodczuwamy z osobą korespondencyjną (w języku polskim – korespondentką) zachodnich mediów, która będąc w tym kraju, podróżowała pociągiem i zobaczyła w nim słowo „WARS”.

Chodzi o kors o nazwę wagonu restauracyjno-sypialnego w tenkrajowych liniach kolejowych. Osobie nazwa ta skojarzyła się ze słowem „WAR”, które – info dla mniej wykształconych z niewielkich ośrodków – oznacza po angielsku wojnę.

Rozumiemy wynikający z tego dyskomfort, ale jednak chcemy zwrócić uwagę na inne dwa aspekty, które na szczęście chyba przeszły niezauważone – i całe szczęście, bo siara w chooy przed Europą byłaby jeszcze większa.

Po pierwsze, śniadanie z menu, którego zdjęcie wrzuciła osoba korespondencyjna, nazywało się „Śniadanie Wars 240 g”, a w jego skład wchodziło dużo produktów odzwierzęcych. Co oczywiście nie powinno być dopuszczalne. Po drugie, o ile nam wiadomo, Wars pochodzi z tej samej legendy co Sawa, która została wyrugowana z przestrzeni publicznej tylko dlatego, iż – najprawdopodobniej – nie miała penisa, a więc była gorsza, mniej warta uwagi i niepotrzebna. Musimy serio zwrócić uwagę na takie niuanse, bo to świadczy o nas i naszej wrażliwości, kochani.

A osobie korespondencyjnej musimy poradzić, iżby unikała podróży nad

Wartę, a gdyby ją naszła ochota na piwewko, to nie polecamy Warki. Warto... ups, trzeba za to polecić naszą postępową stolicę, która nazywa się Warszawa i chociaż Sawawars byłoby słuszniejsze, iżby oddać Sawie za lata

wyrównywaniu szans i równaniu do najlepszych? Of kors pewnym problemem tu może być, iż „najlepsi” są utożsamiani z biologicznymi mężczyznami. Jest to jednak tylko kwestia nazewnictwa, wydaje nam się, iż można temu zapobiec. Dlatego my jesteśmy jak najbardziej na tak.

Pakie Donaldzie, czy w związku z paną skutecznym wsparciem opozycji na Węgrzech zdecydowałby pan we współpracy w Polsce?



*... a nie... Zdzisław...
ce 22 44 6 5 7 3 2 1 0 2*

nieobecności w dyskursie, to i tak nie jest źle jak na standardy tego kraju.

Ledwo Wielka Brytania niedawno wyszła z Unii Europejskiej, a już od premiera Johnsona słyszymy potworne słowa, iż biologiczni mężczyźni nie powinni startować w zawodach z waginoosobami.

To jest, kochani, seksistowskie i mega krzywdzące, iż traktujemy w ten sposób waginoosoby jako z automatu słabsze i gorsze, skazane na klęskę, porażkę i kompromitację.

A może by tak popatrzeć na to jako na naturalne zjawisko polegające na

Jak się w ogóle, kochani, macie w przededniu Spring Holidays? My się bardzo poważnie zastanawiamy, czy aby przy tej okazji na pewno jechać do mniejszego ośrodka, a w zamian może lepiej byłoby zostać w naszych wielkich ośrodkach.

No bo pomyślcie sami, co was czeka w Polsce B? Najpierw churching na skalę niespotykaną w ciągu roku nawet dla przeciętnego katola, w międzyczasie święcenie pokarmów – tradycyjny obrzęd, w którym nie ma miejsca na nasze tofu albo kiełki sushi, a na koniec trzy kółka

wokół kościoła w niedzielę o 6 rano albo – jeśli ktoś ma szczęście – w sobotę wieczorem, żeby osoby płodzące się nie czepliły i dały te słoiki.

A w zamian co? Ani niczego dobrego nie zjecie, bo wszędzie te jajka, ani prezentów nie ma, ani Kevina w telewizji. Jednak wolimy Winter Holidays, z każdym rokiem widzimy to wyraźniej. ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/MWIZWO)

PODSŁUCHANE

Straszny film

He, he, zobacz, Andrzej, dobra wiadomość: Zbyszek ma teraz problem. Ale że w związku z czym, Mateusz?

A jakie on ma inicjały?

No tak... Tylko że wiadomo – nie

będzie przecież imienia i nazwiska zmieniał.

Jasne. Ale skojarzenie...

Mówią mi moi PR-owcy, że to działa podświadomie.

Poza tym widziałeś jego koszułę?

Nie przyglądałem się. A co?

On ma niektóre na zamówienie.

I na mankietach ma inicjały wyhaftowane.

Fakt, słabo.

Niektóre media też po tyłku dostaną. Weź choćby to radio, wiesz które. Będą mieć problem.

Jedno mnie martwi: kiedyś udzieliłem wywiadu i powiedziałem, jaki był mój ulubiony film w dzieciństwie. Jak się dogrzebią...

I co to był za straszny film?

„Znak...”. Wiesz czego. Lepiej nie mówić głośno. ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zbójckie raty naszych kredytów to cena za niewiedzę Glapińskiego i złotoustego Morawieckiego”.

SYMION HOŁOWNIA, szef partii Polska 2050, na Twitterze



Zaczynamy od wielkiej kasy. W sprawie forszy z Krajowego Planu Odbudowy wielkie zamieszanie. Źródła potwierdzają, że sprawa klepnięta i bliska finału. Ale Polska wysunęła dodatkowe sugestie, żeby nie płać żadnych kar, a ponadto, żeby Komisja Europejska wybiła z głowy TSUE antypolskie wybryki. Więc rozmowy się przedłużają.

Jednocześnie znów zaczął mieszać nasz najbliższy geograficznie sojusznik. Otóż wysłał sygnał do Brukseli, żeby jednak Polakom przykręcić śrubę. Czyli zablokować KPO i zwlekać, jak długo się da, z pieniędzmi dla milionów kobiet i dzieci z Ukrainy przyjeżdżających w Polsce. Wszystko dlatego, że najbliższy geograficznie sojusznik zaniepokojony jest tym, jak bardzo Polska zyskuje na znaczeniu w nowej konfiguracji.

Skąd o tym wiemy? Jak powszechnie wiadomo, sojusznicy się nie szpiegują. Jeśli już, to wymieniają informacje. Otóż powyższe informacje otrzymaliśmy od innych naszych sojuszników. Bardzo dużych. Nie należących do Unii, ale należących do NATO. No i im te zabiegi bardzo się nie podobają. Do tego stopnia, że nas o tym poinformowali. Nas, czyli dwóch Panów G. Nasi więksi sojusznicy wiedzą bowiem, że poniedziałek w wielu polskich instytucjach zaczyna się od lektury naszej rubryki. Zresztą wiemy też o paru ambasadach.

Ach, ta Unia! Wszyscy chcą teraz w niej być jak Kaczyński i Morawiecki! Po tym, jak Fantastyczna Czwórka pojechała miesiąc temu do Kijowa, teraz każdy chce jechać do Kijowa. O czym świadczy Wielka Kijowska Wyprawa Unijna odprawiona w miniony piątek. Europosłowie i posłowie z 12 krajów plus Ursula von der Leyen oraz Josep Borrell. Wielkie rzeczy dzieją się na Podkarpaciu. Hotele w Rzeszowie nigdy takich delegacji nie widziały.

Wyprawa ruszała jednak nie z Rzeszowa, lecz z Przemyśla, gdzie towarzystwo załadowano do pociągu na Kijów. Wyposażony przednio w kamizelki kuloodporne oraz hełmy. Cóż, będziecie musieli więc sobie wyobrazić Rycha Czarneckiego i Kosmę Złotowskiego w kamizelkach kuloodpornych. Owszem, to jedyni polscy człon-

kowie tej delegacji. Ale pikantnej pizzy Biden nie zamawiali.

Ciekawa rzecz – eurodepy chcieli jechać do Kijowa już dwa tygodnie temu, ale sprzeciwiła się temu Roberta Metsola, przewodnicząca europarlamentu. Nie dlatego, że ma coś przeciw Ukrainie, ale dlatego, że oświadczyła, iż najpierw to ona musi pojechać. No i pojechała. Tu kończymy żarty, bo nasze brukselskie wiewiórki mówią, że Roberta wróciła z Ukrainy w stanie ciężkiego szoku i poruszenia. Rzeczy, które tam widziała, musiały wstrząsnąć matką czworga dzieci.

Wielki Post jeszcze się nie skończył, a my już wiemy, że znów w tym roku został zmarnowany. A to przecież okazja do pokuty i szczerzej obietnicy poprawy. Niestety, nawet wojna na Ukrainie nie przyczyniła się do refleksji. Zaraz, zaraz, o czym panowie gadają w Warszawie? – zapyta niejeden czytelnik. Cóż, jak zwykle o Eine Totalposition.

Szymon Płaczliwy Hołownia znów dał popis. Tym razem z zapalniczką i banknotem stułotowym. Że niby władza ukradnie dobrym Polakom pieniądze, żeby rozdać złym Polakom. Czyli wszystko przepali. Najbardziej

zaciekało nas, że zdaniem Szymona przez rząd PiS niedługo nie będzie miał gdzie mieszkać.

Mamy rozwiązanie. W Sankt Petersburgu właśnie się pojawiło mieszkanie do wynajęcia. Oferuje je Swietłana Kriwonogich, kochanka Putina. Niebrzydkie, w pokoju dzieciennym jest karuzela. Nawet tak płaczliwy i rozkapruszony chłopak jak Szymon będzie się czuł jak w raju. Na pytanie, skąd wziąć 700 tys. rubli miesięcznie na wynajem, nie musimy odpowiadać. Szymon to mistrz zbiorów. W razie czego może też zapytać Ryśka Petru, jak pożyczyć parę milionów na partię i nie oddać.

WNajwyższej Izbie Kontroli wybiło szambo. Dosłownie. Zakończyła się kontrola w sprawie awarii Czajki. Wyniki są miażdżące. Warszawski ratusz skrewił, gdzie tylko mógł. Zasadniczo prezes NIK powinien natychmiast odpalić raport w tej sprawie. Wysłać zawiadomienia w sprawie popełnienia itp. Marian Banaś jednak kazał, by szambo zaczopować. To znaczy skitrać wyniki kontroli tak długo, jak się da, by nie zabrudziło ulubionych przez Rafcia jasnych spodni. Tych samych, które włożył na spotkanie z Bidenem.

WNIK w ogóle się dzieje. Maryjan, tak bowiem nazywają szefa NIK jego podwładni, pożarł się z Banasiem. Nie chodzi o to, że pożarł się z samym sobą. Pożarł się z własnym synem, który do niedawna robił za jego głównego i suto opłaconego doradcę. Aby się trochę odprężyć, Pancerny Maryjan postanowił wyruszyć z wykładami po delegaturach NIK. Złe języki mówią, że ma to być wstęp do stworzenia partii politycznej. Słoneczko, jak widzicie, w tym roku szybko zaczęło mocno przygrzewać, a ludzie chodzą bez czapek.

Żegnamy Ludwika Dorna. Z prawdziwym żalem, bo równy był z niego chłop. Lutek miał łeb jak sklep i lubił pogadać, nawet jak nie miał w tym żadnego interesu. I potrafił ugościć. Rzadkość wśród polskich polityków. Miał też – kolejna rzadkość – poczucie humoru. Żegnamy Ludwika Dorna cytatem z jego własnego wiersza zatytułowanego „Dorastanie”. „Na ten grób nieznany i na mgłę leniwą / Żegnaj słodkie wino, witaj gorzkie piwo”. ©©

dwaj panowie



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



SIEJMY DOBRO

Pomóż **zdolnej młodzieży**
z małych miast i terenów wiejskich

Przekaż nam **1%**
swojego podatku

KRS 0000150776

Miłość rodzi się z wdzięczności

Jesteś wart tyle, ile warte jest twoje serce – pisał do młodych Francuzów św. Jan Paweł II. – Cała historia ludzkości jest historią potrzeby kochania i bycia kochanym. Miłości nie da się nauczyć z najpiękniejszych nawet książek, wierszy czy filmów. Prawdziwa miłość rodzi się z wdzięczności za otrzymany dar od drugiej osoby. Ta dialektyka pomocy i bezinteresownej służby drugiemu człowiekowi kształtuje serca podopiecznych Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia”.

BEZINTERESOWNY DAR Z SIEBIE

Pomoc udzielana przez Fundację „Dzieło Nowego Tysiąclecia” to nie tylko wsparcie finansowe, lecz także formacja w duchu św. Jana Pawła II. Stąd też jednym z elementów programu stypendialnego jest udział stypendystów w wolontariacie. Podopieczni Fundacji m.in. udzielają darmowych korepetycji, włączają się w zbiórki żywności, ubrań i pieniędzy na rzecz potrzebujących,

odwiedzają szpitale, hospicja, przygotowują świąteczne paczki dla podopiecznych domów dziecka, piszą kartki z życzeniami do osadzonych w zakładach karnych.

Od pierwszych dni wojny na Ukrainie stypendyści włączyli się także w pomoc na rzecz uchodźców. Jednym z wielu miejsc, w których zaakcentowali swoją obecność, jest Dworzec Główny w Krakowie, gdzie w punkcie pomocy, zorganizowanym przez Kościół, rozdają posiłki, ubrania, środki higieny, pomagają w załatwieniu formalności, a czasami po prostu są dla tych, którzy tęsknią za ojczyzną i bliskimi, którzy zostali na Ukrainie. W innych miastach akademickich stypendyści pomagają sortować dary, przygotowują posiłki, organizują kiermasze i zbiórki na rzecz uchodźców, animują zabawy dla dzieci. Nie brakuje również tych, którzy zaprosili uchodźców do swoich studenckich mieszkań.

Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia” przeznaczyła dodatkową pulę 50 stypendiów

dla zdolnej i niezamożnej młodzieży z Ukrainy, która uczy się w Polsce. Każda z 16 wspólnot akademickich przygotowuje „wielkanocny koszyk” dla dzieci uchodźców z Ukrainy. Znajdą się w nim słodycze, artykuły szkolne i zabawki. Podczas wakacji Fundacja we współpracy z seminariami w Radomiu, Opolu i Warszawie, zorganizuje trzy ośmiodniowe turnusy „Wakacji z uśmiechem” dla grupy ok. 300 młodych osób z Ukrainy. Uczestnicy wyjazdów poznają kulturę i historię Polski, a także osobę św. Jana Pawła II. Posługę wychowawców i tłumaczy podejmą stypendyści Fundacji.

DAR, KTÓRY KSZTAŁTUJE SERCA

Zarysowana pokrótce postawa bezinteresownej służby na rzecz potrzebujących rodzi się w sercach stypendystów z poczucia wdzięczności, że to oni jako pierwsi otrzymali pomoc. Comiesięczne stypendium to nie tylko pomoc finansowa, która pozwala na opłacenie mieszkania lub

bursy, dojazd do dobrego liceum oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów od domu, zakup pomocy naukowych, komputera, tabletu czy kursu językowego. Dla stypendystów to także świadomość, że ktoś podzielił się tym, co ma, aby oni mogli zrealizować swoje marzenia. Ktoś uwierzył w ich możliwości, a także złożył w nich nadzieję, że wezmą oni w przyszłości odpowiedzialność za ojczyznę i Kościół.

Program stypendialny Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia” można również wesprzeć przekazując **1 proc. swojego podatku dochodowego**, podając nr KRS Fundacji: **0000150776**. Wspierając w ten sposób program stypendialny, dajemy nie tylko możliwość wyrównania szans edukacyjnych dla blisko dwóch tysięcy młodych ludzi z małych miejscowości. Przede wszystkim siejemy w ich sercach dobro – dobro, z którego rodzi się wdzięczność, a z niej miłość do Boga, siebie, drugiego człowieka i ojczyzny.

ks. dr Łukasz Nycz

DROGA KRZYŻOWA W JEROZOLIMIE

Via Dolorosa – droga cierpienia, którą przemierza Jezus – to droga prowadząca przez Stare Miasto w Jerozolimie. Zaczyna się od medresy Omara. To tam, na dziedzińcu dawnych koszar tureckich, zlokalizowana jest I stacja drogi krzyżowej. Kaplicą I stacji jest kościół Skazania. Ostatnią – XII stacją – jest bazylika Grobu Świętego.

Nabożeństwo drogi krzyżowej odprawiane jest w Jerozolimie w każdy piątek. Udział w nim umożliwia uzyskanie odpustu zupełnego. **(luz)** ©

FOT. MUHAMMAD AWAD/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES







Paweł Lisicki

Dlaczego kobiety wybrały się same do grobu, skoro – jak pisze Mateusz – wystawiono tam najprawdopodobniej straż świątynną? I po co szły namaścić ciało, skoro przed nimi, od razu po zdjęciu z krzyża, zrobili to Józef z Arymatei i Nikodem?

Kiedy Jezusa pojmano w Getsemani, „wszyscy Go opuścili i uciekli” (Mk 14, 50). Następuje śmierć na krzyżu i złożenie do grobu. Wszędzie tam jest jednak przy Nim Maria Magdalena. To właśnie chwila, kiedy jej obecność najwyraźniej się zaznacza.

Ewangelisci piszą, że Maria była w gronie tych, które podążyły za Jezusem na święto Paschy do Jerozolimy. Później, gdy było już po wszystkim, podążyły do Jego grobu. „Cel, jakim było namaszczenie zwłok, wskazuje też na inny zamiar kobiet: chciały w grobie opłakać swego mistrza. W wypadku skazanych przestępców prywatna lamentacja była dopuszczalna” – pisze Craig A. Evans. „Woności miały zostać użyte do natarcia zwłok, tak by zamaskować nieprzyjemny odór”. Kobiety zapewne spodziewały się natrafić na strażnika, który pilnował, by nie przenoszono zwłok z miejsca hańby do miejsca czci, oraz pilnował przestrzegania zakazu publicznego opłakiwania straconego skazańca. Studia szkieletów pokazują, że przeciętna kobieta miała 150 cm wzrostu i często ważyła mniej niż 45 kg, przeciętny mężczyzna ważył 60 kg i miał 160 cm wzrostu. Kamienie zamykające grób ważyły ok. 200 kg i bardzo trudno było je odsunąć – dodaje amerykański badacz.

Dlaczego kobiety wybrały się same do grobu, skoro – jak pisze Mateusz – wystawiono tam najprawdopodobniej straż świątynną? I po co szły namaścić ciało, skoro przed nimi, od razu po zdjęciu z krzyża, zrobili to Józef z Arymatei i Nikodem? Na pierwsze pytanie starałem się odpowiedzieć we wcześniejszej książce. Jak wynika z opisu Mateusza, straż wystawiono po tym, jak kobiety odeszły sprzed grobu, nie musiały zatem



Kobiety w roli



„Trzy Marie u grobu”, obraz Jana van Eycka FOT. DOMENA PUBLICZNA

wiedzieć, jaką przeszkodę napotkają. Co zaś się tyczy Nikodema, który „przyniósł około stu funtów mieszaniny mirry i aloesu”, a potem wraz z Józefem „wziął ciało, owinął je w płótna z wonnościami, zgodnie z żydowskim zwyczajem grzebania umarłych” (J 19, 39–40), to najprawdopodobniej kobiety nic nie wiedziały o jego związku z Jezusem. Tak jak Józef był on, o ile w ogóle, uczniem ukrytym.

WSTRZĄS I ZASKOCZENIE

Obserwujące grób Maria Magdalena i pozostałe kobiety musiały sądzić, że ciało Jezusa nie zostało namaszczone jak należy. Pogrzeb był szybki, zmierzch zapadał, nie było czasu na przepisane prawem lamentacje, obmycie zwłok, ich staranne namaszczenie. Nic nie wskazuje też na to, by kobiety przypuszczały, że czeka je niespodzianka. Choć były świadkami zapowiedzi zmartwychwstania jeszcze w Galilei, to słowa Mistrza traktowały zapewne tak jak i inni uczniowie: widziały w nich metaforę. Myślały tak jak Marta, która mówiąc o swym bracie Łazarzu, rzekła: „Wiem, że zmartwychwstanie przy zmartwychwstaniu w dniu ostatecznym” (J 11, 24).

„Odkrycie pustego grobu z pewnością wstrząsnęło kobietami, szczególnie Marią, matką Jezusa, kiedy wieść o tym do niej dotarła. Znaczyło to bowiem, że ciało Jezusa zostało przeniesione” – zauważa Evans. „Ponieważ Jezus zmarł w piątek, niedziela była trzecim dniem po śmierci, a zgodnie z żydowską tradycją twarz umarłego nie dawało się rozpoznać czwartego dnia. Dlatego kobiety wiedziały, że jeśli ciało Jezusa nie zostanie odnalezione tego dnia, to zapewne nigdy nie uda się ustalić Jego tożsamości i nie da się odzyskać Go i przenieść do grobu rodzinnego w oznaczonym czasie w przyszłości” (s. 137). Z pewnością ewangelisci trafnie oddają miotające kobietami uczucia po tym, jak dostrzegły pusty grób. Były to lęk i zdumienie (Mk 16, 8). To one właśnie przepełniły Marię Magdalenę, kiedy to w niedzielę wczesnym rankiem – czy to o brzasku, czy kiedy jeszcze było ciemno – ruszyła wraz z kilku innymi kobietami oddać Panu ostatnią posługę.

Pierwsza zapewne dotarła do grobu ta, z której wcześniej Jezus wypędził siedem czartów. To moment, kiedy rodzi się nowa Magdalena. Świadek zmartwychwstania, a jak nawet chcą niektórzy – prawdziwa założycielka

świadków



chrześcijaństwa. „Cała tożsamość Marii z Magdali zawiera się w tym, że u kresu swojej podwójnej wędrówki dokonuje ona odkrycia przed pustym grobem” – pisze Burnet (s. 57). I dodaje: „Bez Marii Magdaleny nie ma chrześcijaństwa: stanowi ona pierwsze ogniwo w łańcuchu przekazujących wieść o zmartwychwstaniu”.

JÓZEF I NIKODEM – UCZNIOWIE W UKRYCIU

Prawdą jest, że Maria Magdalena, choć nie ona sama, bo wraz z innymi kobietami, stała się jedynym poręczycielem tożsamości grobu. Ucieczka uczniów sprawiła, że tylko kobiety mogły odnaleźć grób, w którym złożono Jezusa. Bez nich nigdy nie byłoby pewności, że miejsce pochówku jest tym samym, co miejsce zmartwychwstania. Słusznie pisze zatem Silke Petersen, że „Maria z Magdali związana jest w najwcześniejszych źródłach z dwoma wydarzeniami mającymi fundamentalne znaczenie dla wiary wielkanocnej: jako świadek

na ten zasadniczy epizod starano się na przestrzeni wieków nadać postaci Magdaleny istotną wagę” (s. 17). Można wątpić. Owszem, tylko Ewangelia Jana opisuje spotkanie Magdaleny z Jezusem, którego zresztą ta bierze początkowo za ogrodnika. Jednak u Jana, inaczej niż u Mateusza, Marka i Łukasza, nie jest ona gwarantem tożsamości grobu. Według Jana przebywa wprawdzie pod krzyżem Jezusa z Marią, matką Galilejczyka, i Marią, żoną Kleofasa (J 19, 25), jednak nie obserwuje miejsca złożenia zwłok. O tym, gdzie położono ciało Jezusa, wiedzą Józef z Arymatei i Nikodem (19, 38–40). W jaki sposób odnajduje Go Maria Magdalena? „Pierwszego dnia tygodnia, wczesnym rankiem, kiedy było jeszcze ciemno, przyszła do grobu Maria Magdalena i zobaczyła kamień odsunięty od grobowca” (J 20, 1). Skąd wiedziała, że to ten, a nie inny grobowiec? Albo jednak Maria patrzyła, gdzie złożono Jezusa, albo dowiedziała się o tym od Józefa i Nikodema. To drugie jednak zdaje się całkiem nieprawdopodobne.

Kobiety dają gwarancję tego, że kiedy znaleziono pusty grób, **nie popełniono pomyłki**

ukrzyżowania i zmartwychwstania jest główną postacią, która uwiarygodnia treść chrześcijańskiego przepowiadania. Da się nawet sformułować pytanie, czy bez Marii Magdaleny w ogóle pojawiłoby się chrześcijańskie przepowiadanie? Czy to ona była osobą, która zadecydowała o tym, że ruch Jezusa po ukrzyżowaniu nie rozwiązał się, lecz w zmienionej formie istniał dalej?” (s. 195).

To drugie twierdzenie idzie za daleko. Przyjęcie go za dobrą monetę czyniłoby ze zmartwychwstania nie wydarzenie, ale odczucie czy nawet prywatne odczucie jednej kobiety, która potrafiła później natchnąć nim pozostałych. Świadek nie jest tym, kto tworzy i ustanawia, ale tym, kto potwierdza i przekazuje dalej. Taka też była rola Marii. Była pierwszą – lub jedną z pierwszych – która zobaczyła.

Burnet stwierdza, że „Ewangelie synoptyczne wspominają o niej bardzo pobieżnie. Tylko Ewangelia Jana przypisuje jej ważną rolę: Maria jako pierwsza ujrziała zmartwychwstałego Chrystusa. Z pewnością właśnie ze względu

Józef i Nikodem nie należeli do grona jawnych uczniów; gdyby to oni powiadomili Marię o miejscu pochówku Jezusa, wówczas po odkryciu, że kamień został odsunięty, powinna była pobiec do nich. To wydawałoby się całkiem naturalne. W sytuacji, kiedy grób okradziono, skierowałaby się do jego właściciela, jeśliby tylko wiedziała, że on też jest uczniem Jezusa. Nie robi tego. „Pobiegła więc i przyszła do Szymona Piotra i do drugiego ucznia, którego Jezus miłował” (J 20, 2). Pozostaje zatem pierwsza możliwość. To ją bez wyjątku opisują pozostali ewangelici. „Kobiety dają zatem gwarancję tego – pisał R.T. France – że kiedy znaleziono pusty grób, nie popełniono pomyłki: te same kobiety widziały Go, gdy umierał, i widziały, gdzie Go pochowano; nie poszłyby do złego grobu. To one są też tymi, które pierwsze spotkały zmartwychwstałego Jezusa” (The Gospel of Matthew [w:] The New International Commentary on the New Testament, s. 1085). Podobnie pisze Bauckham: „Świadekstwo kobiet miało wyjątkowe znaczenie, gdyż

tylko one były świadkami pogrzebu, tak jak i pustego grobu, i tym samym mogły gwarantować, że pusty grób, który znalazły, był tym samym, w którym złożono ciało Jezusa” (Gospel Women, s. 188).

Z ODDALI I Z BLISKA

Ewangelisci różnią się co do tego, które kobiety poszły do grobu Jezusa. W jednym wszakże wszyscy się zgadzają: była wśród nich Maria Magdalena. To ona zawsze występuje na pierwszym miejscu. „Za najstarszą tradycję uważamy obok opowieści o znalezieniu pustego grobu raport o protofanii Jezusa kobietom w Jerozolimie. Jej pozycja [to, że jej imię pojawia się jako pierwsze w katalogach] może wynikać z tego, że ona, tak jak Piotr, była świadkiem pierwszego ukazania się Jezusa” – piszą Martin Hengel i Anna Maria Schwemer (s. 648). Niemieccy badacze próbują też zrekonstruować wydarzenia, które rozgrywały się przy grobie. „Najpierw kobiety, które poszły do grobu, znalazły grób pusty i uciekły przerażone, potem Maria Magdalena wraca i następuje pierwsze ukazanie się jej Zmartwychwstałego (J 20, 11; Mt 28, 9), nie znajduje jednak u uczniów wiary. Mają oni teraz, gdy ciało zniknęło, wszelki powód, by jak najszybciej ruszyć do Galilei” (s. 650). To możliwy scenariusz. Niewykluczone, że najpierw kilka kobiet przyszło rankiem do grobu. Gdy okazało się, że jest pusty, wróciły do apostołów. Ci je wyśmiali, wtedy Maria Magdalena poszła raz jeszcze i spotkała zmartwychwstałego Chrystusa. Dopiero po tym objawieniu Jezus ukazał się Piotrowi i pozostałym. Takie następstwo zdarzeń tłumaczyłoby niepewność i niejasność opisów ewangelistów.

O ile kolejność, w jakiej dokonywały się objawienia Zmartwychwstałego, może być kwestią do dyskusji, o tyle rola kobiet jako świadków jest niepodważalna. Najpierw stoją i przyglądają się z oddali, jak Jezus umiera na krzyżu. Według Marka są to Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba Małego i Józefa oraz Salome; według Mateusza Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba i Józefa, oraz matka synów Zebedeusza; według Łukasza Maria Magdalena, Joanna i Maria, matka Jakuba. Potem widzą miejsce pochówku. Marek: „Maria Magdalena i Maria, matka Józefa, przyglądały się natomiast, gdzie Go pochowano” (15, 47). Mateusz: „Naprzeciw grobowca siedziały zaś Maria Magdalena i inna Ma-



ria” (27, 61). Wreszcie Łukasz: „Były przy tym [przy składaniu Jezusa do grobowca] kobiety, które za Jezusem przyszły z Galilei. Zobaczyły grobowiec i to, jak złożono Jego ciało. Gdy powróciły, przygotowały wonności i olejki” (24, 55–54). Łukasz tylko raz wymienia imiona kobiet, trzeba zatem zakładać, że są to te same, które przyglądały się według niego ukrzyżowaniu. Trzeciego dnia idą i widzą pusty grób. Marek: „Kiedy minął szabat, Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba, i Salome kupiły aromatyczne olejki, żeby pójść i Go namaścić. W pierwszy dzień tygodnia wczesnym rankiem, gdy wzeszło słońce, przyszły do grobu” (16, 1–2). Mateusz: „A gdy skończył się szabat, pierwszego dnia tygodnia o świcie Maria Magdalena i inna Maria poszły, żeby obejrzeć grób” (28, 1). I Łukasz: „W pierwszy dzień tygodnia wczesnym rankiem poszły do grobu, niosąc przygotowane aromatyczne olejki” (24, 1). Jak widać, różnice dotyczą składu grupy kobiet, które udały się do grobu, a także celu. U Łukasza i Marka idą namaścić ciało, przy tym według tego pierwszego przygotowały wcześniej maści i olejki, według drugiego kupiły je, idąc do grobu; Mateusz mówi o chęci obejrzenia grobu.

Wydaje się, że różnice te wynikają z tego, że każdy z ewangelistów starał się jak najdokładniej czerpać z przekazu, który do niego dotarł. Bauckham: „Gdy Łukasz wymienia Marię Magdalenę i Joannę drugi raz w swej Ewangelii 24, 10, to chce w ten sposób pokazać, że kobiety towarzyszyły Jezusowi w czasie całej Jego posługi od Galilei do zmartwychwstania. We wszystkich trzech Ewangeliach synoptycznych ewangelista starają się bardzo, żeby wymieniać tylko te kobiety, które są im znane jako świadkowie wydarzeń. Tego dowodzi także to, że Łukasz pomija Zuzannę i umieszcza zamiast niej Marię, matkę Jakuba. Wynika z tego, że w jego źródłach tradycji Joanna występowała nie tylko jako uczennica Jezusa, lecz także świadek zmartwychwstania. We wszystkich Ewangeliach synoptycznych Maria Magdalena zajmuje pierwsze miejsce na listach kobiet, tak jak Piotr wśród mężczyzn. Musiała się zatem cieszyć szczególną pozycją we wczesnych chrześcijańskich wspólnotach” (Gospel Women, s. 186). Ale to znaczy też, że mimo różnic na listach kobiet dla wszystkich ewangelistów głównym źródłem była Maria Magdalena.

Bauckham zauważa, że przy opisie zmartwychwstania Łukasz odchodzi od

O ile kolejność objawień Zmartwychwstałego może być kwestią do dyskusji, o tyle rola kobiet jako świadków jest niepodważalna

tekstu Marka, za którym konsekwentnie podążał wcześniej. Jedynym wytłumaczeniem może być to, że autor pism do Teofila znalazł źródło lepsze, bardziej bezpośrednie i żywe. „Jest zatem jasne, że wymieniał Joannę, o której Marek nie pisze, Łukasz wskazuje źródło swej tradycji na temat pustego grobu” – twierdzi Bauckham. Tłumaczyłoby to też drobne zmiany, które do tekstu Marka wprowadza Łukasz. Być może to właśnie Joanna powiedziała mu, że zakup wonności nastąpił nie, jak relacjonował Marek, w drodze do grobu, ale że zostały one wcześniej przygotowane i kupione od razu po tym, jak Jezus zmarł na krzyżu.

SPOTKANIE Z OGRODNIKIEM

Co robi Maria Magdalena po tym, jak wraz z innymi kobietami odkrywa pusty grób? Najprawdopodobniej nie poszła tam o brzasku sama, nawet Jan, który pisze tylko o Marii Magdalenie, przekazuje, że przybiegłszy do Szymona Piotra i ucznia, którego Jezus miłował, stwierdza: „Zabrali Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położyli” (J 20, 2). „Nie wiemy”, czyli zapewne chodziło o większą grupę kobiet. Są przerażone, bezradne, zdziwione. Nie wiedzą, co to ma znaczyć. Pilnowały miejsca pochówku, bo chciały namaścić ciało, oddać mu cześć, zapewne odprawić też tam prywatne lamentacje. Chciały potem zostawić ciało zawinięte w całun i bandaże, napełnione wonnościami, aby uległo zwykłemu procesowi rozkładu i by za rok wrócić w to samo miejsce i przenieść kości Jezusa do innego, rodzinnego grobu. Nie było z nimi matki Nazarejczyka – to zagadka, którą usiłowano rozwiązać już w najwcześniejszej epoce chrześcijaństwa. Czy nie miała sił podążyć do grobu syna? Czy leżała rozbita i bezsilna? A może miała dołączyć do kobiet później, po tym, jak obmyją już oblepione zaschłą krwią ciało?

POŚMIERTNA KARA POHAŃBIENIA

Należy pamiętać, że w starożytności kara wymierzona skazańcowi nie kończyła się wraz z jego śmiercią. Wskutek szczególnej łaski Piłata ciało Jezusa

trafiło do grobu tuż za bramami miasta, do wykutego w skale nowego grobowca. Ewangelie nic nie mówią o tym, co się stało ze zwłokami dwóch innych skazańców. Gdyby prawdziwa była wersja, głoszona choćby przez Browna, zgodnie z którą w czasie pochówku Józef z Arymatei nie był jeszcze uczniem Jezusa, a jedynie pobożnym członkiem Sanhedrynu, który chciał przestrzegać Prawa i dlatego pochował ciało Jezusa, to powinien się on zająć też dwoma pozostałymi ciałami. Nigdzie się o tym nie wspomina. Wydaje się zatem, że wbrew wielu współczesnym komentatorom Piłat faktycznie potraktował Jezusa inaczej niż pozostałych, a zgoda na pochówek była okazaniem łaski i przywilejem, którego pozostali ukrzyżowani nie otrzymali. Dlatego pierwsza myśl Marii Magdaleny mogła być taka: zwłoki ukradli wrogowie Jezusa, którzy nie mogli pogodzić się z tym, że ciało przekłętego Galilejczyka miało spoczywać w pohańbieniu we wspólnym grobie, znalazło się w innym miejscu. Nie musieli robić tego sami, wystarczyło wynająć kilku syryjskich rzeźmieszków.

A może, nie da się tego wykluczyć, Maria Magdalena odczuwała wyrzuty sumienia? Przecież – mówiła sobie – gdybym cały czas wiernie czuwała przy grobie, ciało nie zostałoby zabrane. Na pewno zadawała sobie pytanie, kto to mógł zrobić. Jeśli nie Żydzi, to może zakpili sobie w ten sposób rzymscy, a ściślej syryjscy żołnierze, z których to składał się jerozolimski garnizon? Słowa zapisane przez Jana doskonale pasują też do opisów innych ewangelistów. U Łukasza kobiety wchodzą do grobowca, nie znajdują w nim ciała, stoją bezradne. Ta bezradność dokładnie odpowiada zapisowi Janowemu: „Zabrali Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położyli”.

Marek skraca opowieść. Kobiety wchodzą do grobowca, zaskoczone nieco odsuniętym kamieniem. Nim zdążyły dostrzec brak zwłok, widzą odzianego w białą szatę młodzieńca, który powiadamia je, że ciało Jezusa nie ma na miejscu, obwieszcza, że Jezus zmartwychwstał i że idzie do Galilei, gdzie Go spotkają. „Wyszły więc i uciekły od grobu. Ogarnął je bowiem



„Lęk i zdumienie. Nikomu też nic nie oznajmiły, ponieważ się bały” (Mk 16, 8). Właściwie dlaczego, skoro przecież o wszystkim opowiedział im młodzieniec? Lęk, zdumienie, ucieczka, milczenie ze strachu – to wszystko reakcje kobiet u Marka po tym, jak słyszą o zmartwychwstaniu, ale jeszcze nie spotkały samego Jezusa. Tylko Mateusz nie pokazuje bezradności kobiet. Tak jak u Marka słyszą, od anioła wprawdzie, nie młodzieńca, że Jezus zmartwychwstał i idzie do Galilei.

Według Mateusza jednak odchodzą od grobu szybko i ze strachem, lecz i z wielką radością biegną przekazać to Jego uczniom (Mt 28, 1–9). Strach, bezradność, niepewność – to uczucia, które na pewno ogarnęły też Marię Magdalenę. Aż nastąpiło spotkanie z Panem. Na dwa różne sposoby opisują je Mateusz i Jan – pozostali ewangelisti o ukazaniu się Pana kobietom nie piszą, pominawszy dłuższe zakończenie Ewangelii Marka. Najpierw Mateusz. Kobiety biegną do uczniów przekazać wieść od anioła. „Nagle Jezus wyszedł im naprzeciw i pozdrowił je: »Witajcie!«. One zaś podeszły, objęły Go za nogi i złożyły Mu pokłon. Wtedy Jezus im powiedział: »Nie bójcie się! Idźcie i powiedzcie moim braciom, aby poszli do Galilei. Tam mnie zobaczą«. Gdy one jeszcze były w drodze...” – wraz z tymi słowami kobiety znikają z opowieści Mateusza (28, 9–11). Znowu, wszystko w tym opowiadaniu zaskakuje, jest nieoczekiwane. Maria Magdalena i inna Maria idą poruszone wieścią od anioła, wtedy zastępuje im drogę Jezus. Są dwie, a zatem nie ma mowy o jakimś subiektywnym, prywatnym tylko doznaniu.

NIE DOTYKAJ MNIE

Pozornie odwrotną informację przekazuje opowieść Jana. „Maria zaś stała przy grobie i płakała. Płacząc, zajrzała do grobowca i zobaczyła dwóch aniołów w bieli, którzy siedzieli jeden przy głowie, a drugi przy nogach, gdzie było złożone ciało Jezusa. Zapytali ją: »Kobieto, dlaczego płaczesz?«. A ona odpowiedziała: »Zabrali mojego Pana i nie wiem, gdzie Go położyli«. Gdy to powiedziała, odwróciła się za siebie i zobaczyła stojącego Jezusa, ale nie wiedziała, że jest to Jezus. A Jezus zapytał ją: »Kobieto, dlaczego płaczesz? Kogo szukasz?«. Ona, sądząc, że to ogrodnik, powiedziała: »Panie, jeśli ty Go przeniosłeś, powiedz mi, gdzie Go położyłeś, a ja Go zabiorę«. Jezus powiedział do niej: »Mario!«. Wte-

dy ona zwróciła się do Niego i powiedziała po hebrajsku: »Rabbuni! – to znaczy: Nauczycielu«. Jezus jej oznajmił: »Nie dotykaj Mnie, bo nie wstąpiłem jeszcze do Ojca. Idź do moich braci i powiedz im: »Wstępuję do mojego Ojca i waszego Ojca, do mojego Boga i waszego Boga«. Poszła więc Maria Magdalena i oznajmiła uczniom: »Widziałam Pana« oraz powtórzyła to, co jej powiedział” (J 20, 11–18).

To zapewne najbardziej wzruszająca opowieść o związku łączącym Jezusa z Marią Magdaleną. Zaczyna się od jej płaczu. Płacze, gdy stoi przed grobem, płacze, gdy do niego zagląda. Podobnie jak u Marka słowa młodzieńca, tak u Jana Marii nie uspokajają słowa aniołów. Według Marka jest to jeden młodzieniec, ale nie udaje mu się podnieść kobiet na duchu, u Jana jest dwóch aniołów, ale ich pytanie niczego nie zmienia. Maria odpowiada, ale zamiast dopytywać się aniołów, skąd się tu wzięli, co stało się z ciałem, dlaczego nie ma Jezusa, po prostu odwraca się za siebie. Dostrzega kogoś, w kim upatruje ogrodnika. Maria zamiast rozmawiać z aniołami, woli pytać nieznanego.

Ten, podobnie jak aniołowie, pyta ją o powód płaczu, z czego wynika, że widok aniołów w białych szatach niczego nie zmienił w nastawieniu Marii. Płacze.

Nie wie, dlaczego zniknęły zwłoki. Aniołowie najwyraźniej nie budzą jej zaufania. Myśli, że tajemniczy ogrodnik przeniósł zwłoki Jezusa. Dlaczego miałby to zrobić? Jak było to możliwe, skoro Jezus został skazany za zdradę stanu i nie wolno było swobodnie rozporządzać Jego ciałem? Ale Maria najwyraźniej nie zadaje sobie tych pytań. Jak we śnie pyta o miejsce, dokąd nieznamy przeniósł ciało mistrza. I dopiero, gdy ten wymawia jej imię, łuski spadają z jej oczu, sen się kończy, wie, że oto ma przed sobą Jezusa. Dalej padają słowa Nazarejczyka, które stały się inspiracją nieskończonej wręcz liczby dzieł artystycznych. Iluż twórców starało się uchwycić ten niezwykle moment, kiedy to Maria Magdalena dostrzega w nieznanym żywego Jezusa, którego tak bardzo pragnęła odnaleźć, a ten nie pozwala jej się dotknąć! To jedna z najbardziej dramatycznych scen w całej historii literatury.

Zapłakana Maria rozgląda się za zwłokami Jezusa. Jest pewna, że ktoś je ukraść. Przyszła, by je namaścić, by oddać swemu nauczycielowi ostatnią posługę. Zaskoczyli ją odsunięty kamień i aniołowie. Czy rozpoznała ich? Czy też myśli, że to aniołowie, pojawiła się później dopiero, kiedy opowiadała tę historię uczniom? Robiła to z pewnością nieskończoną liczbę razy. Zapewne wtedy, w tej jednej jedynej chwili, nie zorientowała się, że ma do czynienia z aniołami. Inaczej czyż szukałaby odpowiedzi u nieznanego ogrodnika? Więc zapłakana wzdycha, pragnąc tylko jednego: odnalezienia martwego ciała mistrza... I oto, całkiem niespodzianie i z zaskoczenia, dostrzega, że ten, kogo pyta o martwego Jezusa, jest Jezusem żywym. Chce Go zatem dotknąć, chce poczuć, że to nie sen, nie mara, nie złudzenie, słyszy jednak: „Nie dotykaj mnie”.

Maria Magdalena uczy się, że dopiero po śmierci, po tym, jak znikła to, co zmysłowe i cielesne, Jezus staje się dla niej prawdziwie obecny. Teraz dopiero przestaje płakać. Wie, że od tej chwili nikt i nic nie oddzieli jej od Pana. „Nie dotykaj mnie” oznacza, by nie starała się dostrzegać Jezusa tylko zmysłowo. To inaczej wyrażona ta sama prawda, którą słyszy Tomasz po tym, jak domagał się

dotykać Jezusa. Najpierw powiedział: „Jeśli nie zobaczę na Jego rękach śladu gwoździ i nie włożę palca w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki w Jego bok, nie uwierzę” (J 20, 25). Dopiero kiedy Jezus spełnia jego żądanie, odpowiada: „Mój Pan i mój Bóg”. I słyszy: „Uwierzyłeś, ponieważ mnie ujrzałeś. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli” (J 20, 29). Tak samo jest z Marią Magdaleną,

która jednak – inaczej niż Tomasz – nie stawia warunków, ale po prostu spontanicznie chce nacieszyć się odnalezionym nauczycielem. „Nie dotykaj mnie” są najgłębszą możliwą nauką. Jezus mówi jej, że tak, to jest On, ten sam, który zmarł, ale jednocześnie można Go dostrzegać już nie przez dotyk i ciało.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jest to fragment drugiego, rozszerzonego wydania książki „Tajemnica Marii Magdaleny. Kobiety w otoczeniu Jezusa”, która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Fronda.





G2A ARENA

Centrum Wystawienniczo-Kongresowe
Województwa Podkarpackiego



Poznaj naszą przestrzeń
otwartą na Twój biznes

- 
- » konferencje
 - » koncerty
 - » kongresy
 - » eventy
 - » wydarzenia sportowe
 - » produkcje telewizyjne

**Zarezerwuj termin
na swój event!**

+48 790 707 384

+48 533 391 412

sprzedaz@g2aarena.pl

www.g2aarena.pl

Jasionka k. Rzeszowa

**KRAJ**

Czas prezydenta

*Kamila Baranowska*

Prezydent Andrzej Duda w ciągu ostatnich miesięcy umocnił swoją pozycję nie tylko za granicą, lecz także w kraju. Ci z PiS i opozycji, którzy tego nie rozumieją na czas, mogą się mocno zdziwić. Zwłaszcza po wyborach w 2023 r.

Powiększona postać prezydenta USA Joe Bidena, który prowadzi za rękę odpowiednio wyskalowaną, mniejszą postać prezydenta Polski Andrzeja Dudy, trzymającego w ręku balonik w barwach amerykańskiej flagi, a wszystko to opatrzone podpisem „Nowy pan prezydenta” – taka okładka „Newsweeka” wywołała powszechną falę krytyki po lewej i prawej stronie. Nic dziwnego, bo jej przekaz świetnie wpisywał się w rosyjską propagandę.

Wśród polityków, i to nie tylko tych z PiS, można jednak usłyszeć, że to także niezbity dowód na to, jak rośnie pozycja Andrzeja Dudy – zarówno w krajowej, jak i międzynarodowej polityce – i jak bardzo bezradni są wobec tego faktu opozycja oraz jej najbardziej zagorzali kibice.

Tymczasem nie trzeba wielkiej wyobraźni, by domyślić się, co będzie, gdy po najbliższych wyborach parlamentarnych rząd w Polsce stworzy dzisiejsza opozycja w dowolnej konstelacji, a PiS przejdzie do opozycji. Pałac Prezydencki stanie się

wówczas kluczowym graczem na scenie politycznej. Kadencja Andrzeja Dudy kończy się dopiero w 2025 r., a więc przez prawie dwa lata prezydent, korzystając z narzędzia, jakim jest prezydenckie weto, będzie mógł blokować niemal każdą decyzję nowego rządu, skutecznie utrudniając mu rządzenie. Albo przeciwnie – będzie mógł z rządzącymi na pewnych polach współpracować i wetować tylko to, z czym rzeczywiście programowo czy ideowo będzie mu nie po drodze.

Pytanie: Czy dziś ktokolwiek z opozycji myśli w ogóle o tej niedalekiej przyszłości i możliwych scenariuszach? I czy podobna refleksja pojawia się w obozie PiS, dla którego w razie przegranych wyborów Pałac Prezydencki stanie się główną osią politycznej walki?

W otoczeniu Andrzeja Dudy o tych scenariuszach myśli i mówi się już od jakiegoś czasu. – Wtedy zaczną ustawiać się kolejki do Pałacu, i tych z PiS, i tych z opozycji, i okaże się, że wszyscy zawsze Andrzeja szanowali, bo każdy będzie

miał sprawę do obgadania i załatwienia – kpi jeden z polityków wspierających prezydenta. Sęk w tym, że z tym szacunkiem do głowy państwa bywało różnie – i w samym PiS, i po stronie opozycji. – Nigdy nie rozumiałem, po co niektórzy uderzali w prezydenta. U prezesa były to jakieś personalno-charakterologiczne powody, a u opozycji czysta chęć dowlania nie lubianemu politykowi, bez krzty politycznej, pragmatycznej kalkulacji, że nie warto, bo dobre relacje z prezydentem mogą się jeszcze przydać – kwituje nasz rozmówca.

FRONTMAN

Z dnia na dzień Andrzej Duda znów stał się frontmanem polskiej polityki. Wcześniej, od wyborów w 2020 r., był raczej słabo widoczny. Zajmował się prezydencką rutyną, robił, co do niego należy, ale bez większych planów i ambicji, tak jakby druga kadencja miała być już tylko odcinaniem kuponów i nagrodą po niełatwej kampanii. Dziś po tamtym podejściu nie ma już śladu,



negocjacji nad Polskim Ładem, nie żądał dodawania czy usuwania jakichś zapisów, bo uznał, że to nie jego działka, lecz rządu. Polityka międzynarodowa i bezpieczeństwa państwa to zupełnie co innego, tutaj prezydent nie tylko wie, że to jego prerogatywy, lecz także doskonale czuje się w tej tematyce – dodaje.

Inny z polityków dobrze znających prezydenta obrazowo tłumaczy, że Andrzej Duda zobaczył szczelinę w drzwiach, a jak już włożył tam stopę, to zaczął się rozpychać i coraz szerzej otwierać przymknięte dotąd drzwi. A przymknięte były głównie za sprawą jego bardzo chłodnych relacji z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim. Obaj praktycznie nie utrzymywali ze sobą żadnego kontaktu. – Powiedzmy, że to nie ma znaczenia, kilka tygodni czy kilka lat – przyznawał prezes PiS w jednym z wywiadów, gdy zapytano go, kiedy ostatnio kontaktował się z głową państwa. – To sprawa bez znaczenia, bo na politykę nasze relacje nie mają większego wpływu. One tak wyglądają w zasadzie od początku prezydentury – dodawał.

Wybuch wojny na Ukrainie zmusił jednak Jarosława Kaczyńskiego do współpracy z głową państwa pomimo wzajemnych animozji. 22 lutego Jarosław Kaczyński wystąpił po raz pierwszy od bardzo dawna na wspólnej konferencji prasowej z prezydentem Andrzejem Dudą i premierem Mateuszem Morawieckim po tym, jak wcześniej wziął udział w naradzie prezydenta z ministrami i szefami służb. Nie znaczy to, że relacje między obu politykami ociepliły się znacząco. Zwłaszcza że Andrzej Duda zaczął realizować własną politykę, która różni się od tej realizowanej przez PiS. Prezydent od czasu wybuchu wojny na Ukrainie stara się wypowiadać w sprawach krajowych bardzo koncyliacyjnie. Nie atakuje opozycji, nawołuje do jedności i podkreśla, że to nie czas na spory. Spotyka się osobiście z politykami opozycji, a ci nieoficjalnie przyznają, że rozmowy z prezydentem podczas spotkań Rady Bezpieczeństwa Narodowego są poważne i konstruktywne. To idzie nieco w poprzek polityki PiS i Platformy, które pomimo wojny na Ukrainie szybko wróciły do atakowania siebie nawzajem. Przemówienie prezydenta podczas Zgromadzenia Narodowego, w którym podkreślał zasługi postaci takich jak Jan Olszewski i Lech Kaczyński, a także Lech Wałęsa, Jerzy Buzek, Aleksander Kwaśniewski czy Bronisław Geremek, spotkało się z więk-

szym uznaniem opozycji niż twardego PiS. Niemniej Andrzej Duda wyraźnie stawia na jednoczące tony, co odpowiada nastrojom społecznym. Efekt widać w kolejnych sondażach. W ostatnim, opublikowanym przez „Dziennik Gazetę Prawną”, Andrzej Duda został wskazany jako polityk, który najlepiej sprawdził się w sytuacji ataku Rosji na Ukrainę. W badaniu zrobionym przez United Surveys badani udzielali spontanicznych odpowiedzi, nie wybierali nazwisk polityków z przygotowanej listy, tylko sami je wskazywali. Z badania opublikowanego kilka dni temu przez Wirtualną Polskę wynika zaś, że 68 proc. Polaków oceni działania prezydenta w kontekście wojny na Ukrainie zdecydowanie i raczej dobrze.

BLISKOŚĆ Z USA

W nowej polityce Andrzeja Dudy przebija się jeszcze jedno – przekonanie, że polska racja stanu wymaga jak najlepszych relacji ze Stanami Zjednoczonymi.

Wizyta Joe Bidena w Polsce była kulminacją jego pracy na tym polu przez ostatnich kilka miesięcy. I także w tym kontekście należy odczytywać jego weto w sprawie „lex TVN”. Tamta decyzja została ogłoszona pod koniec grudnia ubiegłego roku i była w kontrze do polityki PiS. Dziś wiemy, że prezydent dysponował już wtedy informacjami o dużym prawdopodobieństwie agresji rosyjskiej na Ukrainę. Nieprzypadkowo swoją decyzję prezydent uzasadniał wówczas, obok argumentów prawnych, także tym, że „kolejna sprawa niepokojąca, jątrząca, kolejne spory nie są nam potrzebne”.

Widać, że konsekwentnie chce się dzisiaj trzymać tej zasady. To także zdecydowało, że postanowił interweniować w Brukseli w sprawie odblokowania funduszy dla Polski w ramach KPO. Spotkał się z szefową Komisji Europejskiej i wyszedł z własnym projektem ustawy (jest w Sejmie), który spełnia warunki Komisji do odblokowania pieniędzy. – To nie jest tak, że on udaje takiego, on naprawdę dobrze się odnajduje w roli polityka wzywającego do zgody. Poza tym ma poczucie, że dzieje się właśnie historia, i chce się w niej zapisać jako ten, który przyczynił się do zakończenia wojny na Ukrainie, i jako ten, który w czasie próby zdał egzamin na bycie głową państwa ponad podziałami. Nawet jeśli brzmi to trochę patetycznie, to on naprawdę tak uważa i tym się kieruje – mówi nam jeden z polityków obozu prawicy.

Wizyta Joe Bidena w Polsce była kulminacją pracy prezydenta Dudy nad relacjami ze Stanami Zjednoczonymi

a aktywność prezydenta przypomina tę z jego najlepszych czasów kampanii wyborczej, gdy parł do przodu i potrafił ciężko pracować. Jakiś czas temu politycy dobrze znający prezydenta tłumaczyli nam, że prezydent „zobaczył dla siebie miejsce i zaczął mu się znów chcieć, a wtedy może dużo”.

– Prezydent jest politykiem bardzo mocno przywiązany do swoich prerogatyw, dlatego nie wtrąca się tam, gdzie uważa, że ich nie ma, nawet jeśli mógłby na tym coś politycznie ugrać. W tym sensie jest w nim coś staroświeckiego – mówi nam jeden z polityków PiS. – Nie włączył się do

FOT. MAREK BODAWSKI/PPP



Z Józefem Orłem, filozofem,
byłym posłem, twórcą Klubu Ronina
rozmawia Karol Gac

Celem Rosji jest Zachód

KAROL GAC: Minęły ponad trzy miesiące od naszej ostatniej rozmowy. Oceniał pan wówczas, że „Rosji chodzi o to, by nie prowadząc żadnej inwazji, dostać takie ustępstwa ze strony Zachodu, które pozwalają na przesuwanie granicy strefy wpływów”. Tymczasem 24 lutego Rosja rozpoczęła inwazję na Ukrainę na pełną skalę. Po co?

JÓZEF ORZEŁ: W zachodniej, czyli normalnej, racjonalności nie da się tego wytłumaczyć. Jeszcze w przededniu inwazji zdecydowana większość ekspertów sądziła, że jej nie będzie. Pamiętam jedną

z zamkniętych rozmów, która odbyła się 23 lutego. Nikt nie przychylił się do tego, że Rosjanie zaraz zaatakują, przed czym ostrzegali Amerykanie. To tyle na temat tego, ile warte są moje prognozy i wielkości naszych najlepszych specjalistów. Inwazję w tym roku przewidzieli tylko Ołeksij Arestowycz, George Friedman i Krzysztof Wojczal.

Pod względem centralizacji procesu decyzyjnego obecna sytuacja w Rosji przypomina najbardziej dyktatorskie

kraje na świecie. Takiej władzy, jaką ma Putin, nie ma nawet Xi Jinping w Chinach. Porównać ją można raczej do władzy Kim Dzong Una w Korei Północnej. To logika imperialnego caratu. Pytanie, co miała przynieść Rosji.

No właśnie, co?

To, o czym mówiłem w naszej ostatniej rozmowie, się nie zmieniło. Rosja chce usiąść przy najważniejszym stoliku świata razem z Chinami i USA. To, co



stolika. Co może zrobić? Mogłaby się przyłączyć do Chin, ale wówczas byłaby ich wasalem. Musi się więc wybić „na niepodległość” od Chin, idąc na zachód Europy. Ukraina jest tylko przystankiem na tej drodze. Rosja wcale nie marzy o partnerstwie przy tym stoliku, ale o pozycji języczka u wagi między Chinami i USA. Szczególnie w sytuacji, gdy USA i Chiny się nie dogadają, co doprowadzi do konfrontacji militarnej. Interesy tych trzech państw są sprzeczne, każde z nich chce zyskać kosztem pozostałej dwójki.

Wróćmy jednak do Rosji.

Rosja ma ciągle szanse na ekspansję w kierunku zachodnim, bo może podpisać porozumienie pokojowe, w którym urwie kawałek Ukrainy. To ją wzmocni, bo doprowadzi do przywrócenia częściowej wymiany handlowej i dopływu pieniędzy, by ponownie modernizować armię. Za nią stoi wielki kraj, a za bitną i dobrze dowodzoną armią dużo mniejszej Ukrainy stoją cały naród i Zachód. Najważniejsza gra jest więc o to, która ze stron będzie miała silniejsze zaplecze. Celem Rosji jest zakłócenie jedności Zachodu, by ten nie wspierał Ukrainy, aby nie mogła uzyskać przewagi. Pokonanie Ukrainy otwiera Rosji drogę na Zachód.

Chyba widać już pewne rysy na tej jedności Zachodu.

Zgadzam się. W związku z konfliktami w UE Ameryka potrzebuje Polski, by wymuszać tę jedność, stąd obecna polityka Bidena odwrócona w ciągu roku o 180 stopni. Bez Polski nie da się umocnić wschodniej flanki NATO, a jeśli tak, to Rosja musi pokonać Ukrainę, by stanąć na granicy tej flanki. Kraje zachodnie Unii, a zwłaszcza Niemcy, na razie nie zdają sobie z tego sprawy, że w ich interesie jest wzmocnianie Polski.

Jak pan patrzy na wyprawę Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego do Kijowa? Analogia do Tbilisi i Lecha Kaczyńskiego nasuwa się sama...

Niepokoiliem się tą wizytą, zwłaszcza tym, że Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki nie powinni jechać razem. Bo kto miałby rządzić Polską, gdyby zginęli? Ale popisał się bohaterką postawą, a takie symbole w czasie wojny są niezwykle ważne. Dla Jarosława Kaczyńskiego to była konieczność wpisania się w testament polityczny brata. Sytuacja na polu wojennym wskazuje, że Ukraina

utrzyma się jako państwo niepodległe. Z pomocą Polski i Zachodu może stać się wielkim państwem w strategicznym sojuszu z Polską (à la I Rzeczpospolita), który zatrzyma ekspansję Rosji.

NATO powinno zaangażować się bardziej w obronę Ukrainy?

Ostatnio cytowałem jednego z najszybszych analityków, który oceniał taktykę Putina. Powiedział, że jeśli Putin przegra na polu walki, to może zdecydować się na dalszy ruch. Putin nie chce rozmawiać z Zełenskim, bo uznaje Ukrainę za swoją kolonię, więc nie pozwoli na partnerską relację z Kijowem. Partnerem dla Putina ma być prezydent USA, a aby ten chciał usiąść do stołu rozmów, trzeba uderzyć w NATO. Dlatego – zdaniem tego analityka – Putin może wtedy zdecydować o jakimś odosobnionym akcie agresji, np. sabotażu, a wtedy NATO będzie musiało się bardziej zaangażować.

Sabotażu lub „przypadkowej” rakiecie?

Tak, przecież już kilka miesięcy przed rosyjską inwazją na Ukrainie operowały grupy specnazu. To samo może się wydarzyć w Polsce. Niedawno mieliśmy wielką awarię sterowania koleją. Zdaniem specjalistów można ją spowodować zdalnie. W efekcie Putin sprawdziłby efektywność NATO i art. 5: kiedy nastąpi reakcja – następnego dnia czy za miesiąc. Wtedy Putin mógłby próbować się dogadać z USA. Próbuję pokazywać także czarne scenariusze, ponieważ mam wrażenie, że środowiska polityczne nie są na nie przygotowane. A po tym ludobójstwie, które ma miejsce na Ukrainie, nikt nie powinien siadać do stołu z Putinem.

Wierzy pan w trwałą zmianę myślenia na Zachodzie, zwłaszcza Niemiec, jeśli chodzi o relacje z Rosją?

Kłopot w tym, że takie zmiany nie są zero-jedynkowe. Niemcy najpierw będą długo myśleć nad taktyką, później będą ją po cichu wdrażać. Wiedzą, że muszą odejść od sojuszu z Rosją i odsunąć ją od granic UE. Wojna na Ukrainie jest więc epitafium życiorysu politycznego Merkel. Niemcy nie przygotowały sobie „planu B” i to jest groźne, bo nie umieją sobie go wyobrazić – jak być liderem UE bez surowców z Rosji, które pozwalają na niższe ceny produkcji niż u konkurentów.

Dlaczego nie umieją?

„Plan B” zależy od relacji Zachodu z Rosją. Jeśli zapanuje pokój, to Niemcy

dzieje się na Ukrainie, to ludobójstwo, które przekracza skalę zachodniego rozumienia. Ale czy ono i zarazem niepowodzenia militarne Rosji zamykają jej drogę do tego stolika?

Potrąfię sobie wyobrazić scenariusz, w którym niekoniecznie.

Marek Budzisz opublikował niedawno tekst relacjonujący wypowiedzi dwóch doradców Kremla. Rosja jest za słaba, by dostać zaproszenie do pierwszego

FOT. TOMASZ CIOŁAR / GOS. NIEZIELNY / FORUM



■ będą w szpicy tych relacji. Jeśli nie, to Niemcy będą jak najdalej konfliktu. „Planem A” była sprzedaż Rosji towarów za pieniądze z surowców, a w tym drugim przypadku zadaniem Zachodu będzie całkowita likwidacja handlu z Rosją, by ją zadusić gospodarczo. To plan Ameryki, której akurat stosunkowo łatwo to zrobić. Taki „plan B” będzie dużo kosztować przede wszystkim Niemcy i Niemców, więc pytanie, na kogo będą zrzucać odpowiedzialność. Na Rosję? USA? A może na Polskę i Ukrainę? W jakim kierunku będzie szła polityka narracyjna Niemiec?

Może nadarza się nam okazja, by ten „plan B” był dla Polski korzystny? Gdyby nie praca polskiej dyplomacji, to stanowisko UE wobec Rosji byłoby łagodniejsze.

To prawda, ale dlatego, że za Polską stoją Stany Zjednoczone. I to nie za Atlantykiem, ale u nas – tak blisko, jak to tylko możliwe – przy naszej wschodniej granicy. Do tego Polacy mówią wprost, że nie zrobią niczego, czego rząd ukraiński nie chce. To ważne, bo Niemcy i Francja na pewno będą na niego naciskać. Pierwszą szansą na wzmocnienie pozycji Polski jest sojusz geopolityczny z Ameryką. Drugą – sojusz obronny z Wielką Brytanią i Ukrainą – z USA w tle. To fantastyczne szanse na zrównoważenie wpływów Niemiec w Europie.

To realna perspektywa?

Nie musimy od razu budować całego Trójmorza. Te sojusze wystarczą. Z jednej strony to, jak pomagają Polacy Ukraińcom, jest fantastyczne. Z drugiej, już się buduje nastrój, za chwilę ruch, a na końcu polityka przeciwna takiej pomocy i korzystna dla Moskwy. Ale będzie mieć realne źródła, jeśli państwo nie dokona modernizacji usług społecznych – nie poprawi i nie zwiększy dostępu do przedszkoli, szkół, lekarzy, pomocy społecznej. Jeśli nie poprawi pracy administracji. Bo wtedy mamy pewny konflikt między Polakami i Ukraińcami.

Jak temu zapobiec?

Polska musi zacząć się szybko zmieniać – za pieniądze unijne. To jest niezbędne, by usługi były dostępne i lepsze. Wówczas możemy myśleć o tym, że Ukraina zostanie na długi nasz sojusznikiem i będzie chciała się odwdziżyć. Później nastąpi drugi etap – odbudowy Ukrainy. Skoro Ukraińcy sami walczą i zwyciężają, to i sami będą chcieli kierować tym procesem. To dobrze, bo może nie wpuszczą

Wojna przykryła wszystko. I to nie tylko w polityce, lecz także w nastrojach społecznych. Ludzie naprawdę boją się wojny

na taką skalę Niemców, jak my Zachód po 1989 r. Pieniądze dadzą Unia Europejska i USA, więc powinniśmy wspierać Ukraińców, by to oni decydowali, na co mają być przeznaczone. Z tego, co wiem, to nasze izby budowlane z ukraińskimi już o tym rozmawiają. Państwo polskie musi być tu niesłuchanie aktywne.

Tylko takiej modernizacji państwa i usług, o której pan mówi, nie dokona się w kilka dni. Minie dużo czasu, zanim powstaną przedszkola, szkoły czy szpitale. Siłą rzeczy napięcia polsko-ukraińskie powstaną dużo szybciej.

Lepiej później niż wcale. Głównym problemem jest brak mocy politycznej, by do modernizacji państwa teraz doprowadzić. Ale większej motywacji do niej niż teraz (wojna i uchodźcy) nie będzie. I nie chodzi tylko o to, by powiększyć zasoby szkolne i zdrowotne, bo to się da zrobić za bliskie już, mam nadzieję, środki unijne. To nie wystarczy. Niezbędna jest reforma szkolnictwa, służby zdrowia, opieki społecznej, by zwiększyć ich efektywność, uprościć prawo i procedury, zbliżyć je do klienta (a nie petenta), uczynić go pełnoprawnym partnerem. To jest czas, by nastrój poświęcenia ze strony Polaków znalazł odbicie w postawie administracji publicznej.

Czy nie jest tak, że wojna na Ukrainie może przynieść PiS i Polsce korzystną zmianę relacji z Brukselą, Waszyngtonem i lepszą pozycję naszego kraju?

Bez sojuszu z Ukrainą i Ameryką to się nie stanie. To Ukraina będzie, a właściwie już jest, przedmurzem Europy. Komisja Europejska i Niemcy usztywniły się w tym, by Polska za bardzo nie urosła, bo tego autentycznie się boją. W sojuszu z Ukrainą i USA Polska przestałaby być liderem drugiej ligi i stałaby się średnim graczem pierwszej. I liderem wschodniej flanki Europy. Dowodem na to, że Polska zmierza w tym kierunku, jest to, że opozycja wraca do ostrego konfliktu z PiS. Czuje, że traci narrację i pozycję, bo przewaga taktyczna przechodzi na stronę PiS: Rosja nas nie zaatakowała, Polacy pomagają

uchodźcom, Biden tu przyjeżdża, nikt nas nie może lekceważyć, a KE będzie musiała się z nami dogadać, i to szybko.

Spodziewa się pan rozstrzygnięcia tego konfliktu w najbliższym czasie? Pomimo licznych zapewnień pieniądze unijne cały czas są zamrożone.

Mówiłem, że znakiem tego, że USA zdecydują nam się pomóc w sporze z Brukselą, będzie przylot Bidena do Polski. Przyleciał.

PiS też wysłał sygnały do Brukseli. Po coś to chyba robi?

Najwyraźniej rząd zaproponował KE takie podejście, w którego myśl mamy gotowy projekt oparty na pomysły prezydenta, ale w zależności od tego, czy nam dadzą nasze środki europejskie, to albo go uchwalimy, albo nie. Rząd boi się, że zrealizujemy ustępstwo, a KE będzie czekać na kolejne. Zwłaszcza że są tacy w Unii, którzy domagają się jej większej integracji.

W ostatnim wywiadzie mówił pan, że inflacja będzie głównym problemem, z którym zmierzy się PiS, a najgroźniejszym miał być konflikt z UE wraz z groźbą utraty pieniędzy. Tymczasem Rosja uderzyła na Ukrainę i wszystko inne zeszło na dalszy plan. Co będzie dominującym tematem w najbliższych miesiącach?

Wojna przykryła wszystko, i to nie tylko w polityce, lecz także w nastrojach społecznych. Ludzie naprawdę boją się wojny. Jednym z aspektów ogromnej pomocy jest przecież lęk przed wojną i solidarność w nim – pomagamy, bo nie chcemy się znaleźć w takiej samej sytuacji. Ponadto rząd bardzo szybko pod hasłem tarczy antyputinowskiej zaczął m.in. poprawiać Polski Ład. Kwestie gospodarcze powrócą, kiedy wojna się skończy, a ludzie będą tego pewni i zaczęą rozglądać się wokół. Wówczas wróci kwestia inflacji, drożyzny, niewydolności państwa i polityki społecznej.

Za naszą wschodnią granicą toczy się wojna, a do Polski przybyło ponad 2,5 mln uchodźców. Jaka jest pana ogólna ocena działań rządzących i opozycji?

O opozycji nie warto w ogóle mówić, a obóz rządzący zdaje egzamin na czwórkę. Sytuacja geopolityczna zmusi go do jeszcze większej efektywności, do lepszych relacji z innymi graczami – biznesem, samorządem, organizacjami pozarządowymi. Rządzenie na czwórkę nie wystarczy, zadania będą rosły. Musimy uciekać do przodu. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Protest przeciw wojnie
na Ukrainie w Berlinie

FOT. JAKUB PODKOWIAK/PRESSCOV/SIPA/EAST NEWS



Niemcy wstrząśnięte, mocno zmieszane

Tytułowe nawiązanie do słynnego koktajlu Jamesa Bonda doskonale pasuje do opisu szoku, w którym znalazła się zbiorowa świadomość obywateli Republiki Federalnej Niemiec. Brutalność wojsk rosyjskich na Ukrainie nie przypomina niczego, z czym powojenne pokolenia Niemców miały doświadczenia od lat 50. Tylko najstarsi 90-latkowie mają skojarzenie z drastycznością zachowania Armii Czerwonej w końcowej fazie walk na ziemiach niemieckich. Wszystko, co wydarzyło się potem, było budowaniem alternatywy dla tego koszmaru, najpierw poprzez antykomunizm epoki Adenauera, a po rewolucji 1968 r. poprzez niemiecką politykę wschodnią i wiarę, że Rosjanie będą się cywilizować.

Dzisiaj ta cała ideologia rozpada się na naszych oczach. Jak reagują na to elity Niemiec?

IDEALIŚCI ZACISKAJĄ ZĘBY

Jest swoistym chichotem historii to, że wybór zimnego pragmatyzmu, który każe trzymać jak największy możliwy dystans wobec walki Ukrainy o przetrwanie, przypadł w udziale niemieckiej lewicy. Czołową



Piotr Semka

Niemcy mają problem. Jak żyć z nowym Attyłą? Od ok. 1970 r. istotą niemieckiej polityki była wiara, że Związek Sowiecki będzie się zmieniał na lepsze. Teraz te nadzieje zostały w dużej mierze zdruzgotane przez brutalność Kremla

postać tego zimnego realizmu stał się kanclerz Olaf Scholz, który z jednej strony deklaruje, że wstrząśnięty jest obrazkami masakry z Buczy, a z drugiej stawia bardzo wyraźnie tezę: Niemcy nie mogą na razie zrezygnować z rosyjskich gazu i ropy.

Ten wyraźny ton uzupełniany jest niezwykle zdumiewającymi reakcjami myślowymi. Oto czołowy polityk socjaldemokratów wyraził najpierw opinię, że nie można za wojnę obwiniać wszystkich Rosjan, choć wszystkie sondyż pokazują, że mieszkańcy państwa Putina masowo popierają swego wodza. Kilka dni temu kanclerz Scholz wyraził z kolei opinię, że być może Putin nie jest informowany o wszystkich szczegółach

potwornych zbrodni na Ukrainie. Obie te wypowiedzi są unikami, które mają odniesienie do niemieckich traum z czasów drugiej wojny światowej. Niemiecka lewica wyrosła w czasie rewolty 1968 r. na oskarżeniu powojennego pokolenia, które w wygodnicki sposób uznało, że za całe zło wojny odpowiedzialny jest Hitler, który wciągnął odciążony w ten sposób od winy naród w upiorny konflikt. Tacy intelektualni guru SPD jak Günter Grass z lubością udowadniali, że tzw. zwykli Niemcy wszystko wiedzieli i wszystko akceptowali.

Teraz okazuje się, że ta prawidłowość rzekomo ma nie dotyczyć Rosjan. Tych samych Rosjan, u których żołnierze



■ w wypadku wzięcia ich do niewoli znajdujących zrabowane mienie i obręczki ściągane z rąk zgwałconych kobiet. Jeszcze bardziej szokujące skojarzenie u wielu Niemców wywołuje teza Olafa Scholza, że Putin być może nie wie o wszystkich koszmarach ukraińskiej wojny.

To z kolei jest kopia techniki łagodzenia dysonansu moralnego przez wielu Niemców w czasie drugiej wojny światowej. Gdy dowiadawali się o masowych mordach na Żydach lub bogaceniu się nazistowskich bonzów, ucieczkową reakcją było przekonanie samych siebie, że jest to patologia, a nie logika systemu. „Gdyby Führer to wiedział” – tą świętoszkowatą frazą puentowano zdarzenie się z jawnymi zbrodniami. W wypadku niemieckiej polityki ważny dla oceny polityki kanclerza Scholza jest też motyw groteskowego wręcz korowodu z kwestią dostarczania broni na Ukrainę. Niemieckie media udowodniły, że minister obrony socjaldemokratka Christine Lambrecht przez trzy pierwsze tygodnie walki Ukraińców o przetrwanie z premedytacją przedłużała proces ustalenia, jaką broń Bundeswehra może im przekazać. Czy był to cichy bunt duchowej pacyfistki czy też działanie, o którym wiedział kanclerz Scholz? Nie sposób się tego dowiedzieć, ale nie rzuca to najlepszego światła na politykę socjaldemokratów. Równie dwuznaczną moralnie politykę prowadzi szefowa dyplomacji Annalena Baerbock, którą początkowo utożsamiano z większą wrażliwością na tragedię Ukraińców. A jednak gdy polityka Scholza się wyklarowała, niemiecka szefowa dyplomacji bardzo jasno zadeklarowała: „Niemcy nie wstrzymują importu gazu z Rosji”. Jeśli hipokryzja to polityczny hołd, który występkiem składa cnotcie, to przykładem tego są słowa Annaleny Baerbock: „Gdyby to miało powstrzymać wojnę, zrobilibyśmy to natychmiast”.

Warto się zatrzymać na chwilę nad tym majstersztykiem politycznego cynizmu. Wiadomo, że nie istnieje w polityce żaden pojedynczy czynnik, który może jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zatrzymać wojnę. Nie zmienia to tego, że politycy zwiększają liczbę inicjatyw, które w końcu doprowadzają agresora do wniosku, że dalsze prowadzenie wojny mu się nie opłaca. Jednak Baerbock, występując w programie „Tagesthemen” w telewizji ARD, argumentowała, że choć wstrzymanie importu gazu podniosłoby cenę wojny dla Rosji, to nie doprowadziłoby jutro do zaprzestania zabijania. „Jutro” nie, ale w perspektywie miesiąca być może już tak.

Jeszcze bardziej szokujące skojarzenie u wielu Niemców wywołuje teza Olafa Scholza, że Putin być może nie wie o wszystkich koszmarach ukraińskiej wojny

Linia szefowej niemieckiego MSZ otrzymała charakterystyczne „siostrzane” wsparcie od Moniki Schnitzer, członkini niemieckiej Rady Ekspertów Ekonomicznych. W wywiadzie prasowym pani Schnitzer argumentuje, że w przeszłości embargo na energię nigdy nie działały natychmiast. „Nie znam z historii żadnego przykładu, który natychmiast powstrzymałby wojnę”. Zauważyć warto niemal bliźniacze podobieństwo argumentacji. Annalena Baerbock mówiła o braku szans na zakończenie za pomocą sankcji wojny „jutro”, a Monika Schnitzer ocenia, że nie da się wojny zamrozić „natychmiast”. Ale już o tym, że sankcje mogłyby rzucić Putina na kolana w ciągu miesiąca, żadna z pań nie wspomina.

O wiele więcej niemiecka członkini Rady Ekspertów miała natomiast do powiedzenia na temat ogromnych szkód dla gospodarki, które wynikać by mogły z sankcji na gaz i ropę. Jak wskazała: „Jeśli zsumować częściowe efekty różnych badań naukowych, to produkt krajowy brutto Niemiec mógłby odnotować spadek o 5 punktów procentowych, ale może to być więcej. Dostosowanie się do tej sytuacji zajęłoby przemysłowi wiele lat”.

To podobieństwo wypowiedzi czołowej polityk Zielonych i przedstawicielki wielkiego biznesu ukazuje, że partia Zielonych stała się ugrupowaniem suflującym w polityce stanowisko wielkiego biznesu. Na tym tle nie dziwi już specjalnie to, że szef liberalnej FDP Christian Lindner także zdecydowanie odrzuca gwałtowne zakończenie kupowania gazu i ropy od Rosjan. W rządzie koalicji SPD-Zieloni-FDP jedynym pozytywnym przykładem życzliwości wobec Ukrainy pozostaje wicekanclerz i minister gospodarki Robert Habeck, który w skutek osobistego uporu przeforsował sprzedaż Ukraińcom transporterów Marder.

Tajemnicza metamorfozy Zielonych u władzy wynikać może z faktu, że cała ideologia antywojenna od końca lat 60. zbudowana była na antyamerykanizmie. Wojna była złem, ale głównie, gdy samoloty B-52

bombardowały Hanoi, Pentagon stawiał rakiety Pershing w niemieckich bazach, a potem – gdy prezydent George Bush junior obalał reżim Saddama Husajna. Gdy Rosjanie mordowali w Afganistanie, wyżyłali Czeczenię lub napadali na Gruzję, nie było wieluset tysięcy demonstracji pokojowych. Antywojenny aktywizm lewicy był z jednej strony moralnie ubogacający, a z drugiej strony bezpieczny. Bo Amerykanie prowadzili swoje wojny dziesiątki tysięcy kilometrów od Niemiec.

Inaczej jest, gdy wojnę prowadzi Rosja, której najdalej wysunięty na zachód obszar znajduje się 388 km od granicy RFN. Trudno określić, w jakim stopniu ten lęk przed Rosją jest wynikiem pamięci genetycznej po masowych mordach dokonywanych przez żołnierzy Armii Czerwonej na niemieckich cywilach i gwałtach na niemieckich kobietach w latach 1944–1945. Faktem jest, że gdy pojawia się kwestia zagrożenia rosyjskiego i rosyjskich win, Niemcy reagują inaczej, niż gdy mowa jest o przewinach Amerykanów. Jankesów odsądzać od czci i wiary jest miło i bezproblemowo, przed krytykowaniem Rosjan wielu Niemców zastanowi się trzy razy.

WYCOFUJĄC SIĘ RAKIEM

Czy szok wywołany rosyjską bezwzględnością na Ukrainie nie budzi głębszej refleksji? Owszem, budzi. Prezydent RFN Frank-Walter Steinmeier zadeklarował, że jego błędem było to, że jako szef niemieckiej dyplomacji trzymał się idei Nord Stream 2. Stwierdził, że próba zintegrowania Rosji ze wspólną architekturą bezpieczeństwa Europy się nie powiodła. Jak przyznał: „Trzymaliśmy się mostów, w które Rosja już nie wierzyła i przed którymi, ostrzegali nas nasi partnerzy”.

Swoją długą politykę „zaufania Rosjanom” krytycznie ocenia też były premier Brandenburgii Matthias Platzeck z SPD. Na wyścigi deklaruje troskę o Ukraińców Manuela Schwesig – premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego, która jeszcze do niedawna walczyła o Nord Stream 2. Najbardziej dojrzałą samokrytykę przeprowadził były przewodniczący Bundestagu Wolfgang Thierse, który zadał kluczowe pytania o zakłamanie niemieckiego pacyfizmu ostatniego półwiecza. Na łamach „Die Welt” pisał: „Czy wystarczy demonstracja na ulicach przeciwko wojnie Putina? Pacyfizm kosztem innych służy tylko własnemu dobru. To dlatego nie mogą podpisać apelu przeciwko programowi zbrojeń podjętemu przez kanclerza Scholza”. Thierse gorzko

wskazuje: „Naszym celem, który połączył ruch pokojowy i politykę europejską, było zapobieżenie wojnie (przynajmniej) w Europie. Nie powiodło się. Jakie są konieczne konsekwencje tej gorzkiej porażki? Musimy zadać sobie to pytanie [...]. Byłem na wielkich demonstracjach w Berlinie przeciwko wojnie Putina i widziałem różne plakaty. Na przykład: »Żołnierze to mordercy«, wyobraźcie sobie, że jest wojna i nikt nie podejmuje broni. Czy: »Zawrzyjmy pokój bez broni«. Hasła starego ruchu pokojowego wydają się przestarzałe, przynajmniej bezmyślne, a Ukraińcom muszą wydawać się cyniczne».

O tym, jak mocne są stare nawyki myślowe niemieckiej postępowej inteligencji, świadczy sam ton niemieckich relacji medialnych dotyczących wojny na Ukrainie. Trafnie zdefiniował to Klaus Bachmann na łamach „Gazety Wyborczej”. „W polskich mediach – obecnie niemal wszystkich – niezależnie od opcji Ukraińcy dzielnie i bohatersko walczą i ku uciesze Polaków zabijają dużo Rosjan. W Niemczech aspekt militarny jest maksymalnie wyciszany. [...] Ukraina nie uchodzi za ofiarę, lecz jest stroną w konflikcie”. Bachmann wskazał na bardzo silną w niemieckiej tradycji pacyfistycznej wizję, w której na Bogu ducha winnych ludzi spada przekleństwo wojny. Ten wątek pojawiał się wyraźnie w zamyśle Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i wywołał konflikt wokół takiego opowiadania o historii. W wypadku Niemiec takie myślenie spowodowało jeden bardzo charakterystyczny konflikt. Gdy w Berlinie zaplanowano zorganizowanie wielkiego koncertu przeciwko wojnie na Ukrainie, przedstawiciele ambasady ukraińskiej ze zdumieniem odkryli, że Niemcy chcieli zaprosić do udziału w koncercie wielu rosyjskich wykonawców. Dla Ukraińców było to nie do pomyślenia. Niemcy z kolei nie rozumieeli tych obiekcji. W ich myśleniu groza konfliktu spadała na wszystkich: Ukraińców, Rosjan, obrońców Charkowa, rosyjskich poborowych. To na tle takiego myślenia pojawiła się opinia kanclerza Scholza, że jest to wojna Putina, a nie wojna Rosjan.

Kolejny nurt myślenia to święte przekonanie, że w relacjach rosyjsko-niemieckich nastąpiły jakieś godne ubolewania zakłócenia, ale trzeba tylko cierpliwie czekać, a już niedługo na pewno wszystko będzie dobrze. Były niemiecki komisarz UE Günter Verheugen z SPD już deklaruje: „Musimy być gotowi na ponowne wyciągnięcie ręki do Rosji”. Verheugen ocenia, że błędem był udział Unii Europejskiej w operacji zmiany

reżimu na Ukrainie w 2013 r. Jak wskazał, istotą obecnych nieporozumień było to, że zaprzestano rozwiązywać problemy w dialogu z Moskwą. Stwierdził: „Powodem było to, że UE w coraz większym stopniu podążała za linią USA. Waszyngton uważał, że w dłuższej perspektywie czasowej należy osłabić Rosję, aby nie mogła ponownie stać się rywalem. Głównym złem w oczach Rosjan było rozszerzenie NATO na wschód”. Krótko mówiąc, Verheugen uważa, że Rosja uznała wejście Europy Środkowej do Unii Europejskiej, ale już rozszerzenie NATO było rzuceniem Moskwie wyzwania.

Co ciekawe, ten socjaldemokrata zupełnie serio i bez skrępowania uznaje, że są państwa, które mogą podejmować decyzje o swojej afiliacji do paktów międzynarodowych, i są nimi np. Niemcy, a są też kraje na wschodzie Europy, które muszą oglądać się na zgodę Rosji. Ten nurt realizmu prezentuje najlepiej sama Angela Merkel. W oświadczeniu wydanym w jej imieniu

**O tym, jak mocne są stare
nawyki myślowe niemieckiej
postępowej inteligencji,
świadczy sam ton
niemieckich relacji
medialnych dotyczących
wojny na Ukrainie**

rzeczniczka byłej kanclerz wyraziła ubolewanie z powodu wojny na Ukrainie, ale podtrzymała swój sprzeciw wobec akcesji Ukrainy do Unii Europejskiej.

To czekanie na cudowny moment, kiedy będzie można znów rozmawiać z Rosjanami, wydają się też podzielać niektórzy publicyści. Gdy prezydent Biden w warszawskim wystąpieniu nazwał Putina rzeźnikiem, natychmiast zareagował publicysta tygodnika „Der Spiegel”, który oburzył się na to określenie jako odcinające drogę do negocjacji z Moskwą. A burmistrz Berlina Franziska Giffey z SPD dziwi się, dlaczego pojawiają się wezwania do zerwania partnerstwa stolicy Niemiec z Moskwą. Giffey podkreśla konieczność utrzymania partnerskich stosunków z rosyjskim partnerem, co oznacza, że relacje między oboma miastami są jedynie na razie zawieszane. Przypomnieć należy, że rejestracja rurociągu Nord Stream 2 jest z prawnego punktu widzenia wciąż jedynie zawieszona.

Parada ok. 500 samochodów z rosyjskimi flagami, która przejechała ulicami Berlina, zaniepokoiła niemieckie media. Była sygnałem, że Rosjanie są zdolni do uruchomienia rosyjskiej mniejszości w ojczyźnie Olafa Scholza. Trudno nie odnieść wrażenia, że był to wyraźny sygnał ze strony Moskwy, mający przypomnieć Niemcom, że Kreml jest w stanie nieźle namieszać nad Sprewą.

ŁĘK PRZED PRZYSZŁOŚCIĄ

Niemcy mają problem. Jak żyć z nowym Attyłą? Od ok. 1970 r. istotą niemieckiej polityki była wiara, że Związek Sowiecki będzie zmieniał się na lepsze. W epoce Breżniewa te zmiany miały wynikać z wzajemnie korzystnego dla Niemiec i ZSRS handlu i ducha odprężenia. Potem zmianą Rosji na lepsze miała być pierestrojka Gorbaczowa. Gdy już ZSRS upadł, kolejną nadzieją miała być demokratyzacja Borysa Jelcyna. A gdy Jelcyna zastąpił Putin – Rosję miało zmieniać na lepsze „Russlandversteherung”, czyli rozsądne branie pod uwagę rosyjskich aspiracji w Europie.

Teraz te nadzieje zostały w dużej mierze zdruzgotane przez brutalność Kremla, ale nic nie zapełnia tej próżni. Tylko nieliczni mówią o znaczącym wzmocnieniu Bundeswehry. Owszem, kanclerz Scholz zaakceptował program wzmocnienia niemieckiej armii, czego symbolem jest plan zakupu amerykańskich myśliwców F-35, ale program ten jest już kontestowany np. przez młodzieżówkę partii Zielonych. Co rusz pojawiają się banały o tym, że wzmacnianie siły zbrojnej to droga donikąd, a jedynym rozwiązaniem są rozmowy pokojowe. I tylko dziennik „Die Welt” pisze w dramatycznym tonie: „Zmiana kursu przez Olafa Scholza 27 lutego była spowodowana strachem, a nie odwagą. Ukraina była okłamywana, a za kulisami nadal utrzymywano bliskość z Rosją. To jeden z powodów, dla którego masakra w Buczy była możliwa. Rząd niemiecki ponosi teraz część winy za masakrę w Buczy i Mariupolu”.

Trudno stwierdzić, czy takie ostre oskarżenia robią wrażenie na szefie niemieckiego rządu. Być może bardziej przekonują go wyniki pierwszych po elekcji do Bundestagu wyborów landowych w kraju Saary. SPD wygrało tam w cuglach, zdecydowanie dystansując rywali z CDU. Niemcy popierają linię Olafa Scholza. To mało krzepiąca wiadomość dla Ukrainy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**O PRZESZŁOŚCI KANCLERZA NIEMIEC
CZYTAJ NA STRONIE 82**



W programie „Strefa starcia” w TVP, gdzie publiczność zadaje pytania zebranym politykom, głos zabrała Jolanta Milas z Katowic (niegdyś próbowała wejść do polityki z listy Polski Fair Play, nieudanej inicjatywy prof. Roberta Gwiazdowskiego). Pani Milas spytała, dlaczego Polska z zapowiedzią jednostronnej rezygnacji z rosyjskich surowców wychodzi przed szereg, jaki będzie koszt tego posunięcia oraz kto wynagrodzi polskim firmom straty wynikające z sankcji. Odpowiedział europoseł Dominiki Tarczyński: „Walczyliśmy, aby sankcje zostały wprowadzone za wszelką cenę, żeby nie obcięli pani uszu. Aby nie wyrwali pani zębów tak jak tym osobom, które dzisiaj odkryto. Aby nie zgwałcono pani tak jak 10-latkę, którą dzisiaj przywieźli do szpitala”. Nie trzeba dodawać, że europoseł PiS ani słowem nie odniósł się do konkretnych przecieży pytań. Wobec tak skrajnej demagogii osoba zadająca konkretne, racjonalne pytanie o skutki działań naszego państwa właściwie musi skapitulować. Z tym nie da się dyskutować.

W obliczu tego, co robią Rosjanie na Ukrainie, łatwo dać się ponieść emocjom. Socjologowie i psychologowie twierdzą, że z emocjonalnym przekazem, ze zdjęciami zabitych cywilów, zwłaszcza dzieci, nie wygra żadna racjonalna argumentacja, bo po prostu tak jest konstruowana psychika większości ludzi. Między innymi dlatego umowna partia zdrowego rozsądku przegrywa dzisiaj w elitach, ale też chyba wśród zwykłych Polaków, z partią emocji i wojny.

ZA WSZELKĄ CENĘ

Wbrew temu, co twierdzą niektórzy, partia zdrowego rozsądku nie kwestionuje ani działań mających na celu powstrzymanie Rosji, ani pomagania Ukrainie, ani też przyjmowania w Polsce uchodźców z tego kraju – co po prostu mamy obowiązek robić, i z punktu widzenia etyki, i zobowiązań prawnomiędzynarodowych. Jej członkowie – obojętnie, jakie są ich polityczne poglądy – odmawiają natomiast poddawania się wszechobecny emocjom, starają się przewidywać konsekwencje podejmowanych dziś na chybcika decyzji, pytają o ich skutki, proszą o wyliczenie kosztów.

Naprzeciwko nich stają ludzie, którzy kwestionują i zadawanie pytań, i domaganie się wyliczeń czy analiz. Ich stanowisko ujął w lakoniczny sposób Jan Rokita, pisząc w felietonie na portalu Teologii Politycznej:



Partia zdrowego rozsądku



Łukasz Warzecha

W obliczu tego, co robią Rosjanie na Ukrainie, łatwo dać się ponieść emocjom. Grupa ludzi zdolnych do posługiwania się w obecnej sytuacji zdrowym rozsądkiem, do analizy i chłodniejszego spojrzenia topnieje w zastraszającym tempie

„Dlatego nie ma ani takiego ryzyka, ani takiej ceny, której nie warto by zapłacić za pobicie Rosji teraz, na Ukrainie, bo potem będzie to nie tylko trudniejsze, ale na dodatek dzieć się będzie zapewne w Polsce. Ta ostatnia okoliczność winna być – jak sądzę – rozstrzygająca dla polskich polityków”.

Stwierdzenie, że „nie ma takiego ryzyka ani takiej ceny”, której nie warto było by zapłacić za osiągnięcie określonego celu, musi budzić konsternację w ustach publicysty, który nabierał doświadczenia jako polityk. Jest bowiem logicznym paradoksem: w imię zażegnania rzekomo stuprocentowo pewnego zagrożenia mamy podjąć wszelkie ryzyko – a więc również ryzyko spowodowania tego zagrożenia na siebie znacznie szybciej, gdy nie będziemy jeszcze kompletnie gotowi na jego odparcie. Ze stwierdzenia Rokity wynika również, że skoro zasadne jest podjęcie wszelkiego ryzyka i zapłacenie dowolnej ceny, to wyliczanie czegokolwiek nie ma sensu.

Rokicie wtórują osoby takie jak wiceminister spraw wewnętrznych Maciej Wąsik, który na Twitterze napisał w kontekście

jednostronnej rezygnacji przez Polskę z rosyjskich surowców: „Jestem w stanie zapłacić każdą cenę za to, żeby oprawcy z Buczy, Irpienia i Hostomela nigdy nie postawili nogi na polskiej ziemi”. Każdą cenę – można by spytać – czyli w praktyce ile, nawet gdyby sprowadzić to jedynie do pieniędzy? Również taka, która wywinduje nas na poziom kilkudziesięcioprocentowej hiperinflacji i zepchnie miliony Polaków w strefę ubóstwa? Czy wtedy bardziej osłabimy Rosję czy siebie samych? To są pytania, które próbują zadawać członkowie partii zdrowego rozsądku.

POWTÓRKA Z PANDEMII

Odpowiedź jest jednak identyczna jak ta z okresu epidemii, gdy wszystkich sceptyków wobec polityki epidemicznej czy obowiązkowych szczepień pakowano do jednego worka z etykietą „antyszczepionkowcy”. Dotyczyło to również zaszczepionych. Teraz wszyscy zadający pytania to „ruskie onuce”, nawet jeśli ich stosunek do Ukrainy jest przychylny, a do Rosji – skrajnie negatywny, oraz gdy są zwolennikami daleko posuniętych sankcji.

Przykładów szaleństwa, ogarniające drugą stronę, jest aż nadto.

Wojciech Jakóbiak, redaktor naczelny portalu Biznes Alert zajmującego się profesjonalną analizą rynków energetycznych, do niedawna funkcjonował jako jeden z najlepszych, najbardziej rzeczowych i wiarygodnych ekspertów w tej dziedzinie. Był zresztą przywoływany w tekstach publikowanych w „Do Rzeczy”. Od kilku tygodni nie tylko stał się zwolennikiem natychmiastowej rezygnacji z rosyjskich surowców niezależnie od konsekwencji ekonomicznych takiego posunięcia, lecz także zaczął się posługiwać bardzo emocjonalnym językiem, dalekim od miarodajnej analizy rynku energetycznego. Próżno szukać w jego wypowiedziach informacji o kosztach nagłego odcięcia rosyjskich ropy, węgla i gazu, za to co chwila pojawiają się odwołania do czynów Rosjan na Ukrainie, co ma być odpowiedzią na wszystkie wątpliwości natury gospodarczej. Pisząc o rosyjskich surowcach, nieodmiennie dodaje określenie „krwawe”, a o rosyjskim prezydencie pisze wyłącznie „Putler”. To o tyle dziwne, że najwięksi producenci ropy naftowej na świecie, włączając w to Wenezuelę, Iran czy Arabię Saudyjską, nie należą, mówiąc najdelikatniej, do czempionów demokracji i mają mnóstwo za uszami. Arabia Saudyjska uczestniczy w okrutnej, trwającej od 2015 r. wojnie w Jemenie, gdzie ścierają się jej interesy jako kraju sunnickiego z interesami szyickiego Iranu. Szacuje się, że wojna pochłonęła już przynajmniej 300 tys. ofiar. Jednak o ropie saudyjskiej Jakóbiak nie pisze „krwawa”.

Cezary Kaźmierczak jest szefem Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, zrzeszającego głównie mniejsze firmy. ZPP jeszcze w 2019 r. opublikował komunikat zatytułowany „Polskie firmy powinny próbować swoich sił w Rosji”. W komunikacie cytowana jest wypowiedź samego Kaźmierczaka: „Polski biznes w Rosji powinien być elementem polskiego soft power, szczególnie w obwodzie królewskim. Nie zarekomendowałbym żadnemu polskiemu przedsiębiorcy, żeby budował tam fabrykę, ale każdy inny rodzaj biznesu to już tak. Budowanie takich przyczółków jest korzystne dla Polski i konkurencja również jest umiarkowana – stosunkowo łatwo odnieść sukces”. Pod koniec marca ten sam ZPP opublikował memorandum zatytułowane „Rosja nie jest dla nas atrakcyjnym rynkiem zbytu, ograniczenie wymiany handlowej nie powinno być więc istotnym problemem dla firm”. Zagadką po-

Niektórzy całkowicie cynicznie wykorzystują nastroje do forsowania swojej politycznej agendy lub przykrywania własnych błędów

zostaje, dlaczego związek kierowany przez Kaźmierczaka, dziś dyszącego – składnąd zrozumiałą – nienawiścią do Rosji, rekomendował robienie tam interesów pięć lat po pierwszej agresji rosyjskiej na Ukrainę, po wystarczająco wielu latach rządów Władimira Putina, aby można sobie na ich temat wyrobić zdanie. Najwyraźniej wtedy względy etyczne nie grały, zdaniem szefa ZPP, roli.

Od momentu wybuchu wojny na Ukrainie Kaźmierczak na swoim twitterowym koncie publikuje w zasadzie wyłącznie skrajnie emocjonalne wezwania do „derusyfikacji” wszystkiego. „Bydło ruskie”, „dzicz”, kpiny z „realistów”, nawoływania do jak najdalej posuniętych kroków – to zawartość twitterowego konta szefa ZPP. Jest to o tyle niezwykle, że w wyniku wojny na Ukrainie i wprowadzanych sankcji ucierpiało wiele polskich firm, w tym przede wszystkim z branży transportowej, gdzie od wywiązania się z wcześniej podpisanych kontraktów zależy często przetrwanie przedsiębiorstwa. O tych problemach mówi rzecznik małych i średnich przedsiębiorców Adam Abramowicz, ale wydają się one kompletnie nie interesować Kaźmierczaka, choć przecież powinny, bo takie firmy grupuje ZPP.

Z kolei wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński na posiedzeniu Rady UE ds. Edukacji, Młodzieży, Kultury i Sportu w Luksemburgu nawoływał, aby rosyjską kulturę wyeliminować z przestrzeni publicznej. Gliński stwierdził, że to nie jest dobry sezon na Czechowa, a nawet Puszkina. „Z przestrzeni publicznej kultura rosyjska powinna zniknąć. Co innego jest oczywiście to, że doceniamy pewne osiągnięcia tej kultury w muzyce, literaturze, bo one są na najwyższym poziomie, ale ze względu na kontekst – mamy do czynienia z krajem, który oszalał, który za pomocą brutalnej siły i zabijania ludzi, cywilów, dzieci próbuje realizować swoje jakieś obłędne cele polityczne. Na to nie ma zgody. I niestety, w tej sytuacji także kultura rosyjska jakby jest ofiarą tych

decyzji Federacji Rosyjskiej i ich przywódców politycznych” – powiedział.

Można zadać sobie pytanie, co z niepoprawnym politycznie za czasów sowieckich Michaiłem Bułhakowem czy tym bardziej niepoprawnym Aleksandrem Sołżenicynem albo z obnażającym mechanizmy rosyjskiego państwa Wiktoorem Suworowem. Dlaczego ofiarą sytuacji miałby padać choćby Nikołaj Gogol, bezlitośnie kpiący z rosyjskiej degrengolady, służalczości, fikcyjności państwowych struktur? To prawda, że funkcjonujące dzisiaj rosyjskie instytucje kulturalne, takie jak Teatr Bolszoj czy Chór Aleksandrowa, nie mają w naszej części Europy racji bytu. Ale twierdzenie, że powinno się wyeliminować ze sfery publicznej twórców żyjących kilkadziesiąt, sto i więcej lat temu lub współczesnych, wrogich wobec reżimu, jest już szaleństwem.

Do Rzecznika Praw Obywatelskich docierają sygnały, że w bankach odmawia się założenia kont obywatelom Białorusi czy Rosji – także tym, którzy przyjechali do Polski dawno temu, w tym umykając przed reżimem czy to Łukaszenki, czy Putina. We Wrocławiu miejski zakład komunikacyjny naciska na podwykonawcę, żeby zwolnił kierowców pochodzących z Rosji, a więc ludzi, którzy uczciwie w Polsce pracują, płacą tu podatki, a jedyną ich winą jest obywatelstwo. O ich poglądach politycznych, w tym na agresję rosyjską na Ukrainę, nic nie wiadomo.

CORAZ MNIEJ NAS

Grupa ludzi zdolnych do posługiwania się w obecnej sytuacji zdrowym rozsądkiem, do analizy i chłodniejszego spojrzenia topnieje w zastraszającym tempie. Po drugiej stronie motywacje są dwojakie. Część autentycznie buzuje emocjami, których nie umieją pohamować. To może być niepokojące szczególnie w przypadku przedstawicieli elity, którzy powinni być zdolni do racjonalnej oceny wypadków. Część wpisuje się gładko w dominującą narrację – dotyczy to zwłaszcza koniunkturalistów medialnych. Część natomiast całkowicie cynicznie wykorzystuje nastroje do forsowania swojej politycznej agendy lub przykrywania własnych błędów. Jak powiedział w ubiegłym tygodniu Piotr Arak, dyrektor państwowego Polskiego Instytutu Ekonomicznego, przez wojnę wszystko zdrożeje. Kto by się tam w takiej sytuacji zastanawiał, dlaczego wszystko drożało również przed wojną?



Na tle dotychczasowej publicystyki Roberta Krasowskiego „O Michniku” może zaskakiwać. W poprzednich książkach – by wspomnieć choćby „O demokracji w Polsce” sprzed trzech lat i wcześniejszą trzys tomową „Historię polityczną III RP” – przyzwyczaił nas do bardzo specyficznej optyki, sprowadzającej politykę do makiawelicznej gry o władzę i pieniądze. Specjalnością, wręcz pasją Krasowskiego wydawało się pozbawianie czytelnika złudzeń. Precyzyjnemu opisowi intryg, podjazdowych wojen, zdrad, podkładania sobie świni etc. towarzyszyło swoiste spłaszczanie portretowanych postaci. Rządzący III RP i ich protagoniści dzielili się w oglądzie Krasowskiego tylko na skutecznych i nieudaczników, wszyscy przypominali sobie nawzajem jak pionki w warcabach. W jego opisie historii najnowszej wartości, ideologie czy posłannictwa nie istniały, były przedstawiane tylko jako fasada, zasłona dla naiwnych, kryjąca powszechne w klasie politycznej cwaniactwo i wyrachowanie.

MEGALOMAN I POZER

Tym razem polityka, wbrew zapewnieniom składanym przez autora we wstępie, schodzi na dalszy plan, a przedmiotem analizy jest sam bohater – w poprzednich książkach raczej wzmiankowany niż zaprezentowany czytelnikowi. Powiedzmy od razu, że Michnik w opisie Krasowskiego jawi się jako, najdelikatniej mówiąc, kompletny psychopata. Megaloman z nieprzepartą potrzebą skupiania na sobie uwagi, pozer drapujący się teatralnie w szaty „cierpiącego za miliony” Mickiewiczowskiego Konrada i zarazem arcykapłan kultu własnego męczeństwa, z wyżyn swej świętości szantażujący wszystkich dookoła jako niedorastających do wyznaczonych im celów. Człowiek, który w państwie zniewolonym zajął się działalnością podziemną nie pomimo tego, że mógł za to trafić do więzienia, ale właśnie po to, by trafić do więzienia i móc to zdyskontować w swojej legendzie, a w państwie wolnym zajął się polityką, bo tylko tam mógł stawiać barykady nie po to, by czegoś na nich bronić, tylko po to, by na nich stać niczym na cokole i być obiektem podziwu.

Michnik opisany przez Krasowskiego przekonany jest na dodatek, że moralna wyższość daje mu nie tylko nieomyślność w wyznaczaniu celów, lecz także prawo do osiągnięcia ich wszelkimi, najpodlejszymi



FOT. JACEK JONK/REPORTER

Szaleństwo Adama M.



Rafał A. Ziemkiewicz

Po niedawnej biografii Graczyka „Demiurg” i liczącej sobie już 16 lat „Michnikowszczyźnie” dostaje teraz czytelnik coś w rodzaju politycznej psychoanalizy – książkę Roberta Krasowskiego pod bezpretensjonalnym tytułem „O Michniku”

nawet metodami – do niszczenia przeciwników cichą obmową i zmasowanymi nagonkami, ale też, gdy to akurat uzna za stosowne, do bezwstydnego, demonstracyjnego lizusostwa, intryg i manipulacji. Aby przeforsować swoją aktualną idée fixe, nie cofnie się przed niczym, przekroczy

każdą granicę. Przy czym w całej swej działalności tak nakreślony bohater miota się od ściany do ściany: ważne jest dla niego, by być zawsze najbardziej radykalnym i niedościgle skrajnym, a w czym akurat, to jest kwestią chwili. To, by poprzestać na najbardziej znanym z wielu przykładów,



przelicytował wszystkich w nienawiści do Jaruzelskiego i Kiszczaka, bezlitośnie miazdząc z wyżyn Niezłomnego zdrajców podających im rękę, to nagle obłapia się z nimi i od najgorszych ubliża każdemu, kto chciałby rozliczać za winy komunizmu.

Oczywiście Krasowski nie używa tych wszystkich określeń – ale narzucają się one czytelnikowi nieodparcie, gdy sucho i konkretnie relacjonuje mu autor książki kolejne kampanie, furię i szarżę swego bohatera.

WIĘZIENNE OLŚNIENIE

Nie twierdzę, że ten portret Michnika jest nieprawdziwy. Każdy, kto się z tą postacią zetknął, przyzna, że co najmniej jego megalomania i emocjonalna niestabilność rzucają się w oczy. Nie jestem natomiast pewien, czy to jest spojrzenie intelektualnie, poznawczo płodne. Wolę obstawać przy swojej analizie i np. podtrzymać, że kiedy Michnik w latach 80. terroryzował moralnie całą opozycję, że każdy, kto negocjuje z „czerwonym”, jest świnią i zdrajcą, a jednocześnie jego najbliższy przyjaciel Kuroń takie właśnie negocjacje za pośrednictwem płk. Lesiaka nawiązywał, to była to cyniczna gra na zapewnienie sobie pierwszeństwa w przyjęciu oczekiwanej ze strony komunistów „odwilżowej” oferty – a nie po prostu paranoja.

Mimo że rzecz ma charakter chronologicznie poprowadzonej, rzeczowej opowieści, czytelnik zainteresowany Michnikiem i historią ustrojowej transformacji niewiele się nowego od Krasowskiego dowie. Najbardziej zdziwi go zapewne przemilczany dotąd wątek religijnego olśnienia, którego miał bohater opowieści doznać w więzieniu, i na poły mistycznych objawień, nakazujących mu stać się dla narodu wzorem męczeństwa i przebaczenia przestawcom. Ale Krasowski niczego tu nie zmyśla, trzyma się ściśle świadectwa samego Michnika, które dotąd jakoś powszechnej uwadze umknęło – co skądinąd jest jednym z wielu dowodów, że zwolennicy Michnika zwykli ustawiać sobie jego książki na półce bez zaglądania do nich.

„O Michniku” będzie zapewne postpowowane jako domniemana zemsta Krasowskiego – autor jest przecież jedną z wielu osób, które padły ofiarą pieniackiego terroryzowania krytyków pozwami sądowymi, przez wiele lat uprawianego z sukcesami przez redaktora naczelnego „Wyborczej”. Osobiście sądzę, że jeśli

nawet przyczyną powstania książki jest złość na Michnika, to z innego zupełnie powodu. Do wspomnianej na wstępie historii politycznej III Rzeczypospolitej, pracownice rozpisanej przez Krasowskiego na cztery książki, Michnik ze swoimi furiami zupełnie mu nie pasuje. Gorzej – kompletnie przeczy poza tym jednym wypadkiem brzmiącej całkiem przekonująco, makiawelicznej interpretacji trzydziestolecia politycznych sporów jako cynicznej walki o stołki, wpływy i możliwość, by użyć określenia Towarzysza Szmaciaka – „dojenia”.

WSZYSTKIE PORĄŻKI

Jakkolwiek bowiem analizować działalność Michnika – i ta warstwa książki wydaje mi się najciekawsza – każdy z jego historycznie realizowanych projektów od początku skazany był na porażkę. Co więcej – każdy był katastrofą przede wszystkim dla sprawy, której miał posłużyć. Poparcie Michnika nieodmienne okazywało się w III RP „pocątkiem Almanzora”. Od „Adama” nie sposób było się odciąć, a dzięki wyproszonej u Wałęsy gazecie nie sposób było też zachować przy nim własny głos. Formacje, w które Michnik inwestował, albo skończyły marne, jak Unia Demokratyczna/Wolności i SLD, albo w ogóle nie zdołały zaistnieć, jak LiD czy Europa Plus, albo, jak obecna lewicowo-liberalna opozycja, uwięzione zostały w pułapce niemożności.

Tej ostatniej realizacji „kłatwy Michnika” brakuje mi w opowieści Krasowskiego, zakończonej opisem „afery Rywina” jako momentu kompromitacji bohatera książki i ostatecznej utraty przez niego politycznych wpływów. Ja skończyłem w tym samym punkcie, ale moja książka wtedy została napisana i wydana. Przez ostatnich 16 lat dokonał się zaś jeszcze większy upadek Michnika i to mógłby być ciekawy wątek książki pisanej obecnie: mit, który Michnik stworzył i który zapewnił mu siłę, stał się pośmiewiskiem.

Tego mitu Krasowski w ogóle nie dostrzega – tu widzę jego największą słabość. Czytelnik książki „O Michniku” nie dowie się z niej, dlaczego megaloman zdobył sobie tak wielki posłuch, dlaczego jego gazeta przez ponad dekadę dyktowała setkom tysięcy inteligentów

i wszystkim innym mediom, co myśleć, kogo kochać i kim gardzić. Sprawność Michnika w intrygach i manipulacjach ani domniemany edytorski geniusz Heleny Łuczywo do takiego sukcesu by nie wystarczyły.

Michnik w istocie trafił wręcz idealnie w „zamówienie społeczne” postpeerelowskiej „inteligencji pracującej”, byłej elity PRL. Stworzył i osobą „męczennika za wolność” uwiarygodnił narrację, w której to właśnie inteligencja – w istocie w PRL bierna i uwikłana w codzienną kolaborację – postawiona została w centrum wielkiego, dziejowego przełomu. To nie robotnicze strajki, ale ona „odmowa, niezgoda i upór” obaliła komunę; i więcej, gdy już obaliła, to wzniosła się ponad i wybaczyła, zaniechała rozliczeń, okazała swą moralną wyższość! To, co było po prostu skutkiem słabości nowej władzy i negocyjacyjnego trybu przejęcia państwa, podniósł Michnik do rangi wielkiego, moralnego zwycięstwa i aktu założycielskiego wolności. Ludzie, którzy nie zrobili w całym życiu nic, by pokonać zło komunizmu, a nagle dowiedzieli się, że tak sobie nic nie robiąc, byli „kamieniami, które zmieniły bieg lawiny”, nie mogli się w Michniku nie zakochać frenetycznie i nie dać mu się poprowadzić, gdzie chciał.

Czyli, tu Krasowski ma rację, do totalnej klęski.

Tę klęskę spuentowały KOD i inne groteskowe ruchy „totalnej opozycji”, wierzące, że powtórzą ów historyczny triumf, który wmówił Michnik swym wyznawcom: świadczy o tym cała symbolika „obozu demokratycznego”, jego hasła, męczeńskie odruchy i wszystkie inne podrygi. Wydaje mi się, że do podsumowania zjawiska „Adam Michnik” jest to pointą znacznie bardziej wymowną niż przebrzmiała afera i zapomniana komisja śledcza.

Przy wszystkich swych mierzalnościach ma książka Krasowskiego wielki atut: skutecznie demitologizuje czasy ustrojowego przełomu, na których temat naprodukowano mnóstwo wzniosłych bzdur, do dziś pokutujących w mediach i umysłach. Zwięźle przypomniane fakty same w sobie stanowią dla czytelnika wartość, bez względu na to, kogo zechce on zobaczyć w Michniku.



Agnieszka Niewińska

– Miejsca u nas nie brakuje – mówi proboszcz z wielkopolskiej Zimnowody, gdzie na probostwie zamieszkało 12 osób z Ukrainy. Parafie w ostatnim czasie wiele sił włożyły w pomoc uchodźcom, ale działania charytatywne to dla większości z nich chleb powszedni

Czy do zmywarki wystarczy tabletki i sól czy potrzebny jest też środek nabyłszy? – radzi się mnie ks. Artur Michalak, proboszcz parafii Świętej Trójcy w Zimnowodzie w archidiecezji poznańskiej. – Pytam, bo nie miałem zmywarki. Przy jednej osobie się nie opłacało. Teraz jest nas 13, więc cała ekonomia się zmienia. Zmywanie w zmywarce wychodzi korzystniej, więc kupiliśmy – tłumaczy. Na probostwie przyjął 12 osób z Ukrainy, które uciekły przed wojną. Są dwaj chłopcy w wieku niemowlęcym, 12-latek, dziewczynki w wieku 3, 10 i 11 lat oraz sześć kobiet. Dwie z nich są już babciami. Część uciekła z podkijowskich Browarów, kiedy zaczęły się pierwsze działania wojenne, część przyjechała z okolic Charkowa. – Chęć przyjęcia uchodźców zgłosiłem zaraz po wybuchu wojny. Miejsca u nas nie brakuje, bo moja parafia była niegdyś parafią werbistów. Zbudowano duże probostwo z myślą o tym, że zamieszkają tu księża powracający z misji. Dzięki temu dzisiaj rodziny, które przyjęliśmy, mają własne pokoje. Wspólnie korzystamy z kuchni, ale musimy posiłki jeść na tury, bo wszyscy naraz się nie zmieścimy – śmieje się proboszcz parafii Świętej Trójcy.

DOM DLA 800 OSÓB

Wśród działań charytatywnych Kościoła po 24 lutego na pierwszy plan wyszła pomoc uchodźcom. Zakwaterowanie na plebaniach, w ośrodkach rekolekcyjnych, domach katechetycznych, a także zbiórki darów, pomoc prawna czy kursy języka polskiego, jak np. w parafii Najświętszej Marii Panny z La Salette w Poznaniu. W czasie lekcji zapewniona jest opieka nad dziećmi, więc mamy mogą ten czas poświęcić wyłącznie na naukę.

Po 24 lutego wiele parafii, wspólnot i instytucji kościelnych zaangażowało się w pomoc uchodźcom. Wydają posiłki, dary, pomagają w znalezieniu dachu nad głową. FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER



Miłość w praktyce

Parafia św. Małgorzaty w Łomiankach zorganizowała Centrum Pomocy Ukrainie. Już dwa tygodnie po rozpoczęciu działań wojennych parafianie znaleźli zakwaterowanie dla blisko 800 uchodźców. Baza wolontariuszy liczy 200 osób – jak informuje parafia. Pomagają w zbiórce, sortowaniu i wydawaniu darów, wspierają rodziny przyjmujące i monitorują ich sytuację. Na Niedzielę Palmową parafia zaplanowała kiermasz rękodzieła wykonanego przez uchodźców z Ukrainy. Dochód przeznaczony jest na wsparcie rodzin autorek, którym trudno podjąć pracę ze względu na nieznaną języka lub kwestię opieki nad małymi dziećmi. – Możemy dziś zdawać taki egzamin z miłości do drugiego człowieka – powiedział proboszcz ks. Jacek Siekierski w wywiadzie dla RDC.

Do Zimnowody pierwsi goście z Ukrainy przyjechali w Dniu Kobiet. – Wcześniej pytano mnie o rodzinę, w której był syn w wieku licealnym, ale u nas nie ma liceum i byłby problem z dojazdami. Potem szukano miejsca dla kobiety w za-

awansowanej ciąży, tyle że do większego miasta ze szpitalem czy ośrodkiem zdrowia mamy 20 km, a ja nie mam samochodu. A raczej wtedy nie miałem. Teraz już samochód w parafii jest, udało się go zorganizować i dzięki temu panie, które u nas mieszkają, będą mogły dojeżdżać do pracy, wozić dzieci do lekarza – opowiada proboszcz ks. Artur Michalak.

Zaznacza, że w opiece nad uchodźcami zaangażowali się parafianie. – Zawsze mogę liczyć na parafialne koło Caritas, które ma doświadczenie w działaniach charytatywnych. Zaraz na początku wojny zrobiliśmy zbiórkę pieniędzy. Wykorzystaliśmy je na zakup niezbędnych rzeczy – mówi ks. Michalak. – Potrzebne były np. wymiana wysłużonej kuchenki i druga pralka, bo jedna przy tej liczbie osób nie wystarczała, zwłaszcza zaraz po przyjęciu gości z Ukrainy, kiedy mieli niewiele rzeczy i trzeba było je naraz wyprać. Niezbędne były wózki, nosidełka dla dzieci, odzież. Dużo rzeczy, które otrzymały rodziny, było zupełnie nowych. Dzięki pomocy parafian, a także burmistrza



wszystko udało się skompletować w ciągu dwóch-trzech dni. Mamy nawet trzy rowery, więc już kilka osób będzie mogło się poruszać po najbliższej okolicy. Dojeżdżał do nas OPS, pomagał w załatwieniu formalności. Mogę też prosić o pomoc poszczególnych parafian. Nie wiedziałem, gdzie trzeba zapisać dzieci do pediatry, więc zadzwoniłem z pytaniem do jednej parafianki: „Pani Aniu, czy nie chciałaby pani zostać Aniołem Stróżem dwóch kilkumiesięcznych chłopców z Ukrainy?”. Od razu się zgodziła. Dziś rodziny jadą na wizyty lekarskie, badania. Z Ukrainy musieli wyjechać nagle, nie domknęli swoich spraw medycznych.

POMOC NIE TYLKO UKRAINIE

Tak w Zimnowodzie, jak w tysiącach parafii w Polsce w sprawnym działaniu na rzecz uchodźców pomagają doświadczenia ze stale prowadzonych akcji charytatywnych. W Polsce mamy tysiące Parafialnych Zespołów Caritas reagujących na potrzeby lokalnych społeczności i włączających się w ogólnopolskie akcje. Organizują wigilie i świąteczne śniadania dla samotnych, prowadzą wypożyczalnię łóżek rehabilitacyjnych czy wózków inwalidzkich dla chorych parafian, wspierają osoby w kryzysie bezdomności.

Parafie są też ważnym partnerem uruchomionego w 2016 r. programu Caritas „Rodzina Rodzinie”. Podobnie jak osoby indywidualne czy inne organizacje kościelne mogą zadeklarować chęć stałej materialnej pomocy rodzinom z Syrii, ze Strefy Gazy, z Iraku oraz Libanu. Dzięki

regularnemu finansowemu wsparciu rodziny z Bliskiego Wschodu mogą pokryć koszty prądu, ogrzewania, kupić żywność czy leki. „Rodzina Rodzinie” to także fundusze na stworzenie czy odbudowanie zakładu pracy, kupienie niezbędnych narzędzi, co pozwala na wyjście z ubóstwa. Systematyczną pomocą objętych zostało 10 tys. rodzin.

– Do programu „Rodzina Rodzinie” przynależy już ok. 2 tys. organizacji kościelnych. Są to nie tylko parafie, lecz także różne wspólnoty: parafialne, modlitewne, zgromadzenia zakonne czy Parafialne Zespoły Caritas – mówi Anna Machowicz, specjalista ds. współpracy z darczyńcami. – Organizacje kościelne są jednym z filarów programu, bo to wspólnoty, które wewnętrznie się mobilizują i podejmują różne inicjatywy w celu zebrania środków dla potrzebujących rodzin na Bliskim Wschodzie. Inspirują lokalną społeczność, pokazują, że dodając siły, można mnożyć dobro – dodaje. I zaznacza, że przeważają cykliczne zbiórki funduszy, ale bywa, że parafianie organizują większe wydarzenie. – Przykładem może być parafia Matki Bożej Uzdrawienia Chorych w Tarnowskich Górach, która organizuje koncerty charytatywne z udziałem polskich gwiazd.

Na udział w programie „Rodzina Rodzinie” zdecydowała się parafia Opatrzności Bożej na warszawskim Wilanowie. – Wspieramy w ten sposób dwie rodziny z Syrii, a do pomocy trzeciej rodzinie zachęciliśmy parafialną Wspólnotę św. Szarbela mającą korzenie w Libanie. Decyzja na radzie parafialnej zapadła jednogłośnie. W kościele wywiesiliśmy informację, umieściliśmy puszkę na darowizny. Dostajemy od Caritas biuletyny z wiadomościami o programie, historie rodzin. Wielu parafian jest tym zainteresowanych – mówi Teresa Olędzka, koordynatorka programu „Rodzina Rodzinie” w parafii Opatrzności Bożej.

Parafie są też ważnym partnerem w działaniach charytatywnych Fundacji Małych Stópek. Ta szczecińska organizacja pomaga kobietom w ciąży, matkom, które znalazły się w trudnej sytuacji, doświadczają samotności, zostały opuszczone przez najbliższych. W działaniach organizacji nie brakuje jednak także wsparcia dla osób starszych, mieszkających w ośrodkach pomocy społecznej czy – jak ostatnio – uchodźców z Ukrainy.

– Pomoc ze strony parafii najlepiej obrazuje nasza doroczna akcja „Paczuska

dla Maluszka”, w ramach której zbieramy artykuły higieniczne i pielęgnacyjne dla dzieci. Parafie mają w nią spory wkład. W bazie mamy kontakty do 1,5 tys. lokalnych koordynatorów akcji. Są to zarówno proboszczowie, wspólnoty parafialne, jak i osoby prywatne, które inspirowaną swoją parafią do działania i angażują się w zbiórki. Wspierają nas także polskie parafie za granicą – w Irlandii czy Wielkiej Brytanii – mówi Anna Piotrowska z Fundacji Małych Stópek. Ostatnia „Paczuska dla Maluszka” z grudnia 2021 r. pobiła rekord. Fundacji udało się zebrać dary o wartości 10 mln zł – to pięciokrotnie więcej niż w poprzednim roku. Artykuły higieniczne trafiły m.in. do domów dziecka, domów samotnej matki czy do mam w trudnej sytuacji.

„JAKBYM MÓGŁ NIE PRZYJĄĆ?”

Teresa Olędzka z parafii Opatrzności Bożej zaznacza, że nie wyobraża sobie, by parafie nie prowadziły pracy charytatywnej – To nasz chrześcijański obowiązek. Ostatnio na rekolekcjach od biskupa usłyszeliśmy, że parafia to wspólnota oparta na trzech filarach: Eucharystii, słowie i miłości. A miłość to caritas – mówi.

Pokłady miłości do drugiego człowieka potrzebne będą zwłaszcza tym parafiom, które przyjęły uchodźców. Wygląda bowiem na to, że pomoc naszym sąsiadom ze wschodu będzie nie sprintem, a maratonem. Ksiądz Michalak nie zastanawia się jednak, jak długo będzie miał gości na probostwie. – Nie wiadomo przecież, ile potrwa ta wojna. Na razie skupiamy się na tym, by te rodziny miały poukładane życie w Polsce. Z parafianami zorganizowaliśmy piknik nad stawem, z ogniskiem, żeby te osoby mogły się poznać, zintegrować z lokalnym środowiskiem. Panie, które mogą podjąć pracę, zaczynają najprawdopodobniej w poniedziałek i z tego się cieszymy. Na razie dzięki wsparciu finansowemu dla przyjmujących uchodźców radzimy sobie z kosztami. Chcę, by pracując, mogły odłożyć sobie jakiś kapitał na później – mówi ks. Michalak.

Nie wahał się, kiedy deklarował chęć przyjęcia uchodźców. – Jakbym mógł nie przyjąć? To by była hipokryzja: głosić miłość i miłosierdzie, a postępować inaczej – mówi. – Udało nam się tu stworzyć dobrą, rodzinną atmosferę. Od razu powiedziałem paniom, żeby nie czuły się jak rodzina, która przyjechała w odwiedziny, tylko jak taka, która przeprowadziła się na stałe.



Jan Matejko, „Bohdan Chmielnicki z Tuhaj-bejem pod Lwowem”, 1885 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Gdzie pędzisz, kozaczę?



Krzysztof Masłoń

Trudno wróżyć powodzenie oświatowemu eksperymentowi polegającemu na łączeniu wody z ogniem. Można w nieskończoność powtarzać, że nie należy szukać w polskiej i ukraińskiej przeszłości tego, co dzieli, a skupiać się na tym, co łączy. Sęk w tym, że dzieli nas morze przelanej krwi. A naszej narodowej narracji historycznej nie wyrzekniemy się i w Polsce, i na Ukrainie

W polskim systemie edukacyjnym znajduje się już 130 tys. dzieci i młodzieży z Ukrainy, a będzie ich jeszcze więcej. Nie bardzo potrafimy sobie wyobrazić, co to oznacza dla nas wszystkich, ale jednego możemy być pewni: przed naszą oświatą wyrosły nagle może nie Himalaje, ale taki Ural na pewno. I nie chodzi tu o problemy, które z natury rzeczy muszą być przez szkołę rozwiązywane, a dotyczące samego procesu edukacyjnego, z nauką języka polskiego na czele. W pewnym momencie zderzą się jednak ze sobą racje historyczne, tradycja narodowa, to wszystko, co – mówiąc górnolotnie – wysaliśmy wraz z mlekiem matki. Nie może polska szkoła wtłaczać do głów swoim nowym uczniom wiedzy kompletnie nieprzystającej do ich wyobrażenia o świecie, jego dnia dzisiejszym, ale i przeszłości. A nie wolno nam też, w żadnym wypadku, cenzurować tejże przeszłości w imię wyłącznie świętego spokoju.

To wydaje się oczywiste. Od żadnego nauczyciela historii (i literatury) w naszym kraju niepodobna wymagać, by dostosowywał przekazywane na lekcjach treści do ukraińskiej narracji historycznej i historycznoliterackiej. Sęk w tym, że zgrzyta nam już przy imponderabiliach.

OG, BOHDANE, BOHDANE

W kwestiach zasadniczych problemy zaczynają się nam już przy hymnach narodowych. Wprawdzie chyba każdy Polak potrafi już dzisiaj odśpiewać początek ukraińskiego hymnu, święcie będąc przekonanym, że „Szczene wmerła Ukrainy i sława, i wola” podobnie jak „Jeszcze Polska nie zginęła”:

*Stanem, brattia, w bij krywawij wid Sianu do Donu,
W ridnim kraju panuwaty ne damo nikomu.*

W oryginalnym tekście hymnu znajdziemy także strofę ze słowami:

*Naływajko, Zalizniak i Taras Triasyło
Kłyuczut' nas iz za mohyl na swiateje diło
oraz dramatycznie i – jak się okazuje – w pełni słusznie postawioną kwestię:
Oj, Bohdane, Bohdane
Sławnyj nasz hetmane!
Na szczo widaw Ukrainu
Moskalam pohanym?!*

Odnosnie do Tarasa Triasyły, w Polsce znanego jako Taras Fedorowicz, to do historii przeszedł jako przywódca kozackiego powstania z roku 1630. Postacią legendarną, wciąż obecną w ukraińskiej narracji stał się za sprawą Tarasa Szewczenki i jego wiersza „Tarasowa noc”, w którym najważniejszy poeta ukraiński opowiada ustami wędrownego kobziarza o zwycięstwie odniesionym przez zaporoskich powstańców nad wojskami hetmana Stanisława Koniecpolskiego. Jeśli wierzyć pieśni, to pozostawione na pobojuwisku ciała „Lachów” padły żerem dzikich zwierząt, do czego – jak czytamy u Szewczenki – wzywała bestie nawet pobliska rzeka, dowodząc, że i ukraińska przyroda sprzyjała Kozakom, a nie ich zaprzysięgłym wrogom. Wydarzenie ostatecznie w legendzie właśnie jako „Noc Tarasowa”, tyle że całe powstanie stłumił nie kto inny jak ten sam hetman Koniecpolski, w końcu doprowadzając do ugody zawartej w Perejasławiu. Zażądał wtedy nawet wydania Triasyły, na co nie zgodziła się starszyzna, pozbawiając go jednak godności hetmańskiej.

Z kolei Maksym Żeleźniak (Żeleźniak) to jeden z głównych bohaterów poematu Tarasa Szewczenki „Hajdamacy”. Właśnie hajdamacką sławę zdobył w trakcie tzw. koliszczyny, w 1768 r. wraz z Iwanem Gontą stając na czele czerni, która w ciągu jednej nocy wymordowała w Humaniu 20 tys. ludzi, głównie Polaków i Żydów. Do historii zdarzenie to przeszło jako rzeź humańska. Na mniejszą skalę to, co stało się w Humaniu, zdarzyło się

i w innych miejscach. W Łysiance przy powieszonym w kościele księdzu znaleziono wtedy tabliczkę z napisem: „Lach, Żyd i sobaka, wse wira odnaka”. W sumie oblicza się, że w wyniku koliszczyny śmierć poniosło od 100 do 200 tys. ludzi.

Semen Nalewajko dowodził jedną z pierwszych kozackich rebelii, jeszcze XVI-wiecznych; mając bowiem u boku nie mniej znanych Hrehorego Łobodę i Matwieja Sawułę, odnosił w 1696 r. sukcesy na Wołyniu, Podolu i w Kijowskiem, w końcu jednak pobił go pod Białą Cerkwią hetman Stanisław Żółkiewski, by następnie dokonać dzieła zniszczenia wroga na uroczysku Sołonica w pobliżu Łubniów. Powstańcy poddali się, ale w większości nie uratowali życia. Także Nalewajko i Łoboda, choć gwarantowano im darowanie życia, zostali ścięci. W Warszawie.

Ukraiński hymn znany jest w różnych wariantach i – na szczęście – odśpiewywana jest tylko jego pierwsza zwrotka (i dwukrotnie refren), niewywołująca żadnych nieoprawnych dziś politycznie skojarzeń. Jeśli już, to polski kolega ukraińskiego ucznia zwróci uwagę na podobieństwo obu hymnów, co zresztą nie jest przypadkiem, gdyż Pawło Czubynski napisał go w 1863 r., gdy już dobrze znany w Europie stał się „Mazurek Dąbrowskiego” spopularyzowany w trakcie Wiosny Ludów, stając się inspiracją do patriotycznych pieśni innych słowiańskich narodów, m.in. „Jeszcze Chorwacja nie przepadła” czy „Jeszcze Łużyce nie zginęły”, a przede wszystkim śpiewanej we wszystkich możliwych językach regionu pieśni „Hej, Słowianie”, funkcjonującej przez lata jako hymn Jugosławii. I jeszcze jedno: uporczywie przy wielu okazjach wymienia się Tarasa Szewczenkę jako autora ukraińskiego hymnu. To nieprawda.

OGNIEM I MIECZEM

Nasz hymn narodowy też może budzić zastrzeżenia, a to za sprawą poczesnego miejsca, jakie zajmuje w nim Stefan Czarniecki. Oczywiście nad tym, że autor hymnu, Józef Wybicki, kazał hetmanowi, by „dla ojczyzny ratowania rzucił się przez morze”, Ukraińcy przejdą do porządku dziennego, ale w ich pamięci narodowej ten sam polski bohater zapisał się jako człowiek, który rozlał morze krwi ich przodków, przeprowadził okrutne pacyfikacje w województwach ruskich, a Kozaków nienawidził z całego serca, do czego przyczyniła się straszliwa klęska pod Batochem (1652), gdzie



W rzezi tysięcy polskich żołnierzy (to, co się tam stało, nazywane jest obecnie w Polsce sarmackim Katyniem) oddał życie nie tylko Marek Sobieski, brat Jana, późniejszego króla Polski, lecz także brat Czarnieckiego, Marcin, zginął też jego bratanek i szwagier. A ciało polskiego głównodowodzącego, hetmana Marcina Kalinowskiego, odnalezione po bitwie zostało przez Kozaków ścięte, a zatkniętą na włóczni głowę obnoszono po obozie.

Sam Stefan Czarniecki uszedł wprawdzie z życiem, uratowany przez zaprzyjaźnionych Tatarów, którzy ukryli go w słomie, ale to upokorzenie będzie w nim tkwiło już zawsze. I niejako w rewanżu rok po Batochu na Bracławszczyźnie w okrucieństwach przejdzie samego siebie. Ekspedycja ta – pisał biograf Czarnieckiego, Adam Kersten – nie była „obliczona na większe starcia zbrojne, ale na masowe egzekucje, grabieże, gwałty i podpalania”. W Pohrebyszczach, gdzie odbywał się akurat jarmark, wyrżnięto wszystkich co do nogi, a domy spalono. Na czele 8 tys. żołnierzy złupił następnie i puścił z ogniem inne miejscowości, wśród nich Kalnik i Niemirów. Dopiero w Monasterzyskach, których bronił nie kto inny jak Bohun, odniósł Czarniecki ciężką ranę od kuli w policzek i podniebienie, co zatrzymało tę ekspedycję niosącą ogień i miecz. A my pamiętamy z „Potopu”, że „pan Czarniecki miał srebrne podniebienie, bo mu je kula przed laty pod Buszą wyrwała. Owóz ilekroć był wzruszony, gniewny i niespokojny, zaczynał zawsze mówić ostrym i brzękliwym głosem”. Ale tu już mowa o jakby innym Czarnieckim, patriotcie, co to wyrósł „nie z soli ani z roli, jeno z tego, co mnie boli”, wybitnym dowódcy, którego nazwisko Wybicki umieścił w utworze, który stanie się polskim hymnem narodowym i upamiętni zasługi dowódcy kierującego oddziałami polskimi w wyprawie międzynarodowej armii do Danii przeciw wojskom szwedzkim Karola X Gustawa. To wtedy przeprowadził on swoją jazdę na wyspę Als, co Wybicki uwiecznił w słowach hymnu.

Z Kozakami jednak miał zadawnione porachunki. Był jednym z lisowczyków, wśród których rozpoczął swoją karierę wojskową. Już w 1637 r. tłumił powstanie Pawluka. Pod Beresteczkiem w 1651 r. też się wyróżnił okrucieństwem (Jarema Wiśniowiecki nie był pod tym względem żadnym wyjątkiem, a okrucieństwo było obustronne). Dwa lata później jego „rajd” z Winnicy do

Humania również zapisał się złowrogo w narodowej pamięci ukraińskiej. Kozackie bunty topiono we krwi, jeden za drugim. Rzeczywiście, zgodnie ze słowami pisarza „nienawiść wrosła w serca i zatrąła krew pobratymczą”.

MARZENIE MAZEPI

Rozpisuję się o naszych hymnach narodowych nie bez powodu. Skoro bowiem już na takim elementarnym wręcz poziomie mamy do czynienia nie tylko z potencjalnymi, lecz także z wielce prawdopodobnymi rozbieżnościami edukacyjnymi, to trudno wróżyć powodzenie oświatowemu eksperymentowi w skrócie polegającemu na łączeniu wody z ogniem. Naturalnie można w nieskończoność powtarzać, że nie należy szukać

W wypadku Ukrainy nic nie jest dla nas proste i łatwe. To nie Litwa, która pozostanie dla nas mickiewiczowskim „krajem lat dziecińczych”

w polskiej i ukraińskiej przeszłości tego, co dzieli, a skupiać się na tym, co łączy. Sęk w tym, że dzieli nas morze przelanej krwi – i tej przed wiekami, i tej nie tak znów odległej w czasie, bo podczas drugiej wojny światowej. A naszej narodowej narracji historycznej nie wyrzekniemy się i w Polsce, i na Ukrainie.

Że jednak przyszło nam żyć znów na jednej ziemi, a wydarzenia dziejące się na naszych oczach składają bynajmniej nie do redefinicji naszych relacji – co ani mi w głowie – ale do racjonalnego do nich podejścia, warto się nad wspólną naszą historią pochylić, znajdując w tej skarbnicy wydarzenia i postaci nie do końca rozpoznane i niestanowiące zarzewia kolejnych niekończących się sporów. Być może kimś takim mógłby być Iwan Mazepa, w Polsce postrzegany jako paź króla Jana Kazimierza i bohater dramatu Juliusza Słowackiego, na Ukrainie zaś jako hetman, który na przełomie XVII i XVIII stulecia podjął ambitną, niestety zakończoną niepowodzeniem, próbę zjednoczenia ziem ukraińskich i stworzenia z nich państwa. Fiasko jego zamierzeń oznaczało przesunięcie ukraińskich marzeń o niezawisłości i wolności w sferę zgoła fantastycznych marzeń, i to na ponad 200 lat.

Jako człowiek wykształcony, bywały w świecie, przy tym obdarzony talentami dyplomatycznymi lawirował między ówczesnymi wielkimi graczami politycznymi: Rosją, Szwecją, Rzeczpospolitą i imperium osmańskim, mając na celu wyłącznie dobro Ukrainy. Licząc na to, że w toku wojny Rosja, Szwecja i Rzeczpospolita wykrwawią się wzajemnie, w decydującym momencie postawił na Szwecję, co było błędem. Klęska poniesiona przez Skandynawów pod Połtawą w 1709 r. odwróciła bieg historii, a w zmarłym kilka miesięcy później Mazepie Rosjanie po dziś dzień widzą zdrajcę Rusi i prawosławia.

Czas Siczy Zaporoskiej po Chmielnickim i Mazepie zbliżyć się będzie do nieuchronnego końca, aż wreszcie Katarzyna II orzeknie w manifestie wydanym w 1775 r., że odtąd „samo używanie nazwy Kozaków zaporoskich uznane będzie przez nas za obrazę majestatu carskiego”. No, ale będzie to już po wyczynach hajdamaczyzny, podczas której na sadystyczne wyczyny najzwyklejszych bandytów uprawiających zbójcecki proceder komendanci polskich kresowych placówek odpowiadali w ten sam sposób, np. nawlekając po dwóch na jeden pał, o czym wspomina Jędrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów za panowania Augusta III”.

Przy okazji warto wspomnieć, że stał się Mazepa bohaterem nie tylko wielokrotnie wystawianego na scenach polskich dramatu Juliusza Słowackiego (sfilmowanego przez Gustawa Holoubka w 1976 r., przeniesionego też na ekran, a w czasie do średniowiecznej Francji przez Waleriana Borowczyka w 1971 r. w obrazie „Blanka”), lecz także innych wielkich utworów literackich i muzycznych George’a Byrona, Wiktora Hugo, Aleksandra Puszkina, Bertolta Brechta, Ferencza Liszta i Piotra Czajkowskiego. Naturalnie pisał o nim wiersze Taras Szewczenko, a całkiem niedawno, bo na początku XXI w., nakręcił film „Modlitwa za hetmana Mazepę” ze świetnym Bohdanem Stupką, znanym u nas z roli Chmielnickiego w „Ogniem i mieczem” Jerzego Hoffmana.

JEDNA DZIKA DUSZA

Niestety, nasza literatura podtrzymywała przez lata – bo też inaczej nie mogła – wizję skazanych na siebie dwóch zwalczających się narodów. W wypadku Ukrainy nic nie jest dla nas proste i łatwe. To nie Litwa, która choćby w nieskończoność wylczyła nam rzeczywiste i urojone pretensje i żale, pozostanie dla nas mickiewiczowskim „krajem lat dziecińczych” i wciąż jest takim



zmitologizowanym Edenem, w którym wszyscy, choć się kłócą, to jednak kochają, podczas gdy Ukraina to wieczne inferno. Pod tym względem niewiele się zmieniło od czasów, gdy Seweryn Goszczyński pisał swój „Zamek kaniowski”, a Antoni Malczewski „Marię”, którą o wiele za wcześniej skreślił z listy lektur, na której powinna zajmować poczesne miejsce. Choćby ze względu na rozsiane w niej przepiękne strofy kształtujące romantyczną wizję ukraińskości. Nie tylko słynny początek: „Ej, ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz, kozacze?”. Przypominam na przykład:

*I jak strzała schylony na wysokiej kuli,
Czai się zwinnie kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza –
A step – koń – kozak – ciemność – jedna
dzika dusza.*

*O! ktoś mu tam przynajmniej pohulać
zabroni?*

*Zginął – w rodzinnym stepie nikt go nie
dogoni.*

Właśnie od „Marii”, od „Mazepy” wyjść trzeba, zaznajamiając z polską literaturą i historią tych, dla których najważniejszymi twórcami narodowymi będą zawsze Taras Szewczenko i Łesia Ukrainka, a ich twórczość znana jest w Polsce jedynie specjalistom. Choć trzeba przyznać, że w ostatnich latach zrobiono u nas niemało, by przybliżyć literaturę ukraińską, przynajmniej współczesną, szerszym rzeszom czytelników. Ale choćby i Serhij Żadan otrzymał Nobla, o co wystąpili polscy naukowcy, a Olga Tokarczuk stała się noblistką ukraińską w takim samym stopniu jak Czesław Miłosz noblistą litewskim, nie zmieni to faktu, że życie potwierdza słusność słów zapisanych w finale „Zamku kaniowskiego” przez Seweryna Goszczyńskiego:

*Piekła za wojnę zatrzęsnięto bramę.
Znow też pokój i zbrodnie te same!*

Cytując ten utwór, Maria Janion (w świetnym eseju „Cierń i róża Ukrainy”) pisała: „W tej scenerii czai się zbrodnia i dokonują się wkrótce straszne kolejne morderstwa. »Anioł śmierci i zagłady« panuje przecież nad okolicą. Dlaczego to »ciemne człeka gniazdo« skazane jest na takie koleje? Odpowiedź – dla wielu piewców mitu Ukrainy – tkwi w fatalizmie losu dziejowego tej ziemi. Czy ciąży nad nią jakieś fatum, jakaś ironia przeznaczenia przekształcającego raj w piekło?».

Od odpowiedzi na te pytania zacząłbym poważny edukacyjny dialog polsko-

Nabrzmiące, najbardziej bolesne kwestie odnoszące się do ludobójstwa na Wołyniu nie zniknęły niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki

-ukraiński. Od literatury właśnie, nie od historii, a już na pewno nie od wydziwiania nad ukraińskimi pomnikami Bohdana Chmielnickiego. I od wyciągnięcia całkiem współczesnych wniosków z dwuwiersza Słowackiego ze „Srebrnego snu Salomei”:

Ach! Ukrainy nie będzie!

Bo ją ludzie ci na mieczach rozniosą.

Nabrzmiące, najbardziej bolesne kwestie odnoszące się do ludobójstwa na Wołyniu w 1943 r., postaci Bandery i działalności UPA i OUN w obliczu wojny za naszą wschodnią granicą i gigantycznego kryzysu humanitarnego, w wyniku

którego staliśmy się znów Rzeczpospolitą nie jednego narodu, nie zniknęły niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ale warto przemyśleć zakończenie niedawno wydanej książki Sławomira Leśniewskiego „Chmielnicki. Burzliwe losy Kozaków”. Książki w wielu miejscach budzące sprzeciw, ale i nonkonformistycznej i odważnej.

„Wydaje się – powiada autor – że pomimo rachunków krzywd i morza wylanej krwi, pomimo dokonywanych przez Kozaków rzezi oraz nieustępujących im brutalnością polskich akcji odwetowych, mimo żywej pamięci o bestialskich mordach na Wołyniu – dla obu narodów nadeszła chwila, w której jeśli nawet nie potrafią szczerze podać sobie ręki na zgodę i zapomnieć o ponurej przeszłości, to z pewnością powinny uczynić rzecz ze wszech miar praktyczną. Wcielić w życie wspomnianą na kartach tej książki maksymę ukutą przez lorda Palmerstona i przyjąć, że nie ma wiecznych wrogów. Wieczny powinien być zdrowy rozsądek”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Fundacja
Hospicjum
Proroka Eliasza
z szacunku dla życia

*Ty na Podlasiu widzisz
dzikie zwierzęta na wolności.
My ludzi umierających
samotnie w swoich domach.*

Chcemy być przy nich aż do końca!

PRZEKAŻ 1%

KRS 0000328837

www.hospicjumeliasz.pl/1procent



Obraz „My i wojna” Edwarda Okunia

FOT. WILCZYŃSKI KRZYSZTOF/MNW

Rebelia polska



Piotr Gociek
z Monachium

Znamy te prace. Nawet tak dobrze, że nie potrafimy ich właściwie widzieć. Oglądaliśmy je w muzeach, na reprodukcjach, pocztówkach, w książkach. A jednak zebrane i podzielone wedle klucza, który przyjęli kuratorzy tej wystawy, przemawiają na nowo. A najmocniej do widzów zagranicznych

Wystawę „Cisi buntownicy. Polski symbolizm ok. 1900 r.” („Stille Rebellen. Polnischer Symbolismus um 1900”) otwarto 25 marca w monachijskiej Kunsthalle.

Lwią część z ponad 130 prac zapewniły trzy placówki Muzeum Narodowego: w Warszawie, w Krakowie i w Poznaniu, współorganizatorem jest Instytut Adama Mickiewicza, na wernisażu nie zabrakło

wicepremiera i ministra kultury Piotra Glińskiego, a samą wystawę patronatem objęli prezydenci Polski i Niemiec. Jest to jednak przedsięwzięcie o tyle nietypowe, że w placówce prywatnej nigdy nie doszłoby do skutku, gdyby niemieccy partnerzy nie zakochali się w polskim malarstwie.

Roger Diederer, dyrektor Kunsthalle der Hypo-Kulturstiftung, mówił, otwierając wernisaż, nie tylko o wielkim wrażeniu, jakie wywarły na nim dzieła polskich malarzy, lecz także o wstydzie i rozczarowaniu, które towarzyszyło mu podczas prac przygotowawczych. Odkrył mianowicie, że w niemieckich

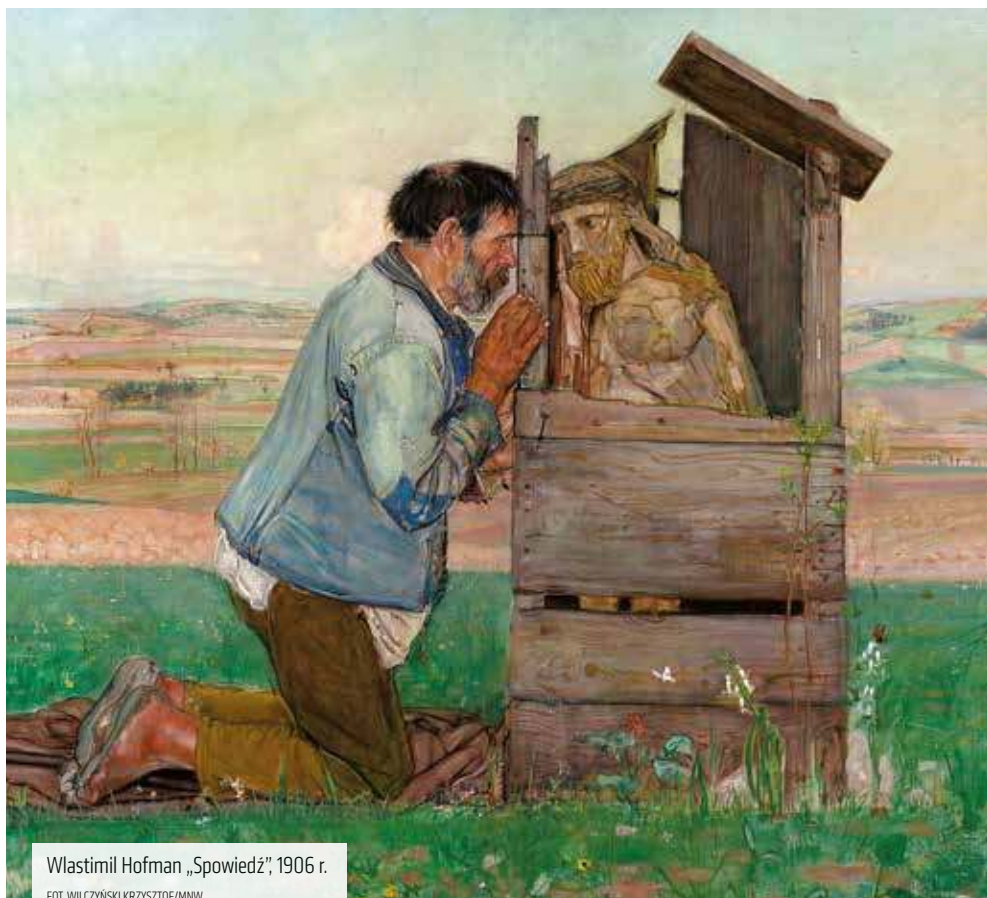


muzeach nie ma ani jednego – dosłownie ani jednego – dzieła z okresu, o którym opowiada przygotowana w Monachium ekspozycja. To ważne słowa, bo przypominają, jak naprawdę wygląda polsko-niemieckie „bliskie sąsiedztwo”, jak jednokierunkowo przebiegają te relacje także w kulturze. Równie dobrze więc wystawa mogłaby być zatytułowana „Polska nieznana”... Ej, moment, czy przypadkiem każda obecność polskiej sztuki w Niemczech nie powinna być tak reklamowana?

WYDARZENIE SYMBOLICZNE

Niemcy chętni są do eksportu nie tylko swoich pralek i samochodów czy OZE, lecz także do ekspansji kulturalnej, której najlepszym świadectwem są preżne działania Instytutu Goethego na całym świecie. Przepływ informacji w drugą stronę jest minimalny. Pozostań jeszcze przy tym biciu się w piersi, to wydarzenie istotne i symboliczne. Ze słów Diederena (a także przemawiającego tego samego wieczora Markusa Blumego, ministra kultury Bawarii) przebijało głębokie niedowierzanie, że dzieła tak wybitne mogą pozostawać tak nieznane. Jednocześnie w tych samych wystąpieniach wiele było słów potępienia dla Rosji i wsparcia dla Ukrainy. Odnotujemy złączenie tych dwóch kwestii. Elity kulturalne Niemiec przechodzą przez ten sam szok, który dotknął (oby z namacalnym skutkiem) elity polityczne – widząc prawdziwe oblicze Rosji Putina, widząc zbrodnie ludobójców spod znaku „Z”, dostrzegają jednocześnie haniebne zachowanie rosyjskich artystów wspierających nieludzki reżim. Polska nie tylko miała rację, Polska okazuje się także mieć do zaoferowania na polu kultury rzeczy równie ciekawe, a nawet ciekawsze niż Rosja. Oby wystawa w Monachium była początkiem przełomu.

A teraz szoku ciąg dalszy. Przychodzi, kiedy już widz zaznajomi się z wystawą „Cisi buntownicy”. Okazuje się bowiem arcy-polska, narodowa, głęboko religijna. A przygotowali ją niemieccy kuratorzy, którzy osobiście podróżowali nie tylko po Polsce, poszukując dzieł godnych wystawienia. Nerina Santorius i Albert Godetzky sprawili się fenomenalnie i ma to ogromne znaczenie. Co innego, kiedy dyrektorzy polskich muzeów podkreślają, że mają w zbiorach dzieła na najwyższym poziomie europejskim – łatwo zbyć te opinie, każda pliszka swój ogonek



Władysław Jędrzejko „Spowiedź”, 1906 r.

FOT. WILCZYŃSKI KRZYSZTOF/MNW

chwali – a co innego, kiedy z zachwytem podobne opinie głoszą ludzie, którzy na ochotnika zapisali się do armii miłośników polskiej sztuki, bo znaleźli się pod jej przemożnym urokiem.

I czas na najlepsze: czytelna dla nas arcy-polskość okazuje się efektem osiągniętym przy okazji. Odwołam się do obszernego wywiadu z Neriną Santorius i Agnieszką Bagińską przeprowadzonego dla portalu Culture.pl przez Piotra Polichta. „Tytuł wystawy można czytać na kilku poziomach. »Cicha rebelia« to pozbawiony przemocy protest przeciwko okupantom poprzez sztukę, obrona i kultywowanie polskiej kultury, a także bunt nowego pokolenia artystów Młodej Polski przeciwko akademickiemu malarstwu historycznemu reprezentowanemu przez Jana Matejkę i Wojciecha Gersona, kwestionowanie patriotycznych zobowiązań artysty połączone z pragnieniem artystycznej wolności» – mówi Nerina Santorius.

„Stańczyk” Matejki otwiera wystawę, a obecność Gersona to efekt sugestii ze strony polskiej. »Zaproponowaliśmy kuratorom z Kunsthalle, by pokazać na wystawie również środowisko warszawskie i Gersona, który w Warszawie odgrywał

podobną rolę jak Matejko w Krakowie – jako wychowawca całego nowego pokolenia artystów, dostrzegający także społeczną i narodową misję malarstwa, potrzebę komunikowania się z widzem» – mówi Bagińska, a dla widza spacerującego po salach Kunsthalle natychmiast oczywisty jest paradoks – dzieła mistrzów, przeciw którym młodopolscy symboliści mieli się buntować, oraz samych buntowników składają się w jedną całość, współgrają, uzupełniają się. Niezależnie od konfliktów pokoleń, odmiennego podejścia do tych samych tematów czy innego języka wypowiedzi jest coś, co ponad wszelkie spory wyrasta – to Polska, to marzenie o wolnej Polsce, to zanurzenie w polskiej tradycji i historii.

TO, CO NAJBARDZIEJ POLSKIE

Okazuje się także, że w pewien sposób, nieświadomie, niemieccy kuratorzy przypominają polskim krytykom o tym, co ważne. Proszę uważnie przeczytać się w te oto słowa Agnieszki Bagińskiej: „Innym aspektem interesującym dla zagranicznych widzów jest podkreślenie prymitywu i ludowości. Będą więc na wystawie malarze tacy jak Władysław Jędrzejko i Włodzimierz Tetmajer.



■ W Muzeum Narodowym w Warszawie właściwie nie pokazujemy ich obrazów, co może jest błędem. Myślę, że z wystaw organizowanych za granicą można się wiele nauczyć". I dalej: „Sama wcześniej nie przypuszczałam, że Wlastimil Hofman i jego baśniowo-ludowe lub pokazujące prostą religijność obrazy mogą budzić takie zainteresowanie, a to jest już kolejna wystawa, na którą zostały wybrane. Narodowa, regionalna specyfika jest ważna i jawi się jako coś egzotycznego dla widzów z innych krajów. Polscy kuratorzy kierują się często inną perspektywą”.

A jaką perspektywą? A międzynarodową – brzmi odpowiedź. I już jesteś w domu, na znanym terenie, w salonie umeblowanym przez elity kulturalne III RP, wedle których to, co polskie, warte jest coś tylko wtedy, gdy jest jak najmniej polskie, ale jak najbardziej europejskie czy światowe. Tymczasem dla widza zagranicznego najbardziej uwagi warte jest to, co najbardziej polskie, bo jest jednocześnie najbardziej zaskakujące, nieznane, nowe. Znowu użyję słowa „oczywiste”: jesteśmy Europejczykami i obywatelami świata, PONIEWAŻ jesteśmy Polakami, a nie odwrotnie. Przecież nawet ci, którzy podpisali się pod tęsknym wezwaniem Jana Lechonia „A wiosną – niechaj wiosną, nie Polskę zobaczę”, byli zarazem (z Lechoniem na czele) autorami najpiękniejszych arcy-polskich wierszy.

Sporo czasu miałem, by myśleć o tym, spacerując ulicami Monachium i chłonąc atmosferę miejsca, w którym potęga niemieckiej tradycji, historii i sztuki manifestuje się w sposób wszechogarniający i nieco obezwładniający. Czyżbyśmy byli znowu na tropie starego problemu: tego nieszczęsnego i w gruncie rzeczy pogardliwego rozróżnienia na narody pierwszej i drugiej kategorii, na te, którym osobność i narodowa wyjątkowość przystoi, bo są wielkie, oraz te, które jako republiki drugiej kategorii skazane są z definicji na rolę naśladowców, młodszych braci pouczanych z wysokości imperialnych cokołów? Jeśli wpadniemy w tę narrację, jeśli nasz wysiłek w prezentowaniu tego, co z Polski najlepsze, będzie się skupiał na udowadnianiu: „Myśmy też jak wy potrafili, ale trochę gorzej, trochę później”, to z góry sami siebie skazujemy na podrzędność. Europejcy i światowi jesteśmy w swojej wyjątkowości, a nie w imitacji.



Jacek Malczewski „Wiosna”, 1898 r.

FOT. JACEK ŻŁOCHOWSKI/MNK

Oczywiście najwygodniej byłoby niesfornych i podnoszących głowę „młodszych braci” wtłoczyć w obowiązujące obecnie mody. Skoro więc dyskurs w sztuce i kulturze jest dziś m.in. oparty na docenianiu roli kobiet, to przy okazji Boznańskiej (jest jedyną artystką wśród mężczyzn na tej wystawie) Bagińska mówi: „W modernizmie zmienił się również status kobiety w sensie filozoficznym. Widać to na przykładzie »Szału uniesień« Władysława Podkowińskiego czy obrazów Wojciecha Weissa lub myśli Stanisława Przybyszewskiego – podkreślają oni »biologiczne« aspekty natury ludzkiej oraz erotyzm i fatalność kobiety. Być może również przez to spektakularnych karier artystek było mniej”. Czyli że niby modernistyczny patriachat jest sprawcą mniejszej obecności kobiet

w sztuce polskiej? To nie koniec – na konferencji prasowej poprzedzającej otwarcie wystawy „Cisi buntownicy” padło np. pytanie, dlaczego tylko na jednym z prezentowanych obrazów pojawia się postać polskiego Żyda. Każda okazja jest bowiem dobra, by tropić rzekomy polski antysemityzm.

NAS BY OSKARŻANO

Raz jeszcze Nerina Santorius w rozmowie z Culture.pl: „O ile ważne jest uwzględnienie polskiej historycznej perspektywy, o tyle nowe transnarodowe teoretyczne i metodologiczne podejścia mogą przyczynić się do lepszego skontekstualizowania i usytuowania malarstwa Młodej Polski w kontekście sztuki europejskiej ok. roku 1900”. No więc transnarodowe ciało przygotowujące monachijską wystawę z własnej nieprzymuszonej woli, kierując się własnym gustem, wiedzą oraz sercem, wybrało zestaw bardzo narodowy, śmiem twierdzić. I nie tylko ja miałem takie wrażenie. Od kilku ważnych figur polskiej kultury słyszałem podczas wernisażu te same słowa: gdybyśmy to my, Polacy, przygotowali taki wybór, niechybnie oskarżono by nas o nacjonalizm i religianctwo. Tymczasem zestaw wyselekcjonowali ci, których nie nudzą ani „Babie lato” Chełmońskiego, ani „Trumna chłopska” Gierymskiego i którzy zachwycili się „Spowiedzią” Hofmana, nie dostrzegając w niej powodu do wstydu za „większą religijność”.

Monachium znajduje się zaledwie półtorej godziny lotu od Warszawy, gorąco zachęcam do wycieczki, do wizyty w Kunsthalle, gdzie czekają na nas Jan Matejko, Olga Boznańska, Józef Mehoffer, Ferdynand Ruszczyc, Władysław Podkowiński, Jacek Malczewski, Kazimierz Siichulski, Wojciech Weiss, Witold Wojtkiewicz, Leon Wyczółkowski i wielu innych znakomitych malarzy. Artystów, których dzieła – jak mówi dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie Andrzej Szczerski – „od inspiracji ludowością po fascynację mitologią i historią wskazują na bogactwo treściowe i wizualne malarstwa symbolizmu, a jednocześnie na jego siłę sprawczą, inspirującą do działań na rzecz narodowego odrodzenia i indywidualnej wolności”. Buntownicy? Na pewno. Cisi? Nie do końca. Wolni ludzie w zniewolonym kraju. Artyści państwa wymazanego wówczas z mapy Europy, śniący o Polsce nawet wtedy, kiedy o niej nie śnili.

© 2016 Wszystkie prawa zastrzeżone



REKLAMA



LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Po COVID-19, Zdrowy Kręgosłup, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

tel. 54 416 70 00
www.podtezniami.pl

Pobyty: 19.04 - 19.06.2022r.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Turnus wielkanocny 14.04 - 19.04.2022r.

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

REKLAMA

Fulton J. Sheen mistrz życia duchowego w praktyce, w książce „Rodzice i dzieci” wydanej przez Edycję Świętego Pawła ponownie przynosi ukojenie naszemu wewnętrznemu chaosowi.

Tym razem rozważania amerykańskiego arcybiskupa skupiają się na relacjach rodziców i dzieci, która często oparta jest na źle rozumianej wolności i przez to zbyt niemiłosierności. Autor przekonuje nas, że samodyscyplina i ograniczenia sprzyjają prawidłowemu rozwojowi naszych dorastających dzieci.



chowania nastolatków. **Rozwój potencjału, ujarznienie seksualności, odnalezienie własnej drogi, czy poczucie własnej wartości i odczuwanie miłości** – to tylko niektóre z nich. Kwestie te niejednokrotnie, spędzają sen z powiek rodziców powodując panikę, ucieczkę od rozmów, a w konsekwencji podkreślaną przez autora swawolę w zachowaniu młodzieży.

Sięgając po książkę „Rodzice i dzieci” znajdziesz więc gotowe odpowiedzi i rady, jak we współczesnym świecie radzić sobie z wychowaniem, trudnymi tematami i rozwojem duchowości u swojego dziecka.

Sheen, który w czasie swoich radiowych i telewizyjnych programów zgromadził nawet 30 mln Amerykanów. W krótkich rozdziałach odnosi się do każdego możliwego problemu jaki mogą napotkać rodzice na drodze wy-

Pozostałe tytuły Fultona J. Sheena, które ukazały się nakładem wydawnictwa Edycja Świętego Pawła to „**Łzy Jezusa. Antologia**”, „**Droga do pokoju serca**” oraz „**Droga do szczęścia**”.

Zamów na stronie www.edycja.pl lub dzwoniąc na numer **605 313 543, 34 372 34 29**.



Stanisław Bareja (z lewej) i Stanisław Tym FOT. WITOLD ROZMYŚLÓWICZ/PAP



Z Katarzyną Bareją, córką najpopularniejszego polskiego reżysera filmowego wszech czasów
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Jednoznaki Stanisława Barei



TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Szkoła Mazowiecka, tajne komplety, warszawskie gimnazja Hugona Kołłątaja i Tadeusza Rejtana, nauka w Jeleniej Górze... Zliczyła pani placówki edukacyjne, do których uczęszczał ojciec?

KATARZYNA BAREJA: Nie. Moja książka nie jest biografią, lecz wspomnieniowym meandrem wśród dokumentów i anegdot, do których mało kto, poza mną, miałby dostęp. Zapragnęłam podzielić się tym, co może być ciekawe, a także zabawne i poruszające. A szkoły... sama nie wiem, gdzie leżą moje trzy dyplomy wyższych uczelni.

Maturę oblał, ponieważ „całki nie robiły mu różniczek”?

Matematyki rzeczywiście nie lubił i starał się jej unikać. A do egzaminu maturalnego nie został dopuszczony, ponieważ... nie uczył się do niego. Nie wynikało to z braku inteligencji, lecz zapewne z powodu niezaleczonej rozpacz, jaka go ogarnęła po tragicznej śmierci ukochanego brata Wiesia, harcerza orlego, kumpla i towarzysza zabaw. W tamtych czasach nie diagnozowano u nastolatków depresji, nie było komu otoczyć terapeutyczną opieką młodzieńca, którego brat spadł w przepaść podczas wędrowki z ojcem po Sudetach. Paradoksalnie, ten dramat mógł pośrednio przyczynić się do tego, że Staszek uciekł od rzeczywistości do literatury, kina i teatru, co skutecznie rozbudziło jego filmową pasję. A świadectwo dojrzałości otrzymał po powtórzeniu ostatniej klasy gimnazjalnej.

Gdyby nie zdrowie, zostałby marynarzem?

„Chciałem być marynarzem, podróżować, zwiedzać świat, pięknie żyć, garściami życie brać”? Niewykluczone, że tata (wielbiciel piosenek Krzysztofa Krawczyka, którego płyty mi kupował i z uznaniem określał jako polskiego Elvisa Presleya) mógłby odpłynąć w siną dal, gdyby powiodło mu się w morskiej szkole w Ustce. Jednak kiedy na szkoleniowym kutrze podczas bałtyckiego rejsu doświadczył opłakanych skutków choroby morskiej, porzucił ów pomysł na życie zawodowe. A przecież marynarska kariera – synonim wolności, swobody, poznawania akwenów i ładów – marzyła mu się od dziecka, czego ślady można odnaleźć w młodzieńczych pamiętnikach, spisanych w Jeleniej Górze.

Prenumerował marynistyczne czasopisma, rozwiązywał zamieszczane tam

zadania i wysyłał do redakcji odpowiedzi, czytał powieści o tematyce morskiej i... rysował swą wymarzoną wyspę. A mnie na spacerach nucił: „Zaśpiewaj piosnkę nam wesoły dzielny wicherze. [...] Śpiewaj nam o dolinach i górach, o potokach walących się fal, o ptasich awanturach, o górach i o chmurach, o ludziach jak hartowna stal” albo: „Morze, nasze morze, będziem ciebie wiernie strzec, wiernie strzec”... Znakomicie pływał – w morzu najchętniej z maską i w płetwach. A w Warszawie – razem z żoną – regularnie uczęszczali na basen przy ul. Spartańskiej.

Był silnie związany ze swą matką, Stanisławą.

„Mamusia” (tak się do niej zwracał) to pierwsza kobieta w rodzinie, która uczęszczała na pensję w Warszawie. Była tak uroczą, że sam marszałek Piłsudski pogłaskał ją z uznaniem po główce, mijając małą Stasię w Al. Ujazdowskich. Moja babcia – zaskakująco odczytana, kino- i kabaretomanka – skutecznie zachęciła swego syna, by rozwijał przyjemności umysłowe.

Sylwester Bareja, ojciec Stanisława, pomógł mu w przyjęciu do łódzkiej PWSFTviT?

W staraniach o miejsce na wyższej uczelni niezwykle ważną rolę odgrywały w Polsce Ludowej punkty za pochodzenie społeczne. Najlepsze było chłopskie lub robotnicze, znacznie gorsze – inteligentkie, natomiast prywaciarskie – do niczego. Tata najprawdopodobniej nie miałby szans na indeks studenta wydziału reżyserii filmowej, gdyby złożył aplikację jako syn właściciela sklepu wędliniarskiego. Dziadek, który właśnie padł ofiarą „bitwy o handel” wypowiadzianej tzw. prywatnej inicjatywy przez komunistów, zatrudnił się więc w państwowych zakładach mięsnych w Jeleniej Górze – i tak „poprawił” Staszce genealogię. Oczywiście umiejętności i wiedza kandydata na filmowca również miały istotne znaczenie. Pamiętam, jak tata skomentował fakt, że w późniejszych latach na tę uczelnię przyjmowano młodzież z wpływowymi koneksjami, dzieci prominentów itp. „I bardzo dobrze – śmiał się. – Młode filmowe wilki powinny nas – starych – zacząć wygryzać, ale że to »filmowcy po znajomości«, to nie musimy się obawiać konkurencji”. Oczywiście



KATARZYNA BAREJA
„ŻABY
W ŚMIETANIE,
CZYLI STANISŁAW
BAREJA I BLISCY”

cecił chlubne wyjątki, np. twórczość Juliusza Machulskiego.

Na studiach został prekursorem emotikonów?!

Tak! Czyż to nie wspaniałe odkrycie? Nasze polskie emotikony, wymyślone przez Stanisława Bareję! Czemuz, ach czemuż jego jednoznaki emocjonalne nie zostały (jeszcze) opatentowane... Byłam zachwycona, natrafiwszy na dość nieprzystojne rysunki w liście taty do kumpli, których uraczył wykazem arcy polskich (bo nawiązujących do naszej historii oraz polityki) grafik. Mamy tu i rycerza w przyłbicy, symbolizującego powagę tematu, i krzaczaste wąsy (jakby stalinowskie?) i przeróbkę znaku Polska Walcząca, a kilka... penisów w różnych stadiach, wyrażających nastrojowe wzloty bądź upadki korespondenta.

To wtedy powstał termin „bareizm”?

Owszem, został wymyślony przez Janusza Weycherta – filmowca, przyjaciela ojca z uczelni. Akcentował oryginalność spojrzenia, przenikliwość sądów i specyficzny humor taty. Po latach znaczenia słowa wypaczył Kazimierz Kutz. Czytelników ciekawych szczegółów odsyłam do mojej książki.

Będąc już dyplomowanym reżyserem, ojciec rozważał zmianę fachu?

Nie, choć istotnie, sugerowano mu aktorstwo, ponieważ i w tej dziedzinie świetnie sobie radził. Wyjaśnił dobrodusznie, jak to on – że woli dowodzić innymi na planie, niż żeby nim rządzono. A przecież nie tylko „władał”. Ufał talentom znakomitych aktorów, którzy u niego występowali i mieli możliwość czerpania z własnej pomysłowości. Pogodna atmosfera przed kamerą doskonale wpływała też na „naturszczyków”, czego dowodami komedie Barei są obficie nafaszerowane.

Dokument porzucił dla fabuły z powodów merkantylnych?

Nie był karierowiczem. Gdyby tak było, to ulegałby cenzurze i zrobił o wiele więcej filmów (odrzucono mu z tuzin scenariuszy). Z dokumentem nie zerwał, raczej wcielał go w treść swych komedii. A reżyserem fabularnym został z powodów przyziemnych. W tamtych czasach otrzymywał on pensję w wysokości



Hanna i Stanisław Barejowie
przed segmentem
FOT. ARCHIWUM KATARZYNY BAREI

■ 1 tys. zł miesięcznie, a dokumentalista – o stówkę mniejszą. Bareja, jako świeżo upieczony ojciec rodziny, poczuwał się do finansowej odpowiedzialności za Kocię i Kiszkę – czyli mamę i mnie. Zajął się fabułą, a przeciw jego filmy to quasi-dokumenty polskiej rzeczywistości drugiej połowy XX w. Tym bardziej żałuję, że władze kinematografii bez żadnego wyjaśnienia, nieoczekiwanie udaremniły realizację „Żaby w śmietanie” (scenariusz został napisany przez tatę wspólnie z Jackiem Fedorowiczem). Miała to być satyra, o wędrownicy przez Warszawę chłopaka zakochanego w dziewczynie, której pomaga przy pomocy rikszy w przewiezieniu jej dobytku z Targówka na bardzo daleki Mokotów.

Lektura stanowiła jego główną namietność?

Przepadał za czytaniem książek o najrozmaitszej tematyce – z przewagą literatury drugoobiegowej i historycznej – gazet, czasopism. Dwa razy w tygodniu jeździł na rowerze do antykwariatu przy ul. Warszawskiej (obecnie Janka Bytnara „Rudego”) i wracał z siatką wyładowaną książkami. Wykładał owe zdobycze na stół z dumą myśliwego i wyjaśniał, co go w nich skusiło. Miał prawo pierwszotytu, toteż reszta rodziny czyhała w kolejce. Czytał przy obiedzie, w wannie i oczywiście na wakacjach – upolowane w księgarniach pozycje ustawiał w stosiki na regale w swoim pokoju, nie wolno było po nie sięgać aż do przybycia nad morze. Bagażnik naszego samochodu – wyłożony lekturami, a nie kontrabandą na handel – budził osłupienie celników.

Jak radził sobie w kuchni?

Jak żaden inny reżyser filmowy. Książka „Żaby w śmietanie” wynikała właśnie

z faktu, że prawie wszystkie moje domowe wspomnienia kulinarne mają związek z tatą. Wystając w kolejkach, robił zakupy, po czym przywoził je w siatkach na rowerze składaku. Gotował obiady, przyrządzał kolacje i przyjęcia rodzinne oraz imieninowe – dla przyjaciół. Mięsożerca, doceniał jarskie upodobania żony. Kiedyś – gdy wróciła z pracy w Muzeum Narodowym – zaskoczył ją urodzinową niespodzianką w postaci stołu uginającego się od najrozmaitszych warzywnych potraw.

Innych zajęć domowych unikał?

Nie przykładął zbyt wielkiej wagi do porządku, chociaż to on wynalazł grę, którą usiłował mnie skłonić do odrobiny schłodności. W książce znajduje się opis tej rozrywki o nazwie – nomen omen – „Kupa nieszczęścia”. Wprawdzie zamiatał raczej sporadycznie – np. obierki i okruciny po swoim gotowaniu – to przecież właśnie on uczył mnie, jak manewrować szczotką na kiju – od siebie! Nigdy nie widziałam, żeby coś prał, ale przecież robił to, przebywając na stypendium w Essen, co dowcipnie opisał w którymś z listów. Nie mył okien. I nie prasował, wyręczała go mama, a czasem ja.

Jak i gdzie odpoczywał?

Chętnie na tapczanie – słuchając sekcji polskiej Radia Wolna Europa albo w wannie – oczywiście z książką. W niedziele zabierał rodzinę na wycieczki za miasto

– najpierw trabantem, potem fordem taunusem. Mama robiła kanapki, on herbatę z cytryną do termosu i jechało się eksplorować podwarszawskie zagajniki. Latem spędzaliśmy dużo czasu nad Wkrą (wieś Goławice), gdzie tata pływał w tej rzece, opalał się – z książką w dłoni – spacerował. Snuł wtedy frapujące opowieści, wymyślał zgadywanki, wypatrywało się pierwszych śladów wiosny, grało na moście w „misie patysie” („Kubuś Puchatek” Milne’a), trzeba było wymyślać rymy do zadanych przez niego słów. Pamiętam, że poddałam się, gdy podsunął mi wyraz „księżyc”. Nie doczekawszy mojej odpowiedzi, podsunął: „Sto wężyc”. Lata w Polsce były w tamtych latach deszczowe, więc rodzice nabrali zwyczaju zabierania nas pod namiot do Bułgarii i Rumunii. Raz czy dwa byliśmy też w Jugosławii.

Miał czas dla swych dzieci?

Oczywiście, np. gdy przez kilka lat odrzucano mu kolejne scenariusze, to... wykupił roczny bilet do zoo i niemal codziennie woził tam synka, by pokazywać mu zwierzęta i o nich opowiadać. Mnie zabierał na spacer „nad torami” na końcu Woronicza, śpiewaliśmy piosenki – partyzanckie, ludowe, z Kabaretu Starszych Panów, bawiliśmy się w gry zaczerpnięte m.in. z „Kubusia Puchatka”. Uczył pływania, jazdy na rowerze, spędzałam z nim niezliczone godziny na pogawędkach w kuchni, gdzie byłam jego małą pomocniczką. A gdy wyjeżdżał na zdjęcia lub montaż (początkowo w Łodzi), to wieczory spędzał na pisaniu listów do żony i dzieci. W swej książce umieściłam wymyślone przez tatę bajki i wierszyki, ilustrowane przez niego (zabierał kredki w drogę, by mieć materiały do rysunków zdobiących listy. Tatusiowie – bierzcie przykład!). Ze sporadycznych wypraw do NRF i Anglii („Miś”) przysyłał (osobno Kasi i Jasiowi) trójwymiarowe pocztówki z żartobliwymi strofkami i rodzicielskimi sugestiami, co do przyzwoitego zachowania pod jego nieobecność. Mam co wspominać – z niegasnącym wzruszeniem i tęsknotą. Dlatego powstała ta książka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Katarzyna Bareja – córka reżysera Stanisława Barei. Ukończyła filmoznanstwo/kulturoznawstwo na Uniwersytecie Śląskim oraz wydział pracy socjalnej i psychoterapii na York University (Toronto) i Dalhousie University (Nova Scotia). Udziela terapii, pisze wiersze, podróżuje. Wiele lat spędziła na emigracji, pracując w klinice kardiologicznej jako socjoterapeutka i samodzielnie wychowując syna Mikołaja (Colina Stanisława) Bareję (studiuje geologię na Uniwersytecie Jagiellońskim). Książka „Żaby w śmietanie, czyli Stanisław Bareja i bliscy” jest jej debiutem literackim.



Polskie podwaliny globalnej elektroniki

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl ff6ce59dde



Z Zbysławem Adamaszkiem, elektronikiem, kuratorem z Narodowego Muzeum Techniki w Warszawie rozmawia Piotr Włoczyk

Perty polskiej elektroniki



PIOTR WŁOCZYK: Kiedy możemy mówić o początku historii elektroniki w Polsce?

ZASŁAW ADAMASZEK: Wczesną elektronikę rozciągnąłbym na elektrotechnikę i nauki o elektryczności. Mamy tu niezwykle ciekawy i mało znany polski wątek. Otóż w drugiej połowie XVIII w. w Polsce działał ks. Józef Herman Osiński. To pierwszy zarejestrowany przez literaturę polski badacz elektryczności. Zasłynął on przede wszystkim dzięki temu, że był doskonałym elektrotechnikiem i doświadczalnikiem. W 1777 r. ks. Osiński napisał podręcznik pt. „Fizyka doświadczeniami stwierdzona”, w którym opisał badania nad elektrycznością.

Niewiele wcześniej Benjamin Franklin wynalazł piorunochron. Ksiądz Osiński odwoływał się do niego w swojej cennej broszurze z 1784 r. pt. „Sposób ubezpieczający życie i majątki od piorunów”. To pierwsza potwierdzona polska praca elektrotechniczna. Pamiętajmy, że to właśnie z elektrotechniki wyłoniła się elektronika.

Wyjaśnijmy różnicę między tymi dwoma dziedzinami.

Elektrotechnika to szeroki dział fizyki zajmujący się ruchem nośników ładunku elektrycznego w ciałach stałych, np. w me-

talach, w cieczach, w gazach. Elektronika z kolei zajmuje się zagadnieniami związanymi nie tylko z ruchem, w szczególności elektronów, lecz także z wpływaniem na ich ruch, i to zarówno w ciałach stałych, jak i w próżni oraz w gazach. Elektronika zajmuje się więc wykorzystaniem zjawisk elektrycznych w sposób intencjonalny, w szczególności do generowania i wzmacniania sygnałów.

Jeżeli mielibyśmy wskazać sztywną datę, którą można uznać za początek elektroniki na świecie, to należałoby wskazać rok 1904, czyli wynalezienie diody próżniowej przez Johna Fleminga. Za pomocą diody można było sterować kierunkiem przepływu strumienia elektronów. To początek elektroniki takiej, jak ją dziś rozumiemy.

Elektronika na dobre zaczęła się w Polsce u zarania II RP. Czy możemy tu wskazać konkretną datę lub wydarzenie?

Jeżeli chodzi o elektronikę użytkową, to był to rok 1922. Wówczas to Stefan Manczarski, warszawski elektrotechnik – wtedy jeszcze nie mówiono o elektronikach – zbudował pierwszy w całości polski radioodbiornik. Była to prosta, jednolampowa konstrukcja. Manczarski tak



Analizator AKAT-1 konstrukcji Jacka Karpińskiego FOT. ZE ZBIORÓW NMT

ją zaprojektował, by bez większego trudu mogli ją następnie budować radioamatorzy. Pamiętajmy, że to pierwsze dziesięciolecie rozwoju użytkowej techniki radiowej w kraju. Replikę tego urządzenia posiadamy w naszym muzeum.

W 1923 r. zostały założone zakłady Eltra w Bydgoszczy – najstarsze w Polsce zakłady produkujące odbiorniki radiowe. Z kolei w 1925 r. w Wilnie założono przedsiębiorstwo zajmujące się produkcją radioodbiorników. Jego najciekawszą konstrukcją był model Automatic Z. Był to absolutny unikat, ponieważ aparat ten był programowalny.



Odbiornik radiowy Automatic Z produkowany przez Towarzystwo Radiotechniczne Elektrit w 1938 r.

FOT. ZE ZBIORÓW NMT

to, że nie wymagał dodatkowego źródła zasilania. Wystarczyło rozciągnąć kilkadziesiąt metrów drutu, który służył jako antena. Odbiornik zasilany był indukowaną w antenie siłą elektromotoryczną. Było to o tyle ważne, że Polska była wówczas zelektryfikowana jedynie na kilku procentach powierzchni i zdecydowana większość wiosek nie była podłączona do sieci.

A w ten sposób każdy sołtys był w stanie dowiedzieć się, co się dzieje w kraju.

Nie tylko sołtysy. Detefony były używane na zupełnych rubieżach naszego państwa przez ludność, która wciąż w niemałej części była niepiśmienna. Dzięki detefonom mogli oni śledzić sytuację w kraju. Detefony można było kupić niemalże za równowartość koszyka jaj. I można było je nabyć na raty u listonosza. Dlatego radiofonizacja Polski po odzyskaniu niepodległości to głównie zasługa Detefonu. Na odbiorniki sieciowe mogli sobie pozwolić ludzie bardziej zamożni, natomiast Detefon mógł kupić właściwie każdy obywatel.

Polacy z grubszymi portfelami mieli tu całkiem duży wybór.

Z bardziej ekskluzywnych modeli warto wymienić np. radio Komandor. Był to odbiornik z wyższej półki, bardzo stylowo wykonany w lakierowanym drewnie.

W ogóle ówczesne radioodbiorniki były pięknymi meblami.

To prawda. Do kanonu wzornictwa należało wówczas używanie opalanego, lakierowanego drewna i dużych głośników przysłoniętych ozdobną tkaniną. Obudowy radioodbiorników musiały być tak wielkie, ponieważ używano w nich lamp, które wydzyślały dużo ciepła. Gdy zajrzemy do środka takiego aparatu, to

Pod względem klasy sprzętu Polska była w czołówce.

II RP bez wątpienia odniosła gigantyczny sukces, jeżeli chodzi o radiofonizację

zauważymy, że jest tam niemal pusto. To właśnie problem z odprowadzaniem ciepła wymagał tak dużych drewnianych konstrukcji.

Często mówi się, że ojcem elektroniki jest Jan Czochralski, który w 1916 r. wynalazł metodę produkcji monokryształów.

To bardzo duże uproszczenie. Po pierwsze, w elektronice półprzewodnikowej, której rozwój zaczyna się po drugiej wojnie światowej, znano inne metody hodowli monokryształów, jednak nie dawały one tak dobrej jakości monokryształów przy stosunkowo niskiej wydajności. Zadaptowana na te cele metoda Czochralskiego była lepsza.

Co ważne, Czochralski nie zajmował się produkcją krzemu monokrystalicznego czy germanu monokrystalicznego, które są podstawą elektroniki półprzewodnikowej. Jej realne początki to lata 40. XX w. Leżało to poza zakresem jego zainteresowań. Czochralskiego interesowała metalurgia, a nie elektronika. Natomiast jego opracowanie dotyczące hodowli monokryształów metodą wyciągania zostało twórczo rozwinięte i okazało się niezwykle przydatne w produkcji półprzewodników. Moim zdaniem trudno mówić o nim jako o faktycznym, świadomym ojcu elektroniki. Czochralski wymyślił metodę, za pomocą której można – po adaptowaniu jej na potrzeby elektroniki – tanio „hodować” wysokiej jakości monokryształy, które są podstawą

Czyli nie trzeba było kręcić gałką, by znaleźć daną stację radiową – po naciśnięciu odpowiedniego guzika radio przełączało się na daną częstotliwość. To rzeczywiście było wówczas czymś niezwykłym?

Tak. Była to zupełna nowinka na skalę światową. Wytwórnia Elektrit od początku skutecznie konkurowała m.in. z niemieckimi firmami, więc Polska była w pierwszej lidze producentów radioodbiorników. A pamiętajmy przy tym, że w tamtych czasach były to najważniejsze urządzenia elektroniczne. Pierwotnie Elektrit bazował na podzespołach zagranicznych, ale szybko rozwinął własną produkcję. Odbiorniki Elekritu były poważane w całej Europie i uznawane za jedno z najlepszych. Eksportowano je na Bliski Wschód, do Indii, do Afryki Południowej. Pod względem klasy sprzętu Polska była w czołówce. II RP bez wątpienia odniosła gigantyczny sukces, jeżeli chodzi o radiofonizację.

Na pewno wielkie zasługi ma na tym polu słynny Detefon.

Tak, to najprostszy radioodbiornik, jaki możemy sobie wyobrazić. Do 1939 r. sprzedano go w liczbie aż 500 tys. egzemplarzy. Ważną cechą Detefonu było

Radiofonizacja Polski po odzyskaniu niepodległości to głównie zasługa Detefonu FOT. ZE ZBIORÓW NMT





■ współczesnej elektroniki. Na pewno jednak nie pracował nad swoją metodą z myślą, że za kilkadziesiąt lat będzie się tak w bardzo efektywny sposób produkowało układy scalone.

Trudno jednak bagatelizować pośredni wkład Czochralskiego w rozwój elektroniki. Bardzo często przecież pierwszy krok jest najważniejszy.

Zgadza się – Czochralski dał doskonałą podstawę do wykonania następnego kroku. Bardzo mało odkryć w historii ludzkości było od początku do końca dziełem tylko jednego człowieka. Większość wynalazców bazowała przecież na pracy wielu innych badaczy.

Nawiasem mówiąc, przykład Czochralskiego przywołuje na myśl dokonania Jana Łukasiewicza. To bardzo ważna postać w historii informatyki, choć on sam pracował na obrzeżach tej dziedziny lub faktycznie wręcz przed jej realnymi „narodzinami”. Łukasiewicz był polskim logikiem i matematykiem. W 1920 r. wymyślił, jak zapisywać wyrażenia logiczne i algebraiczne, by nie trzeba było używać nawiasów. Wbrew pozorom stanowiło to spory problem. Łukasiewicz wymyślił, jak uprościć zapis i usunąć nawiasy, dzięki czemu można było przechodzić przez równanie szeregowo. Metoda ta nazwana została notacją polską.

Pomysł Łukasiewicza po 30 latach zrobił wielką karierę, gdy zajęli się nim A. Burks, D. Warren, J. Wright oraz Australijczyk Ch. Hamblin, dokonując w niej niewielkiej w gruncie rzeczy zmiany. Nowa metoda nazwana została odwrotną notacją polską. Okazało się, że zmodyfikowany

wynalazek Łukasiewicza doskonale nadaje się do przetwarzania programów pisanych językiem wysokiego poziomu na kody maszynowe za pomocą programów zwanych kompilatorami. Sytuacja jest tu podobna do osiągnięć Czochralskiego – sam Łukasiewicz bezpośrednio nie stworzył niczego w dziedzinie, w której jego praca znalazła największe zastosowanie, jednak bez tej podwaliny nie doszłoby do wykonania drugiego, kluczowego kroku. Wynalazek Łukasiewicza miał bardzo duży wkład w rozwój informatyki na świecie.

Wróćmy do Czochralskiego. Dlaczego monokryształy są tak kluczowe w elektronice?

Monokryształ to substancja, która w całej objętości ma niemal identycz-

Manczarski na Powszechnej Wystawie Krajowej w 1929 r. zaprezentował swoją wersję nadajnika i odbiornika telewizyjnego

ny, poza drobnymi lokalnymi wadami, układ sieci krystalicznej. Krótko mówiąc, w każdym miejscu ma on identyczne właściwości. Elektron podróżujący po takiej siatce krystalicznej nie napotka istotnych przeszkód wpływających na jego ruch, co ma kluczowe znaczenie dla elektroniki. Jeżeli chcielibyśmy przyrównać to do czegoś, co znamy ze świata codziennego, to wyobraźmy sobie podróż po równiutkiej, asfaltowej autostradzie. To właśnie monokryształ dla elektronów. Bez monokryształów elektrony musiałyby podróżować po polikryształach, czyli kocich łbach.

Czy elektronika w II RP to tylko technika cywilna?

Nie, musimy też wspomnieć o sprawach wojskowych. W tym kontekście pojawia się bardzo ważne nazwisko w historii Polski – Jan Kowalewski. Był to elektro- i radiotechnik, analityk i kryptolog, którego działalność zahaczała o elektronikę. W 1919 r. zorganizował on jednostkę zajmującą się dekryptażem depesz bolszewickich przesyłanych drogą radiową. Jest on jednym z ojców sukcesów Polaków w wojnie 1920 r. Dzięki jego pracy można było się zorientować, gdzie znajdują się



Laptopy i komputery domowe z lat 80.
XX W. FOT. ZE ZBIORÓW NMT



Polskie kalkulatory kieszonkowe

FOT. ZE ZBIORÓW NMT



wojska bolszewickie i jakie są ich zamiary. Co ciekawe, jedną z metod analitycznych Kowalewskiego była „metoda grzebienia”. Powinniśmy to rozumieć bardzo dosłownie – w zwykłym grzebieniu wyłamywano określone zęby i używano go jako tzw. matrycy deszyfrującej. Między innymi w ten sposób Polacy łamali sowieckie szyfry.

W kontekście przedwojennej Polski i elektroniki musimy też wymienić nazwisko Ignacego Mościckiego, prezydenta RP w latach 1926–1939, który był równocześnie bardzo dobrym chemikiem i elektrotechnikiem, a z punktu widzenia elektroniki miał swój wkład w elektrotechnikę wysokich napięć. Mościcki opracował bowiem doskonałej jakości kondensatory wysokonapięciowe, czyli elementy gromadzące ładunek i pracujące przy bardzo dużych różnicach potencjałów. Kondensatory tego typu konieczne są do konstruowania sieci energetycznych wysokiej mocy.

Bardzo ważnym naukowcem z czasów II RP był także prof. Jan Studniarski. To początek uporządkowanej elektrotechniki, z której później wyłoniła się elektronika. W 1920 r. prof. Studniarski zorganizował na AGH pierwsze prawdziwe laboratorium elektrotechniczne na ziemiach polskich. Służyło ono zarówno studentom, jak i badaczom.

Już w przedwojennej Polsce rozpoczęto eksperymenty z telewizją.

Wspominany już Stefan Manczarski w 1922 r. skonstruował radioodbiornik, ale w 1929 r. pokazał on coś o niebo ciekawszego. Na całym świecie trwały wówczas badania nad możliwością przesyłania, rejestracji i odtwarzania obrazu. Manczarski na Powszechnej Wystawie Krajowej w 1929 r. zaprezentował swoją wersję nadajnika i odbiornika telewizyjnego o 36 liniach rozdzielczości (współcześnie nasze telewizory mają minimum 480 linii rozdzielczości, choć na ogół znacznie więcej). Dodatkowo zaproponował on wczesny układ rejestracji obrazu, zupełnie zaskakujący pod względem technicznym. Można go w sensie koncepcyjnym porównać do współczesnych magnetowidów. Manczarskiego można więc traktować jako prekursora zapisu wideo.

W czasie drugiej wojny światowej elektronika poczyniła olbrzymie postępy. Polscy konstruktorzy również nie próżnowali w tym czasie...

Mamy tu dwie ciekawe postaci. Pierwszą jest Henryk Magnuski. Ten polski elek-



Polskie mikrokomputery
Mazovia 1016 i Meritum
FOT. ZE ZBIORÓW NMT



Jeden z modułów logiki
minikomputera K-202
FOT. ZE ZBIORÓW NMT



Terminal MERA 7951 M
FOT. ZE ZBIORÓW NMT



Wileński producent
znakomitych
odbiorników radiowych
wydawał własny
miesięcznik „Elektrit-
-Radio”
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

trotechnik w 1939 r. został wysłany przez macierzysty zakład do Ameryki. Magnuski miał się w USA poduczyć i podpatrzeć tamtejsze rozwiązania. W Polsce pracował nad wysokostabilnymi generatorami fali nośnej, które są kluczowym elementem systemów łączności. W Nowym Jorku zastała go wojna. Nie wrócił do kraju, ponieważ było to wówczas praktycznie niemożliwe, i podjął pracę w amerykańskim przemyśle elektrotechnicznym. W 1942 r. skonstruował dla US Army radiostację SCR-300.

Czyli urządzenie, które przeszło do historii jako walkie-talkie.

Tak. Ta przenośna radiostacja charakteryzowała się bardzo dużą stabilnością częstotliwości nośnej – łączność radiowa na polu bitwy nie rwała się na odległości nawet kilkunastu kilometrów. Dawało to dużą przewagę Amerykanom. Niemcy i Japończycy nie mieli tak dobrych systemów komunikacji radiowej. Konstrukcja Magnuskiego była na tyle dobra, że jeszcze pod koniec lat 60. była bez większych zmian wykorzystywana w wojsku.

Drugim konstruktorem, którego nie można pominąć w kontekście drugiej wojny światowej, jest Józef Kosacki – elektronik i radiotechnik, na świecie znany jako konstruktor wykrywacza metali. Już przed wojną zauważono, że obwody antenowe radioodbiorników są wrażliwe na zbliżanie do nich metali. Kosacki wykorzystał tę wiedzę w bardzo praktyczny sposób. Gdy Brytyjczycy ogłosili w 1941 r. konkurs na najlepszą metodę wykrywania min, Kosacki zadziwił wszystkich swoim patentem. Po prostu nikt wcześniej nie wpadł na to, że to metal może zdradzać istnienie miny. Przed wynalazkiem Kosackiego miny wykrywano w bardzo ryzykowny sposób, nakłuwając grunt cienkim prętem. Jego praca uratowała przed śmiercią ogromną liczbę istnień ludzkich.

Jak radzili sobie w trudnych powojennych warunkach polscy elektronicy?

Profesor Janusz Groszkowski z Politechniki Warszawskiej łączy światy przedwojennej i powojennej polskiej elektroniki. Był on teoretykiem i praktykiem, zajmującym się wieloma dziedzinami elektroniki, i bardzo zasłużył się w doskonaleniu pokryć katod lamp katodowych. Pracował również nad elementami mikrofalowymi, które są niezbędne w konstruowaniu radarów.



Józef Szafraniec był z kolei konstruktorem i inżynierem, który w latach 1956–1957 budował pierwsze polskie podzespoły półprzewodnikowe. W naszym muzeum mamy prototyp tranzystora złączowego, który najprawdopodobniej wyszedł spod ręki inż. Szafranca. Zawdzięczamy mu też opracowanie pierwszych krajowych germanowych diod półprzewodnikowych, które były produkowane w zakładach Tewa. Józef Szafraniec rozwinął produkcję podzespołów półprzewodnikowych w Polsce. Był on w forpoczcie tej dyscypliny i przygotowywał podwaliny pod masową produkcję półprzewodników w kraju.

W historii polskiej techniki wspinał się Jacek Karpiński – elektronik, konstruktor maszyn matematycznych i cyfrowych. Opierając się na półprzewodnikowych podzespołach elektronicznych opracowanych przez Szafranca i jego współpracowników, Karpiński stworzył w 1959 r. wraz ze swoim zespołem analizator równań różniczkowych AKAT-1. Był to pierwszy na świecie analizator tego

Odry, w szczególności serii 13XX, były komputerami niezawodnymi, dobrze skonstruowanymi i elastycznymi pod względem konfiguracji. W związku z tym nie było potrzeby poprawiania ich przez ponad dwie dekady

typu wykonany w całości na tranzystorach. Wcześniejsze analizatory były lampowe, czyli w porównaniu z AKAT były gigantycznych rozmiarów. Zapraszam naszych czytelników do muzeum, gdzie można zobaczyć tę maszynę i porównać ją z mniej zaawansowanymi konstrukcjami, wyglądającymi przy niej bardzo archaicznie.

Karpiński jako pierwszy w Polsce i drugi na świecie skonstruował perceptron na tranzystorach. Perceptron to maszyna rozpoznająca otoczenie. Zastosował w nim koncepcję sztucznych sieci neuronowych. Dopiero od niedawna sieci neuronowe święcą swoje triumfy – bardzo wiele rozwiązań oprogramowania analitycznego bazuje na nich. Tymczasem Karpiński badał możliwość stosowania



Instrukcja techniczna do Detefonu z 1934 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

prosty sieci neuronowych już w latach 60. i 70.

Karpiński ma na koncie wiele ciekawych konstrukcji, ale nie wszystkie miały szansę na sukces. Przykładowo jego minikomputer K-202 nie zrobił na rynku kariery z powodu dyktatu Związku Sowieckiego. K-202 zbudowany był bowiem na podzespołach pochodzących ze strefy dewizowej, co było nie do zaakceptowania pod względem politycznym i stało w sprzeczności z jednolitym systemem architektury komputerowej RIAD, rozposzechnionym w krajach RWPG.

Żelazna kurtyna sprawiała niemałe problemy polskim naukowcom pracującym w PRL, ale jednak los elektroników wydaje się pod tym względem szczególnie ciężki...

Zgadza się. U schyłku lat 70. właściwie zamarła u nas nowatorska technologia elektroniczna. Cały zachodni świat przestawił się na technologię MOS, a tymczasem elektronika krajów RWPG wciąż bazowała na starszych opracowaniach złączowych i dyfuzyjnych, co zaważyło na ograniczeniu możliwości tworzenia nowych rozwiązań. Nie zmienia to jednak tego, że polska elektronika użytkowa od lat 60. do lat 90. odnosiła niemałe sukcesy rynkowe. Założone w 1949 r. Zakłady Radiowe im. Marcina Kasprzaka produkowały sprzęt elektroakustyczny tak wysokiej jakości, że sprzedawano go z powodzeniem na rynkach zachodnich.

Z kolei w 1970 r. powstało CEMI, czyli Naukowo-Produkcyjne Centrum Półprzewodników. Jego zadaniem było wytwarzanie na rynek krajowy i zagraniczny podzespołów półprzewodnikowych, głównie krzemowych.

I wreszcie musimy wspomnieć o powołanym w 1961 r., zrzeszającym blisko 30 zakładów, Zjednoczeniu Unitra. Jest ono doskonale znane starszym czytelnikom pamiętającym domowy sprzęt RTV produkcji Unitry.

Wymieniając najważniejsze polskie zakłady z okresu PRL, musimy również powiedzieć o Zjednoczeniu Przemysłu Automatyki i Aparatury Pomiarowej „Mera”, które powstało w 1964 r. Był to główny producent sprzętu komputerowego.

Zapewne większość Polaków kojarzy komputery sprzed 1989 r. głównie z Odrą.

Ciekawymi modelami są na pewno Odra 1003 i Odra 1013, które jeszcze w latach 80. nadzorowały dużą liczbę zadań w większych zakładach, np. naliczanie płac, kontrolowanie stanów magazynowych, sterowanie procesami technologicznymi.

Z kolei Odra 1305 nadzorowała duże węzły kolejowe. Były to komputery dobre i niezawodne. O ich jakości świadczy to, że ostatnia taka Odra została wyłączona na początku XXI w.

Dlaczego tak stare komputery były używane w Polsce jeszcze na przełomie wieków?

Odry, w szczególności serii 13XX, były komputerami niezawodnymi, dobrze skonstruowanymi i elastycznymi pod względem konfiguracji. W związku z tym nie było potrzeby poprawiania ich przez ponad dwie dekady. Również ich oprogramowanie było niezawodne. To nieco przypomina sytuację z promami kosmicznymi. Kiedy ostatnie amerykańskie promy startowały, technologia półprzewodnikowa była już doskonale rozwinięta. A jednak promy kosmiczne nadal korzystały z pamięci ferrytowych, które już w latach 80. były cokolwiek wiekowe. Stosowano je jednak właśnie z uwagi na ich niezawodność. Zmiana platformy sprzętowej, czyli przejście na pamięć krzemową, wiązałyby się z wysokimi kosztami i ze stratą czasu. Krótko mówiąc, nowe rozwiązanie trzeba



Analizator równań różniczkowych ARR oraz pamięć taśmowa FOT. ZE ZBIORÓW NMT



Komputer KAR65 konstrukcji
inż. Jacka Karpińskiego

FOT. ZE ZBIORÓW NMT

byłoby testować i programować od zera. Dlatego stosowano rozwiązania, które – choć przestarzałe – dzięki udowodnionej niezawodności były skuteczne. Tak samo było z komputerami Odra. Nie opłacało się inwestować w całkowicie nowy sprzęt dopóty, dopóki stary sprawował się dobrze.

Niestety, niezawodność komputerów Odra do pewnego stopnia pogrążyła polską elektronikę cyfrową, ponieważ opóźniło się w ten sposób wprowadzanie nowszych technologii, szczególnie komputerów zgodnych ze standardem PC. Komputer Mazovia 1016 opracowano wprawdzie w okresie, gdy mógł się jeszcze przyjąć na rynku, ale projekt miał swoje niedomagania. Zamiast standardowych złącz krawędziowych zastosowano w nim złącza pino-we Eltra 811. Tymczasem nikt na świecie nie stosował takich złącz. Gdyby nie to, mogliśmy zapewne sprzedawać nasze mazovie 1016 za granicą. Zanim wymieniono te złącza i udoskonalono platformę sprzętową, zmieniła się technika i Mazovia 1016 stała się już przestarzała.

Jak to się stało, że jeden z genialnych polskich elektroników dostał za swoje wynalazki aż dwa Oscary?

Stefan Kudelski naprawdę dobre warunki pracy mógł sobie zapewnić w Szwajcarii, gdzie osiedli jego rodzice zmuszeni wojną w 1939 r. do emigracji. Opracował magnetofon reporterski, który nie miał sobie równych. Był on niewrażliwy na warunki eksploatacyjne, nagrywanie w ruchu nie było dla niego problemem. Przypomnę tylko, że na ogół ruch bardzo utrudniał nagrywanie, co szczególnie komplikowało pracę dziennikarzem. Kudelski opracował ciekawy układ mechaniczny, który pozwalał utrzymać

Stefan Kudelski opracował magnetofon reporterski, który nie miał sobie równych. Był on niewrażliwy na warunki eksploatacyjne, nagrywanie w ruchu nie było dla niego problemem

wysoką stabilność zapisu. Magnetofony Kudelskiego rejestrowały dźwięk m.in. na planach filmowych. Jego praca została doceniona przez Amerykańską Akademię Filmową.

Przenieśmy się do III RP. Między innymi dzięki niebieskiemu laserowi i grafenowi o polskich elektronikach znów było głośno.

To prawda, ale wcześniej, w 1999 r., powstała firma Ammono, która zaczęła rozwijać bardzo ważną gałąź podzespołów elektronicznych, mianowicie podzespoły produkowane na podłożu z azotku galu, a nie krzemu. To właśnie azotek galu zapewnia doskonałe parametry podzespołów pracujących na sygnałach wielkiej częstotliwości. Wysiłek badaczy z Ammono został doceniony, ponieważ w 2012 r. firma zdobyła jedną z najważniejszych światowych nagród technologicznych – Compound Semiconductor Industry Awards 2012.

Instytut Wysokich Ciśnień PAN w 2001 r. zaprezentował swój niebieski laser półprzewodnikowy, który jest – śmiało możemy tak powiedzieć – jednym z elektronicznych Świętych Graali. Jest on nie tylko wykorzystywany w elektronice użytkowej, lecz także używa się go w transmisjach światłowodowych.

IWC PAN podjął prace nad niebieskim laserem w momencie, gdy technologia ta była wielką nadzieją rynku. Ogromnym konkurentem IWC PAN była Nichia, japońska firma produkująca podzespoły fotoelektroniczne. Firma ta opracowała konkurencyjny niebieski laser i dzięki ogromnemu wsparciu rządu japońskiego udało się jej zdominować rynek. Opracowany przez Polaków na poziomie laboratoryjnym niebieski laser półprzewodnikowy miał bardzo dobre parametry i rokował doskonałą przyszłość rynkową, ale niestety Polska przegrała w tym wyścigu z Japonią, która nie szczędziła środków, by osiągnąć sukces.

Choć przeciętny użytkownik domowej elektroniki zapewne nigdy nie słyszał o tej firmie, to polska Vigo System jest doskonale znana w światowej branży kosmicznej. Jej urządzenia od lat latają w kosmosie. Vigo System produkuje optoelektronikę specjalistyczną dla aparatury kosmicznej, m.in. szerokospektralne detektory podczerwieni. Dość powiedzieć, że detektory firmy Vigo System poleciały na Marsa jako wyposażenie badawcze łazika Curiosity.

W ten sposób dochodzimy do grafenu i badań dr. hab. Włodzimierza Strupińskiego.

W 2011 r. opracował on metodę uzyskiwania grafenu bardzo wysokiej jakości. Metoda ta była bezkonkurencyjna. Grafen to struktura krystaliczna węgla charakteryzująca się wyjątkowymi cechami zarówno elektrycznymi, jak i mechanicznymi. Jest to niezwykle obiecujący materiał. Wciąż upatruje się w grafenie przyszłości dla elektroniki. Co prawda, grafenowe podzespoły nie są jeszcze dostępne na rynku, ale jednak wielu ekspertów widzi w grafenie podłoże, które zastąpi krzem.

Włodzimierz Strupiński opracował świetną metodę, ale niestety nie udało się jej rozwinąć w Polsce na skalę przemysłową. Trzymajmy jednak kciuki, by jego metoda wpłynęła na przyszłość elektroniki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dziękujemy Narodowemu Muzeum Techniki w Warszawie za merytoryczną pomoc w przygotowaniu tekstu.



Zsław Adamaszek jest elektronikiem, kierownikiem Działu Edukacji i Działu Wystaw Narodowego Muzeum Techniki w Warszawie, kuratorem wystawy „Historia komputerów. Liczy się!”

*Remigiusz Wojtasiewicz*

To najczęściej cytowany polski naukowiec, na jego prace uczeni na całym świecie powołują się częściej niż na badania Marii Skłodowskiej-Curie czy Mikołaja Kopernika. Z jego dokonań korzystamy każdego dnia, sięgając po telefon, włączając laptop czy konsolę do gier. Człowiek, który miał potencjał, by zbudować potęgę większą niż Google, Microsoft czy Apple. Upokorzony i odarty z czci spoczął w anonimowej mogile. Jan Czochralski – geniusz o tragicznym życiorysie

Ta scena wydarzyć się mogła w ostatniej dekadzie XIX w. Wśród grupy młodzieńców, dla których nastał właśnie wyczekiwany ostatni dzień nauki w Seminarium Nauczycielskim w Kcyni (dziś to miasto w województwie kujawsko-pomorskim, w powiecie nakielskim, siedziba gminy miejsko-wiejskiej Kcynia; wówczas było to miasto w zaborze pruskim), wyróżnia się jeden chłopiec. Ścisną swoje świadectwo, płomiennym spojrzeniem wpatruje się w nauczyciela. Wyraźnie nie podziela entuzjazmu cieszących się wakacjami rówieśników.

Upewniony przez profesora, że nie podlega już rygorom szkolnym, młodzieniec wypala: „Proszę przyjąć do wiadomości, że nigdy nie wydano bardziej krzywdzących ocen!”. I drze przy tym swoje świadectwo, wprawiając w osłupienie i nauczyciela, i kolegów.

Czy ta scena przebiegała tak dramatycznie? Czy młody Jan Czochralski, syn mistrza stolarskiego specjalizującego się w wyrobie mebli domowych i trumien, był tak zuchwały? Czy może niezadowolony z ocen Janek – jak podają inne źródła – swojego świadectwa nigdy nie odebrał? To nie jest dziś aż tak istotne, na pewno brak cenzurki będzie w przyszłości utrudniał Janowi rozwój kariery naukowej. Jednak Janek zupełnie się tym nie przejmując. Wie, że ma ponadprzeciętny umysł, a oceny to tylko oceny. Interesują go chemia, fizyka,

Zuchwalec z Kcyni



Jan Czochralski FOT. NAC



astronomia, a że chłopiec nie jest typem teoretyka, pragnie wiedzę sprawdzać w praktyce. Eksperymenty w domu nie podobają się jednak ojcu. Stawia ultimatum – albo syn zarzuci swoje ryzykowne zabawy z chemią, albo będzie musiał poszukać innego dachu nad głową.

Nie ustalimy na pewno, czy Janek świadectwo podarł, ale poza sporem pozostaje to, że był człowiekiem odważnym i zuchwałym. To oczywiste, że swej pasji nie zarzucił.

BEZ DYPLOMU W SZEROKIM ŚWIECIE

W wieku 16 lat opuszcza więc dom, a rodzicom oświadcza, że wróci, gdy będzie już sławny. Zaczyna skromnie – od... Krotoszyna. Zatrudnia się tam jako pomocnik aptekarza. Trafia dobrze – na pracodawcę, który potrafi zauważyć i docenić talent. Aptekarz wysyła więc młodego Czochralskiego do Berlina i tak w 1904 r. przed 19-latkim otwiera się zagraniczna kariera.

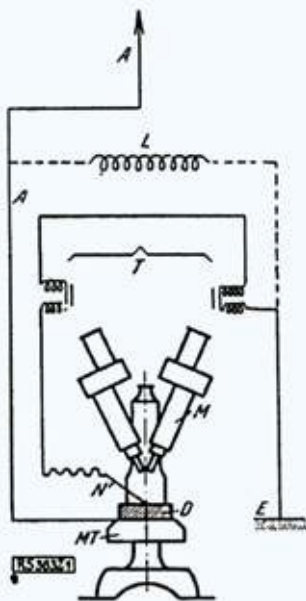
Najpierw znalazł Czochralski zatrudnienie w aptece, później zmieniał miejsca pracy, uczęszczał na zajęcia z chemii jako wolny słuchacz. Jeszcze przed ukończeniem 25. roku życia został kierownikiem działu badania stali i żelaza w laboratorium niemieckiego koncernu elektrotechnicznego Allgemeine Elektrizitäts-Gesellschaft (AEG) oraz dyplomowanym inżynierem chemii (jak to zrobić bez dyplomu poświadczającego jakiejkolwiek wykształcenie?).

Korzystał z życia kulturalnego, interesował się sztuką. Uczęszczał na wykłady z historii na Uniwersytecie Berlińskim, regularnie był na wernisażach i koncertach. Na jednym z koncertów poznał pianistkę Margaretę Haase, którą poślubił i z którą miał troje dzieci.

Mniej więcej od czasu asystentury u inżyniera i ekonomisty Wicharda von Moellendorffa, którą Czochralski odbywał w latach 1911–1914, ścieżka naukowych zainteresowań i całej przyszłej kariery Polaka zaczęła się prostować – Jan Czochralski poświęcił się niemal wyłącznie metalurgii. Z wyśmienitymi efektami. Szybko zdobywał uznanie i rozgłos. Mimo że był Polakiem, Czochralski został przewodniczącym Zarządu Głównego Niemieckiego Towarzystwa Metaloznawczego. Był także członkiem honorowym Międzynarodowego Związku Badań Materiałoznawczych w Londynie.

Pióro umoczone przypadkiem w tyglu z roztopioną cyną zamiast w kałamarzu dało początek przełomowemu odkryciu Czochralskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Schemat radiomikroskopu Czochralskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jego nazwisko znane było za oceanem. Sam Henry Ford zaprosił go do swoich fabryk i zaproponował dyrektorskie stanowisko w swoim koncernie. Wcześniej niemiecki Metallbank und Metallurgische Gesellschaft wybudował we Frankfurcie duże laboratorium, nad którym kierownictwo powierzył Polakowi. Kiedy Czochralski obejmował nad nim pieczę, miał już na koncie wynalazek życia. Dzieło przypadku, którego waga nie od razu została rozpo-

Jan Czochralski poświęcił się niemal wyłącznie metalurgii. Z wyśmienitymi efektami. Szybko zdobywał uznanie i rozgłos. Sam Henry Ford zaprosił go do swoich fabryk i zaproponował dyrektorskie stanowisko w swoim koncernie

znana nawet przez samego wynalazcę, ale po latach uznano to odkrycie za jedno z najważniejszych w XX w. Do dziś wykorzystywane jest w produkcji nowoczesnych urządzeń elektronicznych.

ODKRYCIE ŻYCIA I... INNE ODKRYCIA

Dorobek naukowy Jana Czochralskiego obejmuje ponad sto publikacji i kilkadziesiąt patentów. Dwie książkowe monografie i tysiące stron tajnych raportów. I choć imponującą listą osiągnięć można by obdzielić kilka życiorysów, to nie ma trudności, by wskazać odkrycie najważniejsze i najbardziej przełomowe. Jest nim opracowanie metody pomiaru szybkości krystalizacji metali, którą nazwano później jego nazwiskiem.

Uruchommy znów wyobraźnię. Ten sam chłopiec, który w Kcyni z palącym spojrzeniem mówi profesorowi o niesprawiedliwości ocen na swoim świadectwie, ma już 31 lat i zdążył udowodnić światu swoją wartość. Naukowiec siedzi w półmroku w swoim laboratorium. Sporządza notatki i w zamyśleniu zamiast w kałamarzu macza pióro w tyglu z roztopioną cyną. Przypadek, po którym większość wyrzuciłaby nienadające się już zapewne do użycia pióro, ale bystry umysł Polaka spostrzega coś, co jest początkiem przełomowego odkrycia. Błyskawicznie odkrywa bowiem, że powstanie takiej nici (monokryształ) umożliwia mierzenie szybkości krystalizacji materiału.

Odkrycie dokonane – jak stwierdził w jednej z publikacji sam Czochralski – „zadziwiającym przypadkiem” rzeczywistość było czystym zbiegiem okoliczności? Nie do końca, bo „twórczy błąd” z zamoczeniem pióra w cynie pozwolił Polakowi tak szybko wyciągnąć właściwe wnioski



■ dzięki jego doświadczeniu w pracy w aptece. Dokonywał tam pomiaru czystości wazeliny. Współcześni mu aptekarze wiedzieli, że wyciągana przez nich „nić” wazeliny jest zbiorem kryształów jednej z frakcji tej substancji. Mając do czynienia ze zjawiskiem przypominającym wyciąganie magneścem z opakowania spinaczy biurowych w postaci łańcucha, były aptekarz natychmiast uświadomił sobie, że na końcu zanurzonego w cynie pióra znajduje się krystaliczna nić.

Odkrycie, które Czochralski początkowo uważał za ciekawe, ale nie nazbyt istotne, pozwoliło najpierw otrzymywać monokryształy metali (od roku 1916), a później, od 1948 r., półprzewodniki. Był to moment zwrotny i początek oszałamiającej kariery „metody Czochralskiego”, która umożliwiła pozyskiwanie krzemu w tani sposób. Krzem, który jest podstawowym składnikiem urządzeń elektronicznych. Dziś metodę odkrytą w 1916 r. wykorzystuje się do pozyskiwania krzemu służącego do budowy tranzystorów, układów scalonych, chipów czy diod.

Wagę tego odkrycia zaczęto doceniać pod koniec życia Czochralskiego. Sukces, także materialny, za życia przyniosło Polakowi inne odkrycie. W okresie międzywojennym Jan Czochralski opracował stop na panewki łożysk ślizgowych dla kolejnictwa. Poszukiwania odpowiednich proporcji stopu trwały kilkanaście lat, wiele światowej klasy umysłów pracowało nad tym, czym zastąpić niedostępną cynę, i to ostatecznie Polak opracował idealne proporcje.

A sprawa nie była łatwa, bo musiał to być stop mający – zdawałoby się – wykluczające się wzajemnie właściwości. Z jednej strony bowiem stop musiał być miękki, aby dobrze smarował oś wagonu, ale nie mógł zużywać się zbyt szybko, a więc dobrze, aby był jednak... twardy. Jak Polak pogodził te sprzeczności? Obrazowo tłumaczy to Paweł E. Tomaszewski w artykule „Jan Czochralski – historia człowieka niezwykłego”: „Dobrym modelem może tu być... czekolada z orzechami. [...] Rolę »orzechów« odgrywały odpowiednie domieszki (wręcz w znikomej ilości: 0,73 proc. wapnia, 0,58 proc. sodu, 0,04 proc. litu i 0,02–0,2 proc. glinu) tworzące drobne kryształki w masie ołowianej stopu”.

Czochralski opatentował stop nazwany metalem B (niem. B = Bahn, czyli kolej) w 1924 r. i zrewolucjonizował transport kolejowy na całym świecie. Jego materiał



Jan Czochralski ok. 1910 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Odkrycie, które Czochralski początkowo uważał za ciekawe, ale nie nazbyt istotne, pozwoliło najpierw otrzymywać monokryształy metali (od roku 1916), a później, od 1948 r., półprzewodniki

był stosunkowo tani, a duża żywotność stopu pozwalała czynić istotne oszczędności. Wynalazcy przyniosła fortunę.

Trzecim najbardziej znanym wynalazkiem Polaka jest radiomikroskop opracowany w 1925 r. Urządzenie będące połączeniem mikroskopu metalograficznego i układu odbiorczego radia kryształkowego pozwalało na sprawdzanie składu próbek metali i stopów. Skanowanie próbki igłą umożliwiało znajdowanie substancji niemetalicznych (w słuchawkach badacza pojawiał się wtedy sygnał radiowy), co pozwalało oceniać jakość badanych próbek. Mikroskop zbudowany przez Czochralskiego uważa się dziś za pierwowzór współczesnych skanin-
gowych mikroskopów analizujących

(SPM). Za ich wynalezienie (pół wieku po opracowaniu radiomikroskopu), w 1986 r., Gerd Binnig i Heinrich Rohrer otrzymali Nagrodę Nobla z fizyki.

BEZIMIENNA MOGIŁA

Doceniony za życia geniusz, spełniony jako naukowiec, mąż i ojciec, świetnie sytuowany, mecenas kultury... Mimo tak wielu jasnych stron życiorysu Jana Czochralskiego jest życiorysem tragicznym. Powrót do Polski i działania najpierw niemieckich, a później rosyjskich okupantów miały fatalne konsekwencje.

W roku 1928, mniej więcej w okresie, kiedy uznanemu już wynalazcy Henry Ford składa propozycję objęcia dyrektorskiej posady w swoim samochodowym imperium, do Czochralskiego dociera inna propozycja. Prezydent Polski Ignacy Mościcki zwraca się do tego wybitnego obywatela Rzeczypospolitej, by na stałe powrócił do ojczyzny, a ten propozycję przyjmuje.

Podnosi się kilka argumentów uzasadniających taki wybór Czochralskiego. Bezsprzeczny jest dziś jego patriotyzm. Czochralski czuł się Polakiem, co podkreślają także takie drobiazgi jak to, że jego żona we wszystkich dokumentach figuruje jako Czochralska, a nie Czochralski, jak mogłoby być w przypadku Niemki. Pola-



kowi miało też zależeć na tym, aby jego dzieci mogły się uczyć w polskiej szkole. Poza tym mógł powrócić do ojczyzny, tak jak zapowiedział rodzicom – jako uznany i zamożny człowiek.

Ale prawdopodobna jest także wersja Stefana Bratkowskiego, według której Jan Czochralski współpracował z polskim wywiadem wojskowym i musiał opuścić Niemcy, bo groziła mu dekonspiracja. Oficjalne zaproszenie prezydenta było więc jedynie przykrywką.

W ojczyźnie znów dał o sobie znać brak odpowiednich dyplomów – aby jako profesor kontraktowy mógł oficjalnie przekazywać swą wiedzę przyszłemu pokoleniu Polaków, Politechnika Warszawska nadała Czochralskiemu tytuł doktora honoris causa. Rok później otrzymał tytuł profesora zwyczajnego z rąk prezydenta RP. Specjalnie z myślą o nim utworzony został Instytut Metalurgii i Metaloznawstwa.

Nie wszystkim w środowisku profesorskim to się podobało. Niektórzy uważali, że Czochralski niesłusznie traktowany jest wyjątkowo. Szczególnie intensywny konflikt wywiązał się w 1934 r. między nim a prof. Witoldem Broniewskim. Stop B nazywa prof. Broniewski nieudolnym wynalazkiem, a Czochralskiemu zarzuca, że sabotuje polskie wojsko i koleją na rzecz Niemiec. (Jan Czochralski posiadał bowiem również niemieckie obywatelstwo, którego się zrzekł, lecz procedura formalnie nigdy nie została ukończona.) Broniewski mówił o Czochralskim, że ten „z ducha jest raczej Niemcem niż Polakiem”, a ten odwdzięczał się, nazywając swojego adwersarza „wrogiem państwa

polskiego”. Panowie stanęli nawet ponoć do pojedynku, którego rezultat nie jest jednak znany, a później spotkali się przed sądem. Ostatecznie Czochralski spór wygrał, ale część środowiska nigdy nie przyjęła tego werdyktu do wiadomości.

Druga wojna światowa była dla Jana z Kcyni doświadczeniem szczególnym. Okupanci rozstrzelali mu brata, ale jego samego, jako wciąż posiadającego obywatelstwo, traktowali jak pełnoprawnego Niemca. Zaproponowali mu nawet objęcie kierownictwa nad Zakładem Badań Materiałów na Politechnice Warszawskiej, wykonującym prace dla Wehrmachtu. Polak na początku odmawiał, lecz w końcu posadę przyjął, ale w porozumieniu z polskimi władzami konspiracyjnymi. Kierowana przez niego placówka zapewniała bezpieczeństwo i zatrudnienie kilkudziesięciu osobom oraz fikcyjne zatrudnienie członkom AK. Wraz z rodziną angażował się w pomoc, wyciągnął z rąk gestapo ok. 50 osób, a profesorów Mariana Świerka oraz Stanisława Porejkę za jego protekcją zwolniono z obozów koncentracyjnych. Prowadził podwójną grę, używając imienia Johann i spotykając się z Niemcami, lecz z drugiej strony organizował w swoim domu literackie spotkania z udziałem m.in. Ludwika Solskiego, Leopolda Staffa czy Kornela Makuszyńskiego.

Po 1945 r. nowy okupant zaczął represjonować Czochralskiego pod pretekstem jego współpracy z III Rzeszą. Cztery miesiące profesor spędził w areszcie. Z braku dowodów nie został skazany, ale to nie przeszkodziło ówczesnemu Senatowi Politechniki Warszawskiej odmówić przyjęcia Czochralskiego do pracy. Obrona polegająca na wyjawieniu, że o wszystkich działaniach wynalazcy wiedziała Armia Krajowa, z oczywistych względów nie wchodziła w nową rzeczywistość w grę.

Upokorzony Czochralski wrócił w rodzinne strony i założył w Kcyni Zakłady Chemiczne BION, zajmujące się produkcją chemii gospodarczej i parafarmaceutyków. Popularnością cieszył się m.in. jego płyn do trwałej ondulacji (stosowany jeszcze na początku XXI w.!). Postanowił pozbyć się majątku w Warszawie, sprzedał ruiny swojej kamienicy, przyjmując rozliczenie w dolarach. To znów ściągnęło na niego zainteresowanie władzy. Pod zarzutem złamania zakazu posiadania waluty obcego państwa ubecy przeprowadzili wyjątkowo brutalną rewizję w willi Czochralskich w Kcyni, niszcząc część sprzętu laboratoryjnego. Jan,

Witold Broniewski mówił o Czochralskim, że „z ducha jest raczej Niemcem niż Polakiem”, a ten odwdzięczał się, nazywając swojego adwersarza „wrogiem państwa polskiego”. Panowie stanęli nawet ponoć do pojedynku



Proces „hodowania” (powstawania) kryształu krzemu metodą Czochralskiego, 1956 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

który dobiegał już siedemdziesiątki, doznał ataku serca. Zmarł w szpitalu w Poznaniu 22 kwietnia 1953 r.

Ojciec współczesnej elektroniki spoczął na cmentarzu w Kcyni w anonimowym grobie. Tablica z jego nazwiskiem została ustawiona dopiero w roku... 1998. Całkowicie zrehabilitowany został po odnalezieniu w 2011 r. dokumentów jednoznacznie potwierdzających, że nie kolaborował z okupantem, ale ściśle współpracował z wywiadem Komendy Głównej Armii Krajowej. 7 grudnia 2012 r. Sejm Rzeczypospolitej Polskiej ogłosił rok 2013 Rokiem Jana Czochralskiego. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- „Jan Czochralski (1885–1953) – Giganci Nauki PL”, cz. 2: <https://www.youtube.com/watch?v=ogkecY5qINc>.
- Kowalik T., Słowiński P., „Królewski dar. Co Polska i Polacy dali światu. Wynalazcy. Odkrywcy. Badacze”, Warszawa 2020.
- Tomaszewski P.E., „Jan Czochralski – historia człowieka niezwykłego”, tom XIII, „Prace Komisji Historii Nauki PAU” 2014, s. 57–72.



Monokryształ granatu itrowo-glinowego (YAG)

FOT. MUZEUM PW



Monokryształ fluorku wapnia uzyskany metodą Czochralskiego

FOT. MUZEUM PW



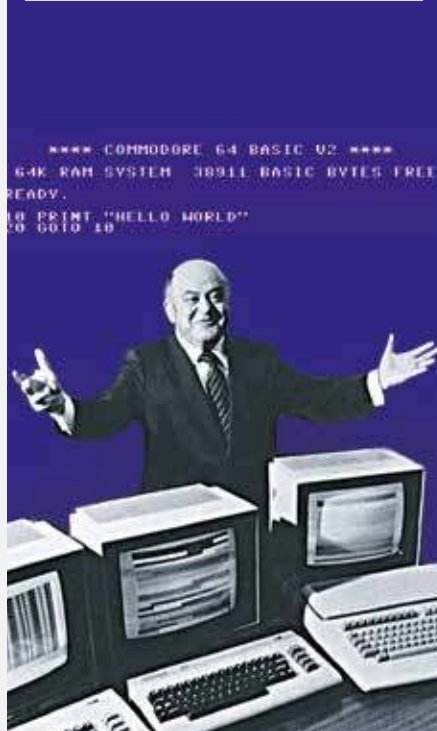
Polacy byli lepsi niż Steve Jobs i Bill Gates

Wojciech Simon

Twórca legendarnej firmy Commodore nazywał się Jack Tramiel i pochodził z Łodzi. Genialny inżynier Jacek Karpiński skonstruował w latach 70. najlepszy minikomputer na świecie, którego wydajność znacząco przewyższała możliwości komputera IBM. Rewelacyjne maszyny liczące tworzył też Leon Łukaszewicz

Trudno jest dziś wyobrazić sobie świat bez smartfonów, smartwatchów czy laptopów. A trzeba pamiętać, że twórca najpopularniejszego komputera w historii urodził się w 1928 r. w Łodzi. Według różnych źródeł przyszedł na świat jako Idek Trzmiel, Jacek Trzmiel, Jacek Tramiel. W czasie wojny trafił do Litzmannstadt Ghetto, gdzie pracował w zakładzie odzieżowym. Następnie – wraz z ojcem – został wywieziony do niemieckiego obozu zagłady Auschwitz-Birkenau, a potem do obozów pracy w Niemczech. Po wyzwoleniu przez amerykańską armię nastoletni Jacek Trzmiel podjął decyzję o emigracji do Stanów Zjednoczonych. Do Nowego Jorku przybył, mając w kieszeni zaledwie 10 dol. W armii nauczył się naprawiać maszyny do pisania i tym właśnie parął się po zakończeniu służby. Zmienił nazwisko na Jack Tramiel i w roku 1954 postanowił założyć własny interes. Chciał, aby nazwa firmy nawiązywała do wojskowości. Niestety, nazwy General oraz Admiral były już zarejestrowane. Młody biznesmen polskiego pochodzenia

Jack Tramiel założył Commodore i przejął Atari. Komputery tych firm trafiały pod strzechy na całym świecie. FOT. MATERIAŁY PRASOWE, ADOBE STOCK/12 KREDEK



zarejestrował więc firmę Commodore Portable Typewriter.

GDY APPLE BYŁ ZA DROGI

Jack Tramiel początkowo naprawiał maszyny do pisania i importował części zamienne. Nie był to łatwy biznes. Pracowity przedsiębiorca musiał nocami dorabiać jako taksówkarz. Po przeniesieniu firmy do Kanady zaczął produkować własne maszyny do pisania. Gdy w latach 50. w biznesowej konkurencji zaczął ostro przegrywać z Japończykami, poleciał do Japonii. Tam ujrzał cyfrowe kalkulatory. Po powrocie do Ameryki zmienił nazwę firmy

na Commodore Business Machines i przeznaczył się na produkcję kalkulatorów, które rozchodziły się jak świeże bułeczki. Potem Tramiel wszedł do branży komputerowej, kupując wraz ze współnikiem udziały w firmach elektronicznych. To wówczas doszło do rozmów o zakupie firmy Apple. Steve Woźniak (którego pradziadek był Polakiem) oraz Steve Jobs zażądali jednak o 15 tys. dol. więcej, niż skłonny był zapłacić biznesmen o polskich korzeniach.

Jack Tramiel wraz ze współnikami zaczęli pracować nad stworzeniem taniego komputera osobistego bazującego na mikroprocesorze MOS 6502. W 1977 r. świat ujrzał Commodore PET (Personal Electronic Transactor) 2001, wyposażony w 4 lub 8 kB pamięci RAM, niewielką klawiaturę oraz 9-calowy monitor monochromatyczny o rozdzielczości 40 x 25. To na jego podstawie firma stworzyła całą linię 8-bitowych komputerów domowych, które podbiły rynek edukacyjny w Kanadzie oraz Stanach Zjednoczonych. Na początku lat 80. firma zaprezentowała Commodore VIC-20, a więc komputer osobisty, który był wyposażony w 5 kB pamięci RAM, procesor 6502, potrafił odtwarzać proste dźwięki, a nawet generować kolorową grafikę. Urządzenie tak bardzo spodobało się konsumentom, że pod strzechy trafiło wiele milionów sztuk.

W roku 1982 rynkową premierę miał zaś największy hit firmy: Commodore 64. Komputer oparty na procesorze MOS Technology 6510 miał aż 64 kB (sic!) pamięci RAM oraz 20 kB pamięci ROM. Do komputera można było podłączyć magnetofon, aby z taśmy wgrywać gry i programy lub wykorzystywać o wiele bardziej zaawansowane... stacje dyskiety.

Stosunkowo tani model sprzedawał się w rekordowej liczbie szacowanej na od 17 do 22 mln egzemplarzy (w zależności od źródeł). Tak dobrze nie sprzedawał się później żaden inny model komputera.



I chociaż oficjalną produkcję zakończono, to nawet dziś można kupić różnego rodzaju klony Commodore 64 – maszyny, która dla wielu była pierwszym krokiem w stronę programowania czy wykorzystywania komputerów w celach artystycznych, edukacyjnych etc. Sławomir Łosowski, założyciel zespołu Kombi, wykorzystał Commodore 64 jako sekwencer do syntezatorów, na których wówczas grał. Magazyn Byte.com w 1996 r. umieścił syntezator muzyczny Commodore SID – generujący dźwięk w komputerach C64 i C128 – na liście 20. najważniejszych wynalazków w historii komputeryzacji, m.in. obok pierwszych procesorów takich firm jak Intel, Motorola czy AMD.

W 1984 r. w wyniku konfliktu ze współnikiem założonej przez siebie firmy Tramiel odszedł ze spółki i stworzył konkurencyjną Tramel Technology. Odkupił Atari od Warner Bros. i zaczął konkurować z Commodore, a także z popularną Amigą. Zaprezentowany w połowie lat 80. model Atari ST wykorzystywał szybki mikroprocesor Motoroli o częstotliwości taktowania wynoszącej aż 8 Mhz, stację dysków, 256 kB pamięci RAM oraz – co było wówczas rzadkością – myszkę komputerową. Niestety, zarówno biznesmen polskiego pochodzenia, jak i jego konkurenci przegrali z nowym typem maszyn: komputerami osobistymi (Personal Computer). Pracownicy Atari zostali zwolnieni, a majątek firmy sprzedano. Jack Tramiel zmarł w 2012 r. w wieku 83 lat, zapisując się na kartach historii nie tylko jako znakomity handlowiec, lecz także twórca kluczowego rozdziału w dziejach globalnej elektroniki. Bo chociaż sam komputerów nie wynalazł, to jednak nie bez powodu biznesmen o polskich korzeniach przez wielu światowych ekspertów nazywany jest ojcem komputerów osobistych.

ZMARNOWANY GENIUSZ „POLSKIEGO GATESA”

Ponad 134 mld dol. Na tyle wyceniany jest majątek Bill Gatesa, amerykańskiego miliardera, który zasłynął jako prezes Microsoftu. Jeszcze większy majątek powinien mieć Jacek Karpiński. Genialny inżynier, były żołnierz batalionu „Zośka” i pionier współczesnej informatyki zdobył nagrodę w konkursie UNESCO dla młodych talentów techniki i studiował na Harvardzie. Amerykanie proponowali mu olbrzymie pieniądze za to, by zgodził się zostać i pracować w Stanach Zjednoczonych. Młody polski patriota zdecydował się

jednak wrócić nad Wisłę. Błyskawicznie stworzył KAR-65, a więc komputer do analizy danych, który był 30-krotnie tańszy i dwa razy szybszy od produkowanych wówczas w Polsce komputerów Odra.

W latach 70. skonstruował zaś pierwszy polski mikrokomputer o rewelacyjnych jak na tamte czasy parametrach. Polski K-202 – pierwszy na świecie komputer osobisty – był lepszy, szybszy i tańszy od amerykańskiego peceta firmy IBM, który powstał dopiero... dekadę później.

K-202 Karpińskiego pracował z zawrotną szybkością miliona operacji na sekundę i mógł być wykorzystywany zarówno do skomplikowanych obliczeń matematycznych, jak i do pracy w biurze. Pod względem szybkości dorównywały mu wówczas tylko dwa komputery na świecie: amerykański Super-Nova oraz brytyjski Modular One. Komputer Polaka wyposażony był



w 150 kB pamięci. Zastosowany przez polskiego inżyniera system adresowania pamięci (w teorii już wówczas K-202 mógł adresować aż 8 MB) przez dziesięciolecia stosowany był zaś w większości komputerów na świecie.

Niestety, rządzących Polską komunistów komputery nie interesowały, a dodatkowo kłuła ich w oczy powstańcza przeszłość genialnego inżyniera. Urzędnicy uznali więc, że nie może być takiego komputera jak K-202, a sam pomysł tworzenia wydajnych maszyn znacząco mniejszych i tańszych od słynnej Odry to co najwyżej utopia.

Mimo to Jacek Karpiński doprowadził do utworzenia polsko-brytyjskiego konsorcjum produkującego K-202. W 1973 r., gdy z taśmy zjechało dopiero 30 sztuk polskiego wynalazku (wszystkie trafiły do Wielkiej Brytanii), pomysłodawca został wyrzucony z pracy i pod bronią wyprowadzony z biura. Władze PRL zdecydowały o zaprzestaniu produkcji, przez co zmarnowano nie tylko geniusz „polskiego

Gatesa” – jak w XXI w. określono Jacka Karpińskiego – lecz także zaprzepaszczono szansę na stworzenie z Polski światowego lidera komputeryzacji i cyfrowych technologii.

Polski inżynier nie mógł opuścić kraju. Po ukończeniu kursu rolniczego w 1978 r. osiadł więc na Mazurach, gdzie hodował drób i trzodę chlewną. Gdy w końcu władze wydały mu paszport, wyemigrował do Szwajcarii, gdzie zajmował się m.in. konstruowaniem skanerów oraz niewielkich kas fiskalnych. Po powrocie do Polski bezskutecznie próbował szans w biznesie. Zmarł w roku 2010.

OD ARR DO XYZ

Pisząc o pierwszych polskich komputerach, nie sposób nie wspomnieć również o Leonie Łukaszewiczu, wybitnym matematyku nazywanym ojcem polskich maszyn liczących. Naukowiec urodzony w Warszawie w roku 1923 walczył w powstaniu warszawskim. W roku 1948 wraz z kolegami założył zaś GAM, a więc Grupę Aparatów Matematycznych. Naukowcy stworzyli przełomowy komputer analogowy o nazwie ARR (Analizator Równań Różniczkowych). Trzy lata później członkowie GAM, pracując pod kierunkiem prof. Łukaszewicza, stworzyli zaś pierwszy w Polsce elektroniczny komputer cyfrowy XYZ, znacząco lepszy od podobnych maszyn działających w Związku Sowieckim i dysponujący nieporównywalnie lepszym Systemem Automatycznego Kodowania Operacji SAKO, który był nie tylko szybszy, lecz także dużo prostszy od sowieckich odpowiedników. W połowie lat 60. GAM zmienił nazwę na ZAM (Zakład Aparatów Matematycznych) i rozpoczął seryjną produkcję komputerów ZAM-2, a potem ZAM-41, które chętnie wykorzystywano w branży przemysłowej oraz w bankowości. Twórcą języka EOL (Expression Oriented Language), który umożliwiał automatyzację oprogramowania komputerów i w latach 60. był wykorzystywany m.in. na komputerach IBM, zmarł w roku 2013 w wieku 89 lat. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- Łukaszewicz L., Messner I., Walasek J., Wrotek Z., „Język programowania EOL-2 dla ZAM-41. Opis”, Instytut Maszyn Matematycznych, Warszawa 1971.
- Markowski A., „Martwię się tylko wtedy, jeśli mogę coś zmienić”, www.cm.pl, 2008
- Ryznar Z., „Zarys historii programowania elektronicznych maszyn cyfrowych (na tle rozwoju ich konstrukcji i zastosowań)”, Warszawa 2011.



Polak „Nagrał” dźwięk sukcesu

Wojciech Simon

Stefan Kudelski to idealny przykład na to, że nauka popłaca. Osiągnięcia w elektronice przyniosły mu setki milionów dolarów oraz wiele prestiżowych nagród, w tym cztery Oscary i dwie nagrody Emmy. Jego urządzeń używały gwiazdy Hollywood, politycy w Białym Domu, astronauta na Księżycu oraz szpiedzy w wielu krajach świata

Chociaż niewiele osób spoza branży filmowej i radiowej skojarzy nazwisko Stefana Kudelskiego, to jego magnetofon Nagra – co w języku ojczystym Kudelskiego oznacza »nagra« – zrewolucjonizował świat rejestracji dźwięku dla radia, telewizji i filmu – tak o genialnym inżynierze polskiego pochodzenia pisał portal amerykańskiego radia publicznego NPR. I nie ma w tym żadnej przesady. Przełomowego wynalazku Polaka używali reporterzy największych stacji – od brytyjskiej BBC poprzez włoską RAI do amerykańskich ABC, NBC czy CBS.

Nagra znacząco ułatwiła również produkcję filmową. Niewielkich rozmiarów przenośny magnetofon o wadze kilku kilogramów zastąpił bowiem ogromne zestawy do nagrywania dźwięku, które musiały być transportowane ciężarówkami, a na planie przenosiło je przeważnie co najmniej kilka osób.

Kudelski nie tylko doprowadził do miniaturyzacji rejestratorów dźwięku – co dało reżyserom i scenarzystom możliwość dużo częstszej zmiany planu filmowego – lecz także opracował niezwykle precyzyjną technikę synchronizacji dźwięku z taśmą filmową. Wynalazek naukowca z Polski rodem służył także kosmonautom. Neil Armstrong wziął go ze sobą na Księżyc. Urządzeń tych używali również himalaiści na Mount Evereście oraz uczestnicy wyprawy na dno Rowu Mariańskiego z Jakiem Piccardem na czele.

Już jako uczeń szkoły średniej w Genewie tak bardzo interesował się elektroniką, że stworzył w domu własne laboratorium. Pierwszą wersję swoje-

go genialnego wynalazku pochodzący z Polski inżynier opracował w wieku zaledwie 22 lat. Był wówczas studentem fizyki na Politechnice Federalnej w Lozannie i młodym emigrantem do Europy Zachodniej. Urodzony w 1929 r. Stefan Kudelski po wybuchu wojny wraz z rodziną ewakuował się z kraju. Kudelscy wyemigrowali najpierw na Węgry, potem do Francji, skąd ostatecznie trafili do Szwajcarii.

**Neil Armstrong zabrał
wynalazek Kudelskiego na
Księżyc. Używali go himalaiści
na Mount Evereście oraz
uczestnicy wyprawy na dno
Rowu Mariańskiego**

Pierwszy egzemplarz swego rewolucyjnego wynalazku – przenośny magnetofon lampowy monofoniczny, z elektrycznym napędem taśmy Nagra I – młody inżynier stworzył już w 1951 r. Rok później urządzenie oferujące niespotykaną wcześniej jakość dźwięku rejestrowanego w plenerze zdobyło pierwsze miejsce w konkursie The First International Amateur Recording Contest. Mimo sukcesu Kudelski nadal pracował nad udoskonaleniem swojego wynalazku. I słusznie. Wersja Nagra III, a więc tranzystorowy magnetofon zaprezentowany w roku 1957, stała się bowiem rynkowym przebojem na całym świecie. I już w 1959 r.



Stefan Kudelski doprowadził do miniaturyzacji rejestratorów dźwięku

FOT. MAT. PRASOWE/KUDELSKI GROUP

służyła do rejestracji dźwięku przy kręceniu filmów. Pierwszy model stworzony specjalnie na potrzeby filmowców powstał trzy lata później. Na początku lat 70. na światowych rynkach debiutowała już zaś stereofoniczna Nagra IV-S, która potrafiła nagrywać dźwięk w systemie dwusieczkowym. Jakość dźwięku była tak dobra, że Biały Dom zlecił Kudelskiemu opracowanie zminiaturyzowanej wersji magnetofonów Nagra, które rejestrowały wszystko, co mówił prezydent Kennedy i co mówił JFK. Urządzeń z tzw. czarnej serii, wykorzystujących taśmę o dwukrotnie mniejszej szerokości, używali również amerykańscy agenci służb specjalnych. Z rejestratorów Kudelskiego korzystali zresztą agenci wielu krajów świata, w tym również niemieckiej Stasi.

Utalentowany wynalazca został uhonorowany nagrodami nie tylko przemysłu filmowego oraz muzycznego. W 1986 r. otrzymał również tytuł doktora honoris causa Szwajcarskiego Federalnego Instytutu Technologii (EPFL). W 1998 r. Stefan Kudelski trafił zaś na listę stu największych geniuszy Szwajcarii. Zmarł w Lozannie w Szwajcarii 26 stycznia 2013 r. Pieczę nad firmą przejął jego syn – André.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- „Co »Nagra« Stefan Kudelski?», Polskieradio.pl, 27.02.2022.
- „Stefan Kudelski, Who Made Sound Recording Portable, Dies”, NPR.org, 29.01.2013.
- Hickiewicz J., Sadłowski P., „Stefan Kudelski (1929–2013)”, „Zeszyty Naukowe Wydziału Elektrotechniki i Automatyki Politechniki Gdańskiej” nr 44, Gdańsk 2015.
- Macura M.A., „Nagrastory. Stefan Kudelski, jego cztery Oscary i... inne opowieści rodzinne”, Rozpisani.pl.



Elektryzujące pomysły



Łukasz Zboralski

W najnowszych technologiach Polska nie zostaje z tyłu. Dzięki umysłom Polaków powstają przełomowe rozwiązania. Niektóre z nich zaprzepaściliśmy, ale część udaje się wprowadzać na rynek

Naukowcy z PAN w latach 90. stworzyli podłoże do emisji niebieskiego światła laserowego

FOT. ADOBE STOCK

W technologiach i elektronice Polacy od zawsze byli mocni, choć nie zawsze ich odkrycia i wynalazki udawało się komercjalizować.

Jednym z najznamiętszych przykładów naukowego odkrycia, które udało się przekuć w biznes, jest praca polskiej fizyki Olgi Malinkiewicz.

Ta absolwentka Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego oraz Politechniki Katalońskiej w Barcelonie opracowała metodę pozwalającą na zastosowanie materiału perowskitowego na dowolnym podłożu. Za późniejsze opracowanie technologii wytwarzania elastycznych ogniw fotowoltaicznych na bazie perowskitów otrzymała w 2014 r. nagrodę w prestiżowym naukowym konkursie Photonics21. Jeszcze w tym samym roku Malinkiewicz założyła spółkę Saule Technologies. Po ponad siedmiu latach, w 2021 r., firma uruchomiła we Wrocławiu pierwszy na świecie zakład produkujący ogniwa perowskitowe. Z Saule Technologies zaczęła już współpracę Skanska – pokrywająca elewacje biurowców półprzezroczystymi ogniwami słonecznymi.

NIEBIESKI LASER

Dwie dekady wcześniej inni polscy naukowcy byli o krok przed innymi w wyścigu technologicznym. Cały świat wiedział już, że przyszłością będzie niebieski laser. Dziś jest już standardem optycznego

zapisu informacji znanym jako Blu-ray. Ten rodzaj laserów używany jest też w profesjonalnych cyfrowych kamkorderach i magnetowidach.

Dzięki pracy zespołów badawczych Centrum Badań Wysokociśnieniowych PAN opracowano nad Wisłą półprzewodnikową diodę laserową z azotku galu, emitującą niebieskie światło. Rząd – mając świadomość przyszłości tej technologii – dość szybko w 1998 r. wdrożył program rozwoju niebieskiej optoelektroniki. Choć na świecie niebieskim laserem zajmowali się też np. Japończycy, to polska technologia była lepsza, stwarzała mniej problemów niż drogi, którymi podążali na świecie inni naukowcy.

Gdy jako kraj mogliśmy już sprzedawać same podłoża GaN do niebieskich laserów, uznano, że uruchomiony zostanie następny program rządowy – mający kończyć się wdrożeniem komercyjnym przyrządów laserowych.



Polska fizyk Olga Malinkiewicz opracowała technologię wytwarzania elastycznych ogniw fotowoltaicznych FOT. SAULE TECHNOLOGIES

Badania i prace trwały latami. W tym czasie na świecie skomercjalizowano już tę technologię. Rynek zaczął się rozwijać, a ceny takich laserów spadały. Polakom się nie udało sprzedać niczego.

PALIWO Z CO₂

Przy obecnym kryzysie energetycznym i w obliczu ograniczania surowców sprowadzanych z Rosji polska innowacyjna metoda wytwarzania paliwa sprzed lat mogłaby dziś zyskać jeszcze większy rozgłos niż w 2009 r. Wówczas bowiem pracownikom Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie pod kierunkiem prof. Dobiesława Nazimka udało się opracować metodę wytwarzania benzyny lub oleju napędowego z dwutlenku węgla. Szacowano, że zastosowanie tej metody w dużych polskich zakładach przemysłowych pozwoliłoby produkować ok. 21 ton paliwa rocznie. Na czym polega metoda? Na wykorzystaniu fotokatalizatora opartego na tlenku tytanu do konwersji rozpuszczonego w wodzie dwutlenku węgla poprzez naświetlanie promieniowaniem nadfioletowym. W ten sposób naukowcom udało się otrzymywać metanol. Tak otrzymany metanol mógł być dalej przekształcany w paliwo przy wykorzystaniu technologii opracowanej już w latach 70. ubiegłego wieku przez koncern Mobil.

„Wyniki eksperymentalne wykazały, że najwyższą wydajność fotoredukcji



■ CO_2 z H_2O uzyskano, stosując TiO_2 z aktywną fazą anatazową modyfikowaną dodatkiem Ru i WO_3 . Konwersja była bardzo wysoka – prawie 97 proc. CO_2 zostało przekształcone głównie w metanol (14 proc. obj.) oraz na niewielką ilość kwasu mrówkowego i octowego oraz estru” – podają naukowcy. „Nowy efektywny fotokatalizator, opisany w projekcie, pozwala na przeprowadzenie procesu fotokatalizacyjnego z wydajnością wystarczającą do użytku komercyjnego. Z obliczeń wynika, że wdrożona technologia (okres trzech lat) pozwoli na ograniczenie emisji CO_2 w pierwszym roku trwania technologii (ok. 25 proc. z dalszą progresją)”.

Nic dziwnego, że rozbudziło to w Polsce wielkie nadzieje. Do UMCS wybierał się wtedy osobiście ówczesny wicepremier Waldemar Pawlak. Od razu pojawiały się też głosy krytyczne. Mówiono, że to metoda nieefektywna. Ilość energii zużywana w takim procesie miała sprawiać, że tego rodzaju produkcja paliwa będzie nieefektywna.

Próby się jednak pojawiały. Najpierw z uczelnią list intencyjny w tej sprawie podpisała miejscowa Elektrociepłownia Wrotków. Miała wspólnie z naukowcami zbudować pierwszą instalację do wytwarzania paliwa z CO_2 . Szybko się jednak z tej współpracy wycofała. Potem była jeszcze nadzieja na współpracę z prywatną firmą. Wówczas jednak prof. Nazimek nie zgodził się na warunki współpracy, które zaferowali przedsiębiorcy. Ostatecznie w 2012 r. odszedł na emeryturę, a jego metoda nie doczekała się wdrożenia.



Polska firma Noctiluca jest jednym z trzech głównych graczy na rynku materiałów do ekranów OLED

FOT. NOCTILUCA

Tymczasem dwa lata później Niemcy zbudowali w Dreźnie zakład pozwalający uzyskiwać paliwo z CO_2 za pomocą metody opracowanej wspólnie ze Szwajcarami. Nie było to jeszcze przemysłowe przedsięwzięcie, raczej testowe, pozwalające produkować dziennie ok. 160 l cieczy z węglowodorów, którą w 80 proc. można było zamienić w syntetyczny olej napędowy.

W 2020 r. konsorcjum z Oslo – Norsk e-Fuel AS – ogłosiło, że zbuduje w Porsgrunn fabrykę produkującą paliwo lotnicze z dwutlenku węgla. W skład konsorcjum weszły: niemiecka spółka Sunfire GmbH, szwajcarska spółka Climeworks AG, niemiecka spółka Paul Wurth SA i norweski fundusz inwestycyjny Valinor. Według planów konsorcjum w przyszłym roku ma osiągnąć zdolność do produkowania 10 mln litrów ekologicznego paliwa lotniczego rocznie. Trzy lata później ma to już być 100 mln ton rocznie.

INNOWACJE DLA NIEPEŁNOSPRAWNYCH

– Nasz wózek oprócz tego, że umożliwia przemieszczanie się użytkownika, pozwala mu sięgnąć np. do półki z książkami. W konstrukcji umieściliśmy autorski ręczny mechanizm pionizowania sylwetki osoby, która siedzi na wózku, dzięki czemu może ona w dowolnym momencie zmienić pozycję z siedzącej na stojącą – opowiadał w 2019 r. dr inż. Piotr Borkowski, Wydział Mechaniczny Politechniki Białostockiej, Koło Naukowe Technologii i Konstrukcji Biomedycznych „BioTik”. – Ułatwiamy w ten sposób takie proste czynności, jak sięgnięcie w sklepie po towar z wyższej półki, korzystanie z szafek w domowej kuchni czy wizyty w bibliotece. Dzięki systemowi pionizacji osoba niepełnosprawna może pokonać więcej barier architektonicznych oraz zachować aktywność w życiu zawodowym i społecznym.

To za ten projekt dwoje studentów Politechniki Białostockiej, podopieczni dr. Borkowskiego – Paweł Czerwiński i Katarzyna Burdziak – zostało wyróżnionych nagrodą specjalną prezesa Urzędu Patentowego RP podczas IX edycji Ogólnopolskiego Konkursu Student-Wynalazca. Swoją wynalazek bowiem opatentowali.

POLSKA ZAŚWIECI W EKRANACH?

Tymczasem nowe projekty kolejnego pokolenia polskich naukowców wciąż powstają. Tym razem – na szczęście – już bardzo często jako start-upy. Dzięki temu celem od razu jest komercjalizacja odkryć czy opracowanych technologii. Tak jest m.in. z Noctilucą – spółką technologiczną założoną przez młodych naukowców w Toruniu. To nowa firma, a już bierze udział w wyścigu o rynek warty obecnie miliardy dolarów. Już jest jednym z trzech głównych graczy na świecie.

Noctiluca zajmuje się projektowaniem wyświetlaczy OLED nowej generacji. To poważna gra – toczy się o przyszłość ekranów, które wszyscy dziś mamy w smartfonach czy w telewizorach. Ale nie tylko. Jeśli technologia się rozwinie, to OLED może zacząć wypierać dotychczasowe źródła światła.

Wydaje się, że to dziś jedyna droga nieuchronnej ewolucji. Najpierw kineskopowe ekrany telewizorów wyparła technologia LED. Ta jednak wyczerpała już swoje możliwości. A i tak nie była doskonała. Mimo sporej oszczędności energii ekrany LED nie potrafią dobrze oddawać czerni, stosuje się w nich metale ciężkie. Dlatego wypierają je ekrany OLED.

Polska firma z Torunia opracowuje organiczne związki chemiczne, które mogą emitować barwy. Aby zwiększyć swoje szanse na rynku, realizuje projekt z Agencją Rozwoju Wysokich Technologii i Przemysłu na Tajwanie, współpracuje z niemieckim Instytutem Technologii, a jakiś czas temu otworzyła własny dział badań i rozwoju w Korei Południowej. Opłaciło się. Polski start-up podpisał umowę z LG. Emitery opracowane przez Polaków będą testowane przez koncern, który wytwarza ponad 20 proc. wszystkich ekranów OLED na świecie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Studenci Politechniki Białostockiej opatentowali wózek inwalidzki z funkcją pionizacji FOT. POLITECHNIKA BIAŁOSTOCKA

Bibliografia:

Klincewicz K., „Zarządzanie technologiami. Przypadek niebieskiego lasera”, Wydawnictwo Naukowe Wydziału Zarządzania UW, Warszawa 2010.
Nazimek D., Czech B., „Artificial photosynthesis – CO_2 towards methanol”, „Materials Science and Engineering” 19 (2011).



Gdańsk

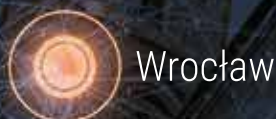
Już teraz **Telewizja Republika**

dostępna w Gdańsku!

MUX DVBT-2 na kanale 31



Warszawa



Wrocław



Katowice

Telewizję Republika odbierać także można
drogą satelitarną, za pośrednictwem
Internetu oraz drogą naziemną w systemie
DVB-T (Katowice i bliska okolica),
a także w systemie DVB-T2
(Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Tragedia, czyli komedia



★★★★★
REŻ. JUDD
APATOW
„BAŃKA”
(„THE BUBBLE”)
USA 2022

wyst. Harry
Trevaldwyn, David
Duchovny, Karen
Gillan

Wbrew miażdżącym recenzjom zza Atlantyku uważam najnowszą komedię Judda Apatowa („40-letni prawiczek”, „Wpadka”, „Funny People”) za w miarę udaną. Rzecz inspirowana jest wydarzeniami z czasu pierwszych miesięcy lockdownu. Pandemia COVID-19 wstrzymała wszystko, w tym produkcję filmów, ale niektóre franczyzy uznano w studiach za zbyt dochodowe. Dlatego ekipę kręcącą „Jurassic World Dominion” skoszarowano w luksusowym hotelu, poddano kwarantannie i nakazano kontynuowanie pracy.

U Apatowa opowieść o kręceniu „Cliff Beasts 6” (bzdurki o dinozaurach wyzwolonych spod lodów

wskutek globalnego ocieplenia) jest więc okazją, żeby szydzić zarówno z obyczajów panujących w show-biznesie, jak i z pandemicznych rytuałów. Kpiny z pandemicznego szaleństwa stały się już osobnym podgatunkiem, którego najzabawniejszym osiągnięciem jest chyba brytyjski serial komediowy „Staged” (pisałem o nim w „Do Rzeczy”). W „Bańce” scenariusz jest przyzwoity, pomysł OK, całość jednak ewidentnie za długa, ale wielkim atutem okazują się aktorzy.

Apatow ma rękę do obsady i wybiera inteligentnie. Davidowi Duchovnemu kazał grać aktora o manierach Hanka Moody’ego, pisarza z serialu „Californication”. Karen Gillan musiała sobie

N podczas kręcenia przypominać własne wyczyny z planu „Jumanji”. Charyzmą bije wszystkich na głowę Pedro Pascal jako gwiazdor uzależniony od seksu i narkotyków, który wędruje po hotelu, pytając każdą napotkaną kobietę, czy chce się z nim przespać. Trafia na godną rywalkę w postaci flirtującej z nim kelnerki – świetna Maria Bakalova. Mój szeroki uśmiech wywoływały też sceny z ważną producentką, która nadzoruje wszystko z luksusowych kurortów, gdzie masek nosić nie trzeba, bo bogacze dostali szczepionkę pół roku wcześniej, niż ją oficjalnie dopuszczono do użytku.

„Komedia to tragedia plus czas” – więc przyjmuję „Bańkę” za wyraźny sygnał, że koronawirusa świat Zachodu pomału przestaje się bać, a zaczyna wykpiwać. Mieszkańcom krajów pozbawionych jeszcze powszechnego dostępu do szczepionek jest pewnie mniej do śmiechu. A wstrząsające zdjęcia zbrodni wojennych dokonywanych przez Rosjan na Ukrainie przypominają, że nie ma takiej tragedii, która nie stałaby się naraz mało ważna, gdy porównać ją z poważniejszą tragedią. ©



NOWE SERIALE: „NASZA BANDERA ZNACZY ŚMIERĆ”

W marcu w USA serial Davida Jenkinsa był jedną z najchętniej oglądanych produkcji nie tylko w HBO Max. Głównym bohaterem jest dobroduszny arystokrata brytyjski Bonnet, który wcieli w życie swe marzenie o karierze pirata. Traktuje swą załogę z uprzejmością i wypłaca stałą pensję, podczas gdy niewdzięcznicy domagają się płaćdowania,

zabijania i w ogóle piracenia w starym typie. Trochę w tym klimatów z „The Office”, trochę z kinowych parodii Mela Brooksa, ale przede wszystkim sporo ciepła i komedii charakterów. ©

HBO MAX

• sezon 1 „Nasza bandera znaczy śmierć” („Our Flag Means Death”), USA 2022, HBO Max

Piotr Gociek

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 1 „Outer Range”, USA 2022

prime video

• sezon 1 „Ryk” („Roar”), USA 2022

apple tv

• sezon 1 „Anatomia skandalu” („Anatomy of a Scandal”), Wielka Brytania 2022



Dzikość w sercu

KINO

Tyle jest różnych dróg przez życie, każdy ma prawo wybrać źle. Vincent Munier wybrał fotografię. Czy mróz, upał czy słońce ugania się po świecie za dzikimi zwierzętami. W końcu musiał się pojawić na Wyżynie Tybetańskiej – w krainie mało przyjaznej człowiekowi, lecz obfitującej w faunę. Celem bezkrywanych łowów Francuza jest pantera śnieżna, lecz obiektyw jego kamery nie gardzi też antylopą, zajęcem, niedźwiedziem, manulem stepowym, rarogiem, a nawet stadem pasących się jaków. Munier jest samotnikiem, uwielbia leżeć godzinami bez ruchu w trawie lub na twardych kamieniach, noco- wać w jaskiniach lub w namiocie rozbitym na przełęczy. Tym razem

jednak towarzyszy mu pisarz Sylvain Tesson, który zachowuje się jak dr Watson przy Sherlocku Holmesie. Spija z ust rodaka każde słowo, by je potem zapisać i w formie wiedzy objawionej wypuścić w świat. Kłopot w tym, że Munier robi zjawiskowe zdjęcia, lecz jest fanatykiem. Z ludzi szanuje tylko nomadów żyjących zgodnie z naturą. Mieszczuchami gar-



★★★★★
REŻ. MARIE AMIGUET/
VINCENT MUNIER
„DUCH ŚNIEGÓW”
 („LA PANTHERE
DES NEIGES”)
FRANCJA 2021

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MUGOL W HOGWARCIE

KINO

Do trzech razy sztuka. Po takim sobie początku i rozczarującym drugim akcie J.K. Rowling (lepsza pisarka niż scenarzystka) wreszcie zdołała zbalansować bajkę o nieśmiałym magizoolo- gu, który z pomocą przyjaciół ratuje świat. Po zdemolowaniu Nowego Jorku i Paryża przyszła kolej na Berlin. Redmayne zachował chłopięcy wdzięk. Wymiana Deppa na Mikkelsena przeszła bezboleśnie, bo ten drugi jest lepszym aktorem. Cichym liderem cyklu pozostał mugol Kowalski w znakomitej interpretacji Dana Foglera. Powróciły sprawdzone gadżety, z nadzwyczaj pojemną walizką Skamandera i fruwającą rękawiczką Dumbledore'a na czele. Tylko tytuł wprowadza w błąd. O tym, że profesor z Hogwartu należy do kochających inaczej, wiedzieliśmy już wcześniej. Nie jest również zaskoczeniem, że idealisci są zdolni do najgorszych zbrodni, a styl retro sprawdza się nawet w filmach, w których bohaterowie przechodzą przez ściany.



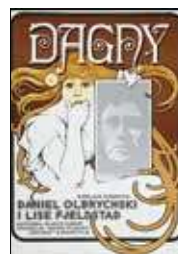
wyst. Eddie Redmayne, Jude Law, Dan Fogler

★★★★★
REŻ. DAVID YATES
„FANTASTYCZNE
ZWIERZĘTA:
TAJEMNICE
DUMBLEDORE'A”
USA/WIELKA
BRYTANIA 2022

NAGIE DUSZE

Z 24 filmów, do których Barbara Ptaak projektowała kostiumy, cztery nominowano do Oscara, a pięć można obejrzeć (do końca kwietnia) na stronie Narodowego Instytutu Audiowizualnego. Wśród nich „Dagny” – biografię muzy Muncha, Strindberga i Stacha Przybyszewskiego. W tle występują Berlin, Kraków, Tbilisi i kwiat aktorstwa polskiego. Daniel Olbrychski bezceremonialnie spycha w cień Norweżkę, która gra kobietę wyzwoloną, lecz zadziwiająco bierną i bezbarwną. Stachu natomiast jest postacią malowniczą: pijaczyna i tęgi grafoman, lew salonowy maltretujący pianino, idol młodopolskiej młodzieży oraz bożyszcze parń gotowych „pójść za nim wszędzie”. Secesyjne ciuchy są wspaniałe, jednak potencjał zawarty w scenariuszu Aleksandra Ścibora-Rylskiego zmarnowano. Zamiast soczystej tragikomedii jest suchy bryk, w którym na kilkanaście sekund pojawia się Ibsen, a na kilka – Hamsun. ©©

Wiesław Chełmniak



wyst. Lise Fjeldstad, Daniel Olbrychski, Nils Ole Oftebro

★★★★★
REŻ. HAAKON SANDØY
„DAGNY”
POLSKA/
NORWEGIA 1977

GRA TYGODNIA: „KIRBY AND THE FORGOTTEN LAND”

O Mario czy Donkey Kongu słyszał chyba każdy, kto choć trochę interesuje się grami wideo. Kirby to przy nich bardzo ubogi kuzyn, jest jak krewny, który na rodzinnym spotkaniu zaskakuje dużą część towarzystwa swoim istnieniem. A przecież ten pocieszny, okrągły jego- mość pojawił się w rodzinie Nintendo

przed trzema dekadami. Tylko jakoś nigdy nie miał szczęścia. Może tym razem? Wiele na to wskazuje. Najnowsza odsłona przygód Kirby'ego jest udana. To platformówka 3D z mnóstwem ciekawych rozwiązań. Odstresowująca i prosta. Dla starszych może nieco zbyt cukierkowa, ale młodzi



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

będą piąć z zachwytem. Gwarantuję, testowałem z pomocnicą, kilkuletnią Emi. ©©
Radosław Wojtas
• Gatunek: Platformówka 3D
• Platforma: Nintendo Switch
• Producent, wydawca/wydawca PL: HAL Laboratory, Nintendo/Conquest Entertainment a.s.

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Kantyzm dla wybranych

Jak w każdej porządnej powieści sensacyjnej mamy w „Kartelu” porachunki gangsterskie, skrytobójstwa, sprzedajne kobiety, a do tego skorumpowaną władzę, walkę wywiadów, działania tajnych służb. Ale że fabuła umiejscowiona została we współczesnym Wrocławiu, są tu też Niemcy, wcale nie tak sympatyczni, jak to zwykle przedstawiają apologetci dobrosąsiedzkich stosunków panujących w tej jakby eksterytorialnej metropolii Dolnego Śląska.

I tak na przyjęciu wydanym przez tamtejszy konsulat RFN niemiecki dyplomata w gładkich słowach opowiada o tym, że „nasze wspólne doświadczenie ucisku i totalitaryzmu każe nam dziś dbać o naszą wspólną przyjaźń”. Deklarację tę jedna z bohaterek powieści komentuje tak: „Wspólne doświadczenie totalitaryzmu. [...] Ciekawe, który ta kanalia ma na myśli? Bo w przypadku jednego nasze doświadczenia są zupełnie różne. Zresztą w przypadku drugiego także, oni przecież przez dwa lata byli sojusznikami”.

O Niemcach mówi się w „Kartelu” wprost, bez owijania w bawełnę zła, które wyrządzili, a za które nie ponieśli odpowiedzialności, bo nie dosięgła ich kara adekwatna do winy. Przeciwnie – dokumenty odnalezione przez dziennikarza i jego przyjaciela podczas penetrowania tuneli w kompleksie Riese w Górach Sowich pozwalają odtworzyć sieć firm, które wzbogaciły się na majątku skradzionym przez Niemców w okupowanych krajach. Ta sama bohaterka powieści, nieubłagana tropicielka hitlerowskich zbrodniarzy i ich popleczników, przyznaje, że „wiele takich hien udało nam się już zdemaskować, ale zawsze brakowało nam dokumentów pokazujących, że nie była to przypadkowa akcja kilku bandytów, ale zorganizowane przedsięwzięcie państwa niemieckiego. Wówczas



FOT. PIOTR SOŁIŃSKI/REPORTER

nazywało się jeszcze Trzecią Rzeszą, ale wkrótce płynnie przeszło w Republikę Federalną Niemiec. Te dokumenty pokazują, że bez względu na ustrój tam zawsze liczyły się te same interesy”.

W powieści Mariusza Staniszewskiego niepełna może, ale jednak prawda w końcu zwycięża. Dowiadujemy się, że istnieje, ułomna wprawdzie, sprawiedliwość; że dobro w odwiecznym pojedynku ze złem nie stoi wcale na straconej pozycji. Może więc rację ma inny z bohaterów „Kartelu”, 80-letni, który po swoich doświadczeniach – wojennych i powojennych – zachował wiarę w to, że „dobro przekazane innym ludziom zawsze wraca ze wielokrotną mocą”, i przekonanie, że „w świecie, w którym istnieje moralność, bycie zbrodniarzem wcale nie jest łatwe. Nawet jeśli raz uda mu się uniknąć kary, już zawsze będzie żył w obawie, że ten sekret zostanie ujawniony i ludzie poznają prawdę”. Pięknie, ale te krzepiące słowa spotykają się z natychmiastową ripostą: „Chyba żyje pan trochę na wyspie. Przybývámy ze świata, w którym zasady moralne w pana rozumieniu nie obowiązują”.

Bo też rzeczywiście obraz naszego współczesnego świata, a w tym wypadku wrocławskiego mikrokosmosu, jest więcej niż przygnębia-

jący. Panoszą się w nim przestępcze gangi zblatowane z politykami i policją. Liczą się tam wyłącznie wielkie pieniądze, seks, wykwintne wyzerki podlane drogim alkoholem, narkotyki...

A nad wszystkim tym pieczę sprawuje tytułowy „Kartel”, czyli nowa elita budująca wspólnotę, w której „wymiar sprawiedliwości, kultura, gospodarka, organy ścigania, media” służą powstającemu nowemu porządkowi. A w nim czym innym jest „wolność dla elity, czym innym dla hołoty”. W końcu znany adwokat czy właściciel gazety ma „potrzeby większe niż robotnik z Pafawagu”. Nie jesteśmy tacy sami, o nie.

Bandyci zaś czują się w tym świecie doskonale. Najinteligentniejszy z tych, którzy przewijają się przez karty powieści Staniszewskiego, powiada: „Zarabiam na wszystkim, co przynosi zyski. I nieważne, czy interes jest legalny czy nie. Nie przestrzegam zasad, ale je wyznaczam. Ograniczeniem dla mnie jest tylko siła innych ludzi. Powtarzam – siła. Może trochę wypaczę sens słów Kanta, ale czuję, że niebo gwiazdziste nade mną, a prawo moralne we mnie. Tylko to nie jest wasze prawo moralne, ale moje. Siła, okrucieństwo i brutalność dają mi przewagę nad całą tą tłuszcą. Jestem jak nietzscheański nadczłowiek. Lubię swój świat, bo jest silniejszy od waszego. Jestem drapieżnikiem, a wy zwierzyną płową”.

I oto nagle okazuje się, że wśród tej „zwierzyny płowej” skrył się ktoś taki jak dziennikarz wrocławskiej gazety, który nie jest może ideałem, ale w życiu i w pracy kieruje się tym, co podpowiada mu kołatką Zbigniewa Herberta. I, dzięki pomocy nadto może tajemniczych ludzi dobrej woli, triumfuje w starciu z potężnymi siłami zła. Ech, jak nie lubić happy endów. Żeby tak w życiu... ©©



★★★★★
MARIUSZ
STANISZEWSKI
„KARTEL”
ZYSKI S-KA,
POZNAN 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pospolite ruszenie

Pospolite ruszenie. Rafał i Kasia Kosikowie wydają już książki po ukraińsku i rozdają je dzieciom ewakuowanym do Polski. Zajrzyjcie na stronę wydawnictwa Powergraph, można tam powieść „Felix Net i Nika oraz Gang Niewidzialnych Ludzi” zamówić (jedyna opłata to koszt wysyłki). Zatem zamówcie i przekażcie tym, którzy ratowali życie, więc nie mieli jak uratować biblioteki.

Pospolite ruszenie. Pisze do mnie przez Facebooka Artur Guzicki, niegdyś legnicki współpracownik „Rzeczpospolitej”. Tam powstaje „bajkowy przewodnik po Legnicy” w dwóch językach: polskim i ukraińskim. Ukraińska wersja będzie rozdawana bezpłatnie. Ilustracje do pokolorowania przygotowały dzieci z Młodzieżowego Centrum Kultury.

Pospolite ruszenie. W trzy tygodnie powstała antologia „24/02/2022”. Pomysłodawca – Jarosław Klonowski, wydawca – Krzysztof Biliński, który z pomocą ochotników-redaktorów złożył licząc ponad 1,3 tys. stron tom. Polscy autorzy fantastyki i kilkadziesiąt opowiadań – książka-cegiełka, z której cały dochód przekazany będzie na konto organizacji Proliska (<https://proliska.org>), zajmującej się pomocą humanitarną

dla cywilnych ofiar rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Pospolite ruszenie. Bez granic politycznych i światopoglądowych, bo w tomie znajdziecie opowiadania zarówno moje czy Arkadego Saulekiego, jak i całkiem inaczej o świecie myślących Radka Raka albo Łukasza Orbitowskiego. Łukasz zdążył napisać rzecz premierową, paru innych autorów także, inni przysłali teksty, które wydawały im się najbardziej pasujące do tego protestu przeciw imperialnej Rosji i wojnie.

Pospolite ruszenie z udziałem znakomitych grafików. Kilkunastu wsparło pomysł swoimi pracami, w tym jeden z najwybitniejszych polskich rysowników, Przemek Truściński. Tak opowiadania wzbogaciły się o ilustracje, tak powstała też dodatkowa antologia komiksów.

Ebook z książką „24/02/2022” kupicie możecie na stronie Wydawnictwa IX, pełny adres: <https://wydawnictwoix.pl/produkt/24-02-2022/>. Wybrać można dowolną kwotę zakupu od 40 do 150 zł.

Zapewniamy, że żadna ze złotych nie zostanie zmarnowana. A jeśli chcecie wziąć udział w pospolitym ruszeniu, to przekażcie dalej ten link w mediach społecznościowych, na waszych kontaktach i stronach. Z góry serdeczne Bóg zapłać. ©©



AUTORZY RÓŻNI
„24/02/2022”
WYDAWNICTWO IX

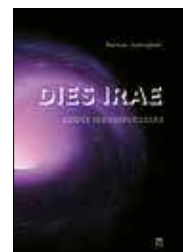
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Ma nowoczesną duszę, to znaczy nie potrafi znieść osądzania” – pisał o bohaterze autor. Ostatnia powieść wydana za życia Camusa ukazuje się właśnie w nowym przekładzie Anny Wasilewskiej. Przegapić nie wolno.



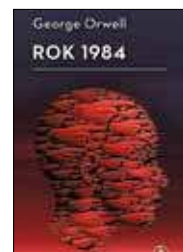
ALBERT CAMUS
„UPADEK”
PIW

„Szkice nienowoczesne”, bo sięgające do Pisma, choć raczej powinienem rzec: jego pilnych czytelników. Wrocławski filozof demaskuje współczesną ślepotę, którą sami sobie na oczy nakładamy. To, co ważne, się nie zmienia.



BARTOSZ JASTRZĘBSKI
„DIES IRAE”
WYDAWNICTWO ATUT

Festiwalu orwellowskiego ciąg dalszy – kolejny w ostatnich miesiącach nowy przekład najsłynniejszej powieści Orwella. Tym razem w tłumaczeniu Andrzeja Jankowskiego. Nie zesterzała się ani trochę i wciąż ucząc, przeraża.



GEORGE ORWELL
„ROK 1984”
REBIS

Dla zmęczonych fake newsami solidna porcja podanej bardzo przystępnie wiedzy o tym, jak współczesna fizyka opisuje przestrzeń, czas, energię i materię przy pomocy teorii kwantowej, teorii względności i termodynamiki. ©© **poleca Piotr Gociek**



JIM AL-KHALILI
„ŚWIAT WEDŁUG FIZYKI”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:

„PIUS VII”

Kolejny tom komiksowej serii „Papież w historii” przynosi opowieść o burzliwym okresie w dziejach Europy i papieżstwa. Pontyfikat Piusa VII to przecież czas okupacji Watykanu i Państwa Kościelnego przez siły Napoleona, ekskomunikowania przez papieża „rabusiów patrymonium św. Piotra” i w efekcie uwięzienia Ojca Świętego w Savonie. Historia zmagania



PHILIPPE THIRIAULT,
THOMAS VERGUET
„PIUS VII”
EGMONT 2022

Piusa VII z Napoleonem jest jednak o wiele dłuższa, co autorzy komiksu opowiadają z pomocą konsultanta do spraw historii i religii, którym jest Bernard Lecomte. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Architektura przetrwania

To miały być kryjówki tymczasowe, choć czasem musiały być w użyciu dłużej. Nikt nie myślał o wygodzie, o przetrzeniu. Przeciwnie – schronienia małe, nierzucające się w oczy albo zorganizowane w miejscu, w których oprawcom nie przyszłoby do głowy szukać (np. pusty grób), dawały większe szanse na przetrwanie. Słyszeliśmy wiele świadectw ocalonych, którzy opowiadali, jakie potworne warunki musieli znosić,

by ocalić życie. Wystawa „Kryjówek. Architektura przetrwania” pozwala takie miejsca obejrzeć z bliska.

Wspomniane już puste groby, dziuple drzew, szafy, kanały – m.in. w takich miejscach kryli się przed Niemcami w trakcie Holokaustu Żydzi. Natalia Romik wykonała lustrzane odlewy dziewięciu kryjówek z terenów Polski i dzisiejszej Ukrainy. Wcześniej z Aleksandrą Janus i zespołem przeprowadziła interdyscyplinarne badania. Ekspozycja prezentuje i rzeźbiarskie formy kryjówek, i wyniki badań.

Hołd dla niezwykle silnej woli życia, kreatywności i solidarności w trudnych czasach. Jakże aktualny i dziś, gdy „architekturą przetrwania” jest tyle najzwyklejszych polskich domów. ©©

GDZIE? Warszawa.

Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki

KIEDY? do 17 lipca



FOT. MATERIAL PRASOWE



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Chili bez mocy

Ten jeden z najważniejszych i najpopularniejszych zespołów lat 90. dziś już tylko odcina kupony od dawnej sławności.

Papryczkowy przepis na sukces, opierający się na wyeksponowanym funkującym basie i częstych zmianach tempa, został na albumach wydanych w tym wieku u-pop-iony. Zamiast palącym chili Kalifornijczycy raczą nas słodko-kwaśnymi daniami z turystycznych tawern. Przy czym Anthony Kiedis, który dawniej wspaniale zdzierzał gardło, przeistoczył się w nadwrażliwego, łkającego mazgaja, któremu dziś bardziej pasuje frak niż wyszukane tatuaże.

Na 12. albumie Red Hotów dostajemy 17 nagrań, z których większość „leci” sprawdzonymi

schematami. Otwierający album, singlowy „Black Summer” idealnie pasuje na spotkania karaoke. Większość nagrań jest w średnim tempie, a ich jasnymi punktami są zabójcze solówki Fruscianta. Drugą grupę stanowią funkowe jammy, które wywołują nagłe gibanie ciałem (świetny „The Heavy Wing”), a trzecią irytujące balladki. Niespodziewanymi smaczkami są pojawienie się jazzujących trąbaczek w lekkim „Aquatic Mouth Dance” czy skradających się syntezatorów w dziwnym „Bastards of the Light”.

Pociechą jest to, że czuć w nagraniach radość płynącą z energii czterech kumpli, którzy po prostu dobrze się bawili w studiu. A że efekt jest przeciętny, to sprawa dla ich samopoczucia drugorzędna. ©©



★★★★★
RED HOT CHILI PEPPERS
„UNLIMITED LOVE”
WARNER



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIKINGOWIE W GDAŃSKU

Do końca X lub połowy XI w. w okolicach ujścia Wisły i rzeki Elbląg istniała osada i port Truso, jak dowiódł dr Marek Jagodziński – część systemu handlowego wikingów. Artefakty z IX i X w. przybliżają codzienność mieszkańców osady i współżycia na tym terenie przedstawicieli różnych kultur. Najciekawszym eksponatem ekspozycji „Truso. Legenda Bałtyku” jest wrak łodzi bojowej z X w., który łączy charakterystyczne cechy szkutnictwa Słowian nadbałtyckich i Skandynawów. ©©

GDZIE? Gdańsk.

Narodowe Muzeum Morskie

KIEDY? do końca 2023 r.



★★★★★
LUBOMSKI
„SEK YOU”
MYSTIC

Mariusz od 40 lat tworzy intymny,

muzyczny świat. Na jego piątym albumie usłyszymy piosenki „o kimś z boku, kto czasem jest akceptowany, ale czasem też nie, a czasem bywa pogodzony z losem i uśmiechnięty”. Inteligentne teksty Sławka Wolskiego w niepowtarzalnej interpretacji Lubomskiego robią wrażenie.



★★★★★
DE PRESS
„3 POTOCKI”
MUSIC CORNER

W 1991 r. ukazał się pierwszy polski

album grupy Andrzeja Dziubka, który teraz został wznowiony na winyli. Nasz „Norweg” z punkową werwą łączy „góralczyznę” z wierszami Tetmajera i antysowieckimi manifestami. Wersja „Bo jo cie kochom” z 1991 r. dziś jest zasłużonym evergreenem. ©©



Rzuca

nam się na uszy

Kadr z „Romea i Julii” w reżyserii Jerzego Gruzzy, 1974 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Krzysztof
Masłoń

Wolno, bo wolno, ale dramatyczna rzeczywistość wraca nawet do telewizyjnych seriali, włącznie z tymi na ogół kompletnie nieliczącymi się z realiami. I tak w „Klanie” Heniutka zabrała się za kompletowanie darów dla uchodźców, które jej operatywny małżonek odwozi do punktu pomocy. W tym samym serialu robiąca za gwiazdę internetowych programów dla pań Dżesika organizuje na vlogu akcję pomocową. Inne produkcje serialowe wyraźnie jednak nie nadążają, po staremu skupiając się na pasjonujących kwestiach zaręczyn, ślubów, narodzin, rozstań, powrotów, zdrad faktycznych i rzekomych, słowem – tym wszystkim, co zdaniem scenarzystów takich klasyków gatunku jak „Barwy szczęścia” czy „Na Wspólnej” formuje

nasze życie, wolne od takich drobiazgów jak wojna tuż za polską granicą.

W tasiecmach zgoła innego rodzaju, a mianowicie programach z gatunku „Marceli Szpak dziwi się światu”, łatwiej o wprowadzenie zmian dyktowanych przez aktualne wydarzenia, nic dziwnego więc, że niezawodna ekipa Polsatowych budowlańców z Katarzyną Dowbor na czele zabrała się do remontowania budynku dla uciekinierów z Ukrainy. Już nie mogą się doczekać, jak nowi lokatorzy wydadzą będą okrzyki zachwytu: „Posudomijna maszyna!”. Chyba że i w obowiązkowych punktach „Naszego nowego domu” nastąpią rewolucyjne zmiany, na co bym jednak nie liczył.

W ramach tradycyjnych gier i zabaw ludu polskiego zabawiano się z kolei ostatnio wyliczaniem, kto pokazał się na gali Wiktorów TVP, a kto nie. Najgroźniejszą – Stingową – absencję zawdzięczamy ponoć – jak utrzymuje niegdyśiejsza gwiazda salonowego dziennikarstwa kulturalnego

nadzwyczaj, Katarzyna Janowska – Małgośce Szumowskiej, która „w Nowym Jorku wyjaśniła żonie Stinga”, dlaczego nie powinien pokazywać się w reżimowej Telewizji Polskiej. Skąd taki znaczący wpływ reżyserki tak niezapomnianych osiągnięć naszej kinematografii, jak „W imię...” o homoseksualizmie w Kościele czy „Twarz” o zasłużonej karze, jaka spotkała robotnika budującego ogromny posąg Chrystusa, na Trudie Styler, od 29 lat małżonkę Stinga i matkę czworga jego dzieci? „Oni się przyjaźnią” – orzekła Janowska, nie dodając, że Szumowska obsadziła tę brytyjską aktorkę w swoim najnowszym filmie „Infinite Storm” (z Naomi Watts w roli głównej), który właśnie wszedł na ekran w USA, a w Polsce będzie pokazany pod koniec maja.

Przed 15 laty, dawno, ale Trudie Styler też już najmłodsza nie jest (68 lat), przegrała proces ze swą gospodynią domową, która oskarżyła ją o wyzysk i o to, że wyrzuciła ją, gdy wyszło na jaw, że jest w ciąży.

Przy okazji tamtej sprawy inny były pracownik zatrudniony w posiadłości Stinga i Trudie Styler w Wiltshire powiedział mi o swej ekschlebowadczyni: „To prawdziwa wsiowa dama. Pod płaszczykiem pychy i dystygowania kryje się taka sama osoba jak my wszyscy. Po 20 latach słuchania, że słońce świeci z jej tyłka, zaczyna powoli w to wierzyć”. Jak jest dzisiaj – nie wiemy, w każdym razie były frontman The Police Ukrainę wspomagać może na odległość, podobnie jak lasy tropikalne w Brazylii, w czym dotąd celował. Naturalnie wraz z żoną.

Co poza tym? Teatr Telewizji, wyspecjalizowawszy się ostatnimi czasy w „perłach z lamusa”, zamiast przypomnieć jeszcze jedną taką „perłę”, czyli spektakl „Romea i Julii” sprzed prawie pół wieku w reżyserii Jerzego Gruzzy z Krzysztofem Kolbergerem i Bożeną Adamkówną w rolach tytułowych, zafundował nam nowe odczytanie tego sztandarowego dzieła Szekspira przez Katarzynę Klimkiewicz, do tej pory na scenicznej niwie znanej tak sobie, jeśli nie wcale. Uwspółcześnienie dramatu przyniosło nieoczekiwane efekty, gdyż cała sztuka bardziej rzucała się nie w oczy, a w uszy, bo z dialogów słynnych kochanków z Werony dobiegało do nas tylko co dziesiąte słowo, czyli jeszcze mniej niż w polskich filmach, które musimy odtwarzać z napisami, by cokolwiek z nich zrozumieć.

Wiemy już za to – po innej transmitowanej gali, w której dorośli ludzie bawią się kuleczkami – że na zakatarzonym mundialu mecz otwarcia zagraemy z Meksykiem, mecz o wszystko z Arabią Saudyjską, a mecz o honor z Argentyną. Wyniki łatwe do przewidzenia.

A przy tym wszystkim rzeczywistość przestała już skrzeczeć. Wyje. ©

Geopolityka ducha





Grzegorz Kucharczyk

Na wschód od naszych granic odradza się od kilkunastu lat nowa wersja carostawia. Nazywa się ruskim mirem. A bezpośrednio przez Odrę graniczymy z pustynią duchową

Czasy nie są romantyczne. Mamy jednak Rok Romantyzmu i jednocześnie wojenną agresję Rosji na Ukrainie; agresję, którą awansowany na stanowisko patriarchy Wszechrusi Cyryl nazywa „metafizycznym starciem”, w którym Rosja występuje „po stronie dobra i prawdy”. W tym samym czasie za naszą zachodnią granicą Kościół w Niemczech dziarsko podąża ku przepaści, wszedłszy na „synodalną drogę”. A my jesteśmy pośrodku. Warto zatem sięgnąć do słów romantycznego wieszcz. A miał on żywą świadomość tego, co można nazwać geopolityką ducha.

„Kiedy chcesz poznać dokładnie charakter moskiewski, to proś teologa, by Ci opisał szatański, i według tego sądził. Diabeł pod kropidłem wszystkie kształty przybiera i gotów świętego udawać, co może sobie przypomina z dawnego anielstwa, by ludzi oszukać i Boga, gdyby się udać mogło samego Boga zwieść. Przypadnie takie położenie i na Moskwę pod naciskiem zdarzeń. I bodajby wtedy, według wyrażenia Apokalipsy, i samych świętych nie zwiodła na czas” (1854).

„Niemiecki ród to najobrzydliwszy pobrat pysznych myśli oderwanych z najbrudniejszą rzeczywistością żywą. Każdego Niemca ciało w błocie trzęsawisk, a dusza w błękitach pozachmurnych. Trzyma zaś je razem ten sam drut, na którym skaczą jasełka, ten sam, na którym poliszynel czy arlekin! Polecieli duszą w niebo i Boga nie mogli tam znaleźć – ogłosili, że go nie ma. Poszli nogami w błoto i tam sobie ścieżki nawet wydeptać nie potrafią – ani narodowej, ani ludzkiej. Zobaczysz, co spadnie na tych hermafrodytów!” (1848).

W ten sposób o naszych dwóch sąsiadach pisał Zygmunt Krasiński, odpowiednio do gen. Władysława Zamoyskiego i Bronisława Trentowskiego. Jakże nie przywoływać dziś słów autora „Nie-Bońskiej komedii” o „szatańskim zakłamaniu”, gdy ze wschodu słyszymy, że na Ukrainie żadnej wojny nie ma, a jedynie „specjalna operacja militarna”, że tak na-

prawdę narodu i państwa ukraińskiego nie ma, a ciężarne kobiety w zbombardowanym przez „wyzwolicielską” armię rosyjską mariupolskim szpitalu to tak naprawdę żołnierze batalionu „Azow”? Jakże nie przywoływać autora „Irydionu” mówiącego o duchowym naburmuszeniu naszych zachodnich sąsiadów, gdy za Odrą ważni hierarchowie Kościoła mówią, że „nie jesteśmy filią Watykanu”, a kierowany przez nich Kościół baz wahań, synodalnie „idzie nogami w błoto”, otwarcie sprzeciwiając się Magisterium Kościoła powszechnego.

I LENIN, I CHRYSYDUS

Na wschód od naszych granic odradza się od kilkunastu lat nowa wersja carostawia, czyli melanzu władzy świeckiej i duchownej (prawosławnej). Dzisiaj nazywa się ona ruskim mirem. Podobnie jak dwugłowy orzeł w godle Rosji – to hybryda, coś nienaturalnego. Jego wizualizacją jest ciągle czynne mauzoleum Lenina na moskiewskim placu Czerwonym i odbudowany kosztem wielkich nakładów wspaniały sobór Chrystusa Odkupiciela położony całkiem niedaleko. Ruskim mir „przybiera wszystkie kształty”. Gdy trzeba – oddaje cześć człowiekowi, który utopił prawosławną Rosję w morzu krwi. Przy innej okazji ma coś i dla wyznawców Chrystusa – podniesioną od fundamentów wspaniałą świątynię zniszczoną niegdyś przez Stalina; tego samego, przy którego grobie na placu Czerwonym zawsze są świeże kwiaty.

Prawie 10 lat temu, w grudniu 2012 r., prezydent Putin, odnosząc się do pojawiających się w Rosji żądań likwidacji Mauzoleum Lenina w Moskwie, stwierdził: „Wielu twierdzi, że mauzoleum przeczy tradycji. Jakiej tradycji przeczy? Pojeźdźcie do kijowskiego Skalnego Monastynu albo popatrzcie na monastyr w Pskowie lub na Górę Athos. Tam też są relikwie świętych. Można to zobaczyć wszędzie”.

Ktoś mógłby pomyśleć, że zrównywanie truchła bolszewickiego wodza z relikwiami chrześcijańskich świętych wzbudzi

Prezydent Federacji Rosyjskiej
Władimir Putin i patriarcha Cyryl

FOT. MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES



■ protest Cerkwi. Tymczasem rzecznik moskiewskiego patriarchatu (o. Wsiewołod Czaplin) stwierdził: „Oczywistą rzeczą jest, że warunki, w których spoczywa ciało Lenina, nie pasują do rosyjskiej tradycji kulturowej [...], ale musimy brać pod uwagę opinie różnych grup społecznych i unikać podejmowania decyzji, które spowodują społeczne wzburzenie”.

Przemawiając w 2007 r. z okazji zjednoczenia Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego i Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej za Granicą, rosyjski prezydent stwierdził, że „przywrócenie jedności Cerkwi to najważniejszy warunek odnowienia utraconej jedności całego świata rosyjskiego, którego jedną z podstaw duchowych zawsze było prawosławie”. Właśnie takie prawosławie, które wie, jak zważyć prawdę i zwykłą przyzwoitość z „opiniami różnych grup społecznych” i groźbą wywołania „społecznego wzburzenia”.

Jeśli dzisiaj ktoś się dziwi, że patriarcha Cyryl milczy, gdy rosyjskie bomby spadają na szkoły, szpitale i osiedla mieszkaniowe na Ukrainie, a nawet nie milczy, tylko chwali to jako wyraz „metafizycznej walki” prowadzonej przez państwo rosyjskie, to powinien przy-

Federacja Rosyjska to „wielkie państwo chrześcijańskie i islamskie”.

Trendy demograficzne wskazują, że Rosja przedstawiana na Zachodzie przez agentów wpływu lub pożytecznych idiotów jako „ostatnia nadzieja chrześcijańskiej cywilizacji” może być w połowie tego stulecia jeszcze bardziej islamska i coraz mniej chrześcijańska. Dzisiaj muzułmanów w Rosji jest ok. 20 mln. Prognozy wskazują, że przy obecnym regresie demograficznym społeczeństwa rosyjskiego (m.in. na skutek plagii aborcji) za ćwierć wieku już co czwarty obywatel Federacji Rosyjskiej może wyznawać islam. Na razie swoją „metafizyczną walkę” na Ukrainie, błogosławioną przez patriarchę Moskwy i Wszechrusi, Rosja prowadzi wykorzystując muzułmańskich najemników.

Jest wszakże jeden wyjątek w tej „ekumenicznej” postawie. Otwarte ramiona ruskiego miru nie obejmują katolicyzmu. Ustawa uchwalona jeszcze w 1997 r. określa jako „tradycyjne religie Rosji”: prawosławie, buddyzm, islam i judaizm. Katolicyzmu w tym zestawie nie ma. Przede wszystkim dlatego, że katolicyzm w warunkach rosyjskich to polskość. Na początku ery Putina na łamach „Niezawisimej Gaziety” pisano: „Polscy księża przy-

rozkładowe ruchy świeckie, promować chrześcijaństwo heterodoksyjne i antypapieskie”. W ten sposób Rosja przybliży się do realizacji swojego imperialnego celu: „Rosja w swoim geopolitycznym oraz sakralno-geograficznym rozwoju nie jest zainteresowana istnieniem niepodległego państwa polskiego w żadnej formie. Nie jest też zainteresowana istnieniem Ukrainy. Nie dlatego, że nie lubimy Polaków czy Ukraińców, ale dlatego, że takie są prawa geografii sakralnej i geopolityki. Polska musi wybrać – albo tożsamość słowiańska, albo katolicka”.

„CHRZEŚCJAŃSKA ROSJA” NIE CHODZI DO CERKWI I ZABIJA WŁASNE DZIECI

Pytanie brzmi, czy „tożsamość słowiańska” oznacza tożsamość prawosławną. Według danych opublikowanych pięć lat temu przez Pew Research Center 71 proc. Rosjan określało się jako należących do prawosławnej Cerkwi, jednak jedynie 17 proc. przyznawało się, że codziennie się modli. Jeszcze gorzej wyglądała frekwencja na nabożeństwach. Na cotygodniową mszę chodziło zaledwie 6 proc. respondentów. Najwięcej, bo aż 79 proc., przyznawało, że na nabożeństwo do cerkwi chodzą rzadziej niż raz na miesiąc.

Jeszcze jedną statystykę należy wziąć pod uwagę, gdy zastanawiamy się, jak bardzo chrześcijańska jest współczesna Rosja. Według danych WHO statystyczna Rosjanka osiągnąwszy 50. rok życia, ma za sobą od ośmiu do dziesięciu aborcji. Oznacza to, że Rosja jest na czele światowego zestawienia krajów, w których zabijanie dzieci nienarodzonych jest legalne.

CORAZ MNIJ CHRZEŚCJAŃSTWA W NIEMCZECH

Spójrzmy teraz na statystycznego Niemca. Opublikowane pod koniec grudnia 2021 r. przez niemiecki Instytut Demoskopii w Allensbach dane dotyczące stanu religijności u naszych zachodnich sąsiadów wskazują na utrzymujący się od niemal pół wieku stały trend kurczenia się chrześcijaństwa w tym kraju. W porównaniu z wynikami analogicznych badań przeprowadzonych w 1995 r. odsetek ludzi deklarujących się w 2021 r. w Niemczech jako protestanci spadł z 37 do 28 proc. W przypadku katolików spadek ten był jeszcze większy: z 36 do 25 proc.

Najczęściej jednak wspomniane deklaracje oznaczają „przynależność podat-

Trendy demograficzne wskazują, że Rosja przedstawiana na Zachodzie jako „ostatnia nadzieja chrześcijańskiej cywilizacji” może być w połowie tego stulecia jeszcze bardziej islamska i coraz mniej chrześcijańska

pomnieć sobie wyrażone 10 lat temu stanowisko Cerkwi w sprawie pozostawienia w centrum Moskwy mauzoleum upamiętniającego jej kata.

ISLAM – TAK, KATOLICYZM – NIE

Ruski mir jest bardzo pojemny. Mieści się w nim także islam. Moskwa jest stolicą europejską, w której znajduje się największy meczet na Starym Kontynencie (może jednorazowo pomieścić nawet 10 tys. osób). W jego uroczystej inauguracji w 2015 r. wziął udział obojętnie Władimir Putin (w towarzystwie tureckiego prezydenta Recepty Erdoğan i prezydenta Autonomii Palestyńskiej Mahmuda Abbasa). Już w 2000 r., krótko po rozpętnaniu kolejnej wojny czeczeńskiej, rosyjski prezydent podczas spotkania z Radą Muftich Rosji podkreślał, że

noszą do Rosji ducha rewanzu i triumfalizmu. Zadziwia to, że Watykan absolutnie nie rozumie historycznych przesłanek działalności duchowieństwa polskiego w Rosji. Wszyscy dobrze wiedzą, że polski katolicyzm kojarzy się tu albo z polską inwazją na Ruś w XVII w. i krzewieniem obcej wiary, albo z powstaniem polskimi w XIX w., które wspierało także polskie duchowieństwo” (2002).

Katolicyzm musi być zniszczony (najpierw osłabiony), jeśli ruski mir ma trwać i się rozwijać. Otwarcie o tym mówił w 1998 r. w wywiadzie dla „Frondy” Aleksander Dugin – po dojściu Putina do władzy czytany na Kremlu i rosyjskich akademiach wojskowych geopolitolog. Bez owijania w bawełnę stwierdzał: „Trzeba rozkładać katolicyzm od środka, wzmacniać polską masonerię, popierać

Zapowiadano, że Boże Narodzenie w 2021 r. to prawdopodobnie ostatnia okazja do świętowania narodzin Zbawiciela przez chrześcijańską większość nad Renem i Łabą. Na wschodzie Niemiec tej większości już dawno nie ma

kową” (opłacanie podatku kościelnego), a nie wyznawanie podstawowych prawd wiary i życia nimi. Jedynie 23 proc. osób deklarujących się jako katolicy i 12 proc. tych, którzy określają się jako ewangelicy, zadeklarowało jednocześnie silne związki ze swoimi Kościołami. W przeliczeniu na całą populację oznacza to odpowiednio 6 i 3 proc.

Jedynie 37 proc. badanych wyrażało wiarę w Jezusa Chrystusa jako Syna Bożego (w 1986 r. ten odsetek wynosił 56 proc.), a do wiary w zmartwychwstanie przyznawało się zaledwie 24 proc. ankietowanych (w 1986 r. było to 38 proc.). Oczywiście mowa tutaj o osobach, które wcześniej zadeklarowały swoją przynależność do jednej z dwóch głównych denominacji chrześcijańskich w Niemczech.

Dane z 2020 r. pokazują, że najliczniejszą grupę – ok. 40 proc. – wśród ankietowanych stanowią ci, którzy określają się mianem „bezwyznaniowców”. W tym przypadku tendencja jest stale rosnąca. Należy również pamiętać, że przytaczane dane dotyczą całych Niemiec. Gdyby przyjrzeć się jednak tzw. nowym landom na wschodzie Bundesrepubliki (dawna NRD), to odsetek bezwyznaniowców waha się od 70 do 80 proc.

ISLAM I RUSOFILIA

Bezpośrednio przez Odrę graniczymy więc z pustynią duchową. Pracownik Instytutu w Allensbach, przedstawiając w grudniu zeszłego roku wspomniane wyniki dotyczące religijności Niemców, stwierdził, że Boże Narodzenie w 2021 r. będzie prawdopodobnie ostatnią okazją do świętowania narodzin Zbawiciela przez chrześcijańską większość nad Renem i Łabą. Na wschodzie Niemiec tej większości już dawno nie ma. W stolicy Niemiec już od jakiegoś czasu najliczniejszą grupą ludzi wierzących na serio (a nie z „przyczyn podatkowych”) są muzułmanie.

Dla pełni obrazu duchowej mapy naszego najbliższego otoczenia warto dodać, że niemieckie wschodnie landy są wyborczą „twierdzą” najbardziej prorosyjskiego ugrupowania reprezentowanego

w Bundestagu – Alternatywy dla Niemiec. „Antysystemowcy” pod względem „realistycznego” podejścia do relacji z państwem Putina przebijają wszystkie partie politycznego mainstreamu nad Sprewą.

ANI CYRYL, ANI MARX

Znajdujemy się więc między patriarchą/pułkownikiem Cyrylem, który rosyjskich żołnierzy bombardujących osiedla mieszkaniowe, szkoły, teatry i cerkwie traktuje jako „bojowników o sprawiedliwość i prawdę”, a kard. Marxem z Monachium, który w swojej diecezji błogosławi „jednopołciowe związki” i już parę lat temu ogłosił jako urzędujący przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, że Kościół w Niemczech „nie jest filią Watykanu”. W tej sytuacji dwa listy przewodniczącego polskiego episkopatu abp. Stanisława Gądeckiego do niemieckich braci w biskupstwie w sprawie Drogi Synodalnej i do patriarchy Cyryla w sprawie powstrzymania rosyjskiej agresji na Ukrainie są bodaj najważniejszymi decyzjami, które podjął jako biskup Kościoła katolickiego. Zarówno dla ruskiego miru, jak i dla niemieckiego „synodalizmu” rzymski katolicyzm jawi się bowiem jako najważniejsza przeszkoda na drodze do realizacji ich dalekosiężnych celów.

Pisząc te dwa listy, poznański arcybiskup stanął na gruncie prawdy – z jednej strony wskazując na podstawowe błędy niemieckiego „synodalizmu”, z drugiej – wzywając moskiewskiego patriarchę, by stanął w prawdzie o wojnie rozpoczętej przez Rosję na Ukrainie. Zgodnie z nauką Kościoła jest to prawda czyniona w miłości. A nawet w miłosierdziu, skoro uczynkiem miłosiernym, co do duszy, jest błędzących napominać. Dziesięć lat po podpisaniu przez abp. Józefa Michalika (wtedy przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski) i patriarchę Cyryla porozumienia widać wyraźnie, że jest to martwy dokument, skoro na wschód od nas szaleją „błędy Rosji”. Nieprzypadkowo Matka Boża mówiła do dzieci fatimskich o „błędach Rosji”, a nie „błędach komunizmu”, bo te pierwsze obejmują również socjetyzm re-

alny i nostalgiczny oraz relatywizm, który na Zachodzie pod szyldem „synodalizmu” niszczy resztki katolicyzmu w Niemczech i jest pożywką dla świadomych lub bezwiednych pożytecznych idiotów Moskwy. Z jednej strony mamy „realistycznych” konserwatystów, z drugiej – newage’owego autora P. Coelho. Jedni i drudzy niestrudzenie walczą z „rusofobią”.

ODRODZENIE CIAŁA I DUCHA?

Być może na naszych oczach znika w Polsce widmo zapaści demograficznej. Być może polski zryw ku prawdzie czynionej wraz z miłosierdziem będzie antidotum na nasz własny kryzys duchowy, który od pewnego czasu obserwowaliśmy, czytając o topniejącej liczbie powołań i ciągle zmniejszającej się liczbie przyznających się do regularnego praktykowania wiary, obserwując marsze „czerwonego pioruna” i zwalanie przydrożnych krzyży. W godzinie próby polski Kościół ustami swojego przewodniczącego episkopatu miał odwagę zaświadczyć o prawdzie wbrew niemieckiemu i rosyjskiemu „kołobłędowi cywilizacyjnemu”. Miliony Polaków w czasie wielkiego kryzysu pokazały wielką „wyobraźnię miłosierdzia”.

Dwadzieścia lat temu do takiej wyobraźni nawoływał w czasie swojej ostatniej pielgrzymki do ojczyzny św. Jan Paweł II. Jeszcze wcześniej prezydent Ronald Reagan mówił o Związku Sowieckim jako „imperium zła”. Z tej konstatacji wyprowadził całą swoją strategię polityczną, która doprowadziła w końcu do implozji Sowietów. Te słowa mógł powiedzieć jedynie człowiek, który miał świadomość, że istnieje dobro i zło i że każdy dysponując dobrą wolą i prawym rozumem, potrafi je rozróżnić.

Żaden relatywista, uznający np., że doktryna Kościoła musi się zmieniać wraz z „postępem nauki” czy potrzeb „współczesnego człowieka”, a chrześcijańska prawda musi być zależna od takich czy innych potrzeb wszechwładnego państwa, nie jest w stanie trafnie zidentyfikować „imperium zła” i nie znajdzie w sobie woli do podjęcia z nim walki. Nieprzypadkowo to właśnie na Westerplatte św. Jan Paweł II mówił, że „najgorszy jest klimat relatywizmu”. Stojąc na gruncie prawdy i mając „wyobraźnię miłosierdzia”, można obronić każdą najtrudniejszą placówkę otoczoną przez tych, którzy od dawna nie czują się filią cywilizacji „szczęśliwej syntezy” wiary i rozumu oraz prawdy i wolności.



Tomasz Rowiński

Komu właściwie w tej wojnie sprzyja papież Franciszek?

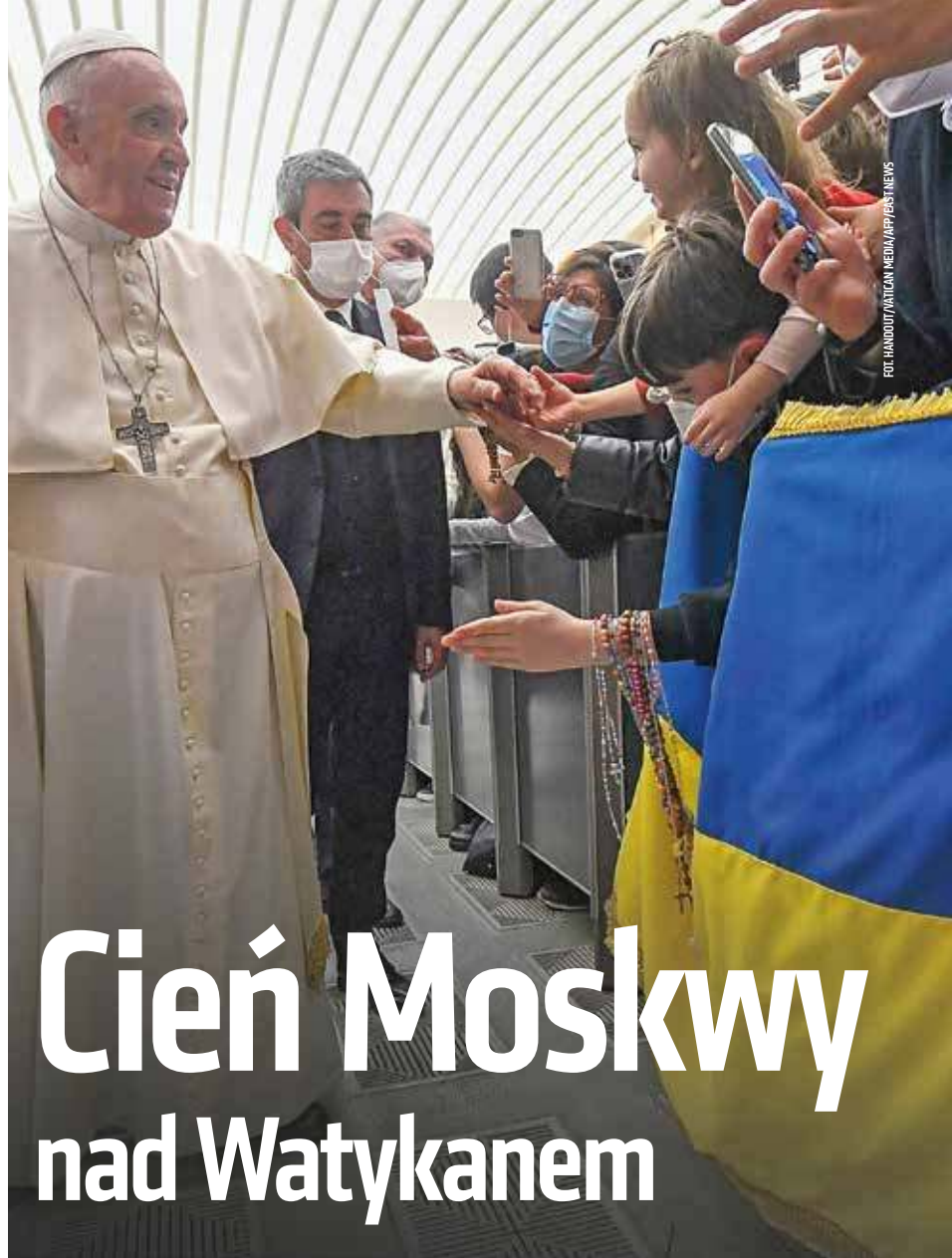
Wojna na Ukrainie – a precyzyjnie: rosyjska inwazja na ten kraj – przyniosła wiele zaskoczeń. Jednym z nich, bardzo nieprzyjemnym, jest stanowisko papieża Franciszka i Stolicy Apostolskiej wobec rosyjskiej zbrojnej agresji. Od samego początku konfliktu nie usłyszeliśmy z Watykanu ani razu, kto jest za trwający konflikt odpowiedzialny. Słowa takie jak „wojna”, „inwazja”, „Rosja” czy „Putin” wyparowały ze słownika zarówno biskupa Rzymu, jak i jego najbliższego współpracownika od polityki międzynarodowej, czyli sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej, kard. Pietra Parolina. Można wręcz niestety powiedzieć, że Watykan, przynajmniej częściowo, przyjął w sprawie moskiewskiej agresji rosyjską narrację. Dla Kremla to przecież nie jest żadna wojna, to tylko „operacja neutralizacyjna” i „denazyfikacyjna”. Milczenie Watykanu jest na rękę tylko jednej stronie.

SPRZYJAJĄC ROSJI

Opinia, wedle której Stolica Apostolska sprzyja Moskwie, może się wydać szokująca, ale nie jest bezpodstawna. Znajduje swoje oparcie w kolejnych wydarzeniach i wypowiedziach watykańskich oficjeli, a także samego papieża.

Franciszek już kilkakrotnie w czasie swojego pontyfikatu spotykał się z Władimirem Putinem. Pierwszy raz w listopadzie 2013 r., czyli w pierwszym roku nowego biskupa Rzymu. Analitycy Ośrodka Studiów Wschodnich – Witold Rodkiewicz i Katarzyna Chawryło – pisali wtedy, że Putinowi chodzi o „dostarczenie ideologicznej legitymizacji dla rosyjskich aspiracji do odgrywania roli samodzielnego i alternatywnego wobec Brukseli i Waszyngtonu ośrodka geopolitycznego”. Choć dodawali, że „zabiegi Kremla, aby wykorzystać relacje z Watykanem dla celów swojej polityki międzynarodowej, będą miały ograniczoną skuteczność”, to z dzisiejszej perspektywy sytuacja zdaje się wyglądać inaczej.

9 listopada 2021 r., w samym szczycie hybrydowego ataku Białorusi na polską



Cień Moskwy nad Watykanem

granice, w którym narzędziami byli ściągnięci przez reżim Łukaszenki z całego świata migranci, w Moskwie doszło do osobliwego spotkania. Arcybiskup Paul Gallagher, wysoki urzędnik sekretariatu stanu Stolicy Apostolskiej ds. stosunków z państwami, wziął udział w konferencji prasowej z ministrem spraw zagranicznych Rosji Siergiejem Ławrowem. Wezwali oni Zachód do pomocy Białorusi, która miała rzekomo doświadczyć kryzysu migracyjnego. Polski rząd skrytykowano za obronę granicy. Jednocześnie w trudnej sytuacji politycznej postawiono Kościół katolicki w naszym kraju. „Wiemy, że na przykład w Polsce Kościół był krytyczny wobec podejścia władz i starał się zachęcić do bardziej humanitarnego oraz elastycznego podejścia [...]”. Myślę, że polscy biskupi nie zgadzają się czy też trochę sprzeciwiali się polityce

powstrzymywania imigrantów” – mówił Gallagher.

NIC O ODPOWIEDZIALNOŚCI

Gdy Rosja najechała teraz na Ukrainę, 25 lutego głos zabrał kard. Parolin. „Jest jeszcze czas na dobrą wolę, jest jeszcze miejsce na negocjacje, jest jeszcze miejsce na mądrość, która zapobiegnie przewadze jednostronnych interesów, ochroni uzasadnione aspiracje wszystkich i uchroni świat od szaleństwa i okropieństw wojny” – mówił watykański sekretarz stanu. Nie padło jednak z jego ust ani jedno słowo o odpowiedzialności konkretnych osób czy konkretnego państwa. Parolin posłużył się do opisu sytuacji abstrakcyjnym eufemizmem „kryzys na Ukrainie”, a także sformułowaniem rosyjskiej propagandy mówiącym o „operacjach wojskowych na terytorium Ukrainy”.

Sam papież milczał aż do niedzieli 27 lutego, kiedy to podczas modlitwy „Anioł Pański” ustosunkował się do sytuacji ogólnikowym potępieniem użycia broni i podkreśleniem wagi pokoju.

Wypowiedź ta wywołała zaniepokojenie. Trudno było zrozumieć, co papież ma na myśli, szczególnie że dwa dni wcześniej zdecydował się na kuriozalny gest i poza protokołem dyplomatycznym odwiedził rosyjską ambasadę.

Część komentatorów próbowała tę wizytę oceniać jako „gest proroczy”, jednak nic w tej historii „nie grało”. Gdyby papież zamierzał przywołać Rosję do porządku, wezwałby rosyjskiego ambasadora do Watykanu. Tak nakazują zasady dyplomacji. Nie dało się uciec od pytań. Dlaczego papież nie odwiedził ambasady Ukrainy? Dlaczego w rozmowie z dyplomatami Rosji nie domagał się wyjaśnień politycznych, a jedynie nieśmiało odniósł się do kwestii humanitarnych? Stanowisko Stolicy Apostolskiej i papieża nie zmieniło się aż do dziś. Tak jakby w tej wojnie nie dało się odróżnić agresorów od broniących się.

W dodatku 10 marca – zaraz po tym, jak Rosjanie zbombardowali szpital położniczy w Mariupolu – kard. Parolin postanowił w miękki sposób bronić rosyjskich pozycji. Zapytany, czy była to zbrodnia wojenna, odparł: „Nie tworzymy teraz definicji; ja stwierdzam, że niedopuszczalny jest atak na szpital pediatriczny”. Problem polega na tym, że takie definicje od dawna istnieją.

Zważywszy na dotychczasową politykę Stolicy Apostolskiej, także na jej bezprecedensowe zbliżenie z totalitarnymi Chinami, które dziś tworzą z Rosją geopolityczny tandem, nie dało się też uciec od innego zasadniczego pytania – komu właściwie w tej wojnie sprzyja papież Franciszek? Takie pytania nie rodzą się łatwo, szczególnie jeśli ma się w pamięci okresy stanowczego sprzeciwu Kościoła wobec Rosji sowieckiej. Jeden z nich, niewątpliwie chwalebny, przypadał na czas pontyfikatu św. Jana Pawła II. Tymczasem Franciszek w następnych dniach konsekwentnie odrzucał kolejne możliwości politycznego wsparcia Ukrainy. Nie odniósł się choćby do trzykrotnie wyrażonej propozycji, by odwiedził Kijów.

Karol Kleczka na portalu pisma „Kon-takt” zauważył w tekście „Nie rozumiem papieża”, że biskupi Rzymu w XX w., gdy mówili o wojnach, nie wskazywali na sprawców. Być może to słuszne spostrze-

żenie. Jednocześnie jednak tworzyli kontekst. Pius XI i Pius XII byli autorami encyklik przeciw totalitaryzmom. Jan Paweł II, gdy potępiał ludobójstwo w Rwandzie, nie musiał podkreślać, gdzie lokuje swoją moralną i polityczną ocenę. Franciszek pozostawia zaś odbiorcę w dezorientacji.

Warto przyjrzeć się dwóm wygłoszonym w krótkim czasie wypowiedziom papieża. Pierwsza miała miejsce 17 marca w rozmowie ze wspierającym atak Rosji na Ukrainę moskiewskim patriarchą Cyrylem. Wtedy to biskup Rzymu w zaskakujący sposób odniósł się do cierpień ofiar wojny: „Rachunek za wojnę płacą ludzie, są to żołnierze rosyjscy i ludzie, którzy są bombardowani i giną”. W tym rachunku wystawionym wojnie dziwnym trafem nie pojawiła się wzmianka o ofiarach ukraińskich – ostatecznie bowiem pod bombami giną przedstawiciele obu stron konfliktu.

PORAŻAJĄCO PROROSYJSKIE

Druga wypowiedź z 18 marca zawierała wspomnienie ofiar ukraińskich, ale dopiero w drugiej kolejności po „bardzo młodych, rosyjskich żołnierzach, biedakach”.

Papież powiedział wtedy jednak coś jeszcze. Fragment ten pozostaje w bardzo bliskim związku z jego polemiką wobec zasad wojny sprawiedliwej, które Kościół głosi od wieków z takim przekonaniem, że znaleźć je możemy także we współczesnym wydaniu Katechizmu. „Nie ma sprawiedliwych wojen: one nie istnieją! – mówił Franciszek. – Należy przypominać, że dobro wspólne łączy się z miłością. Nie można jej bronić za pomocą siły militarnej. Społeczność lub naród, który chce się bronić siłą, czyni to ze szkodą dla innych społeczności i narodów oraz staje się źródłem niesprawiedliwości, nierówności i przemocy”.

Logika tej wypowiedzi jest – w dzisiejszej sytuacji – porażająco prorosyjska i pozwala także lepiej zrozumieć, dlaczego abp Gallagher w listopadzie 2021 r. krytykował Polskę za obronę własnych granic. Trudno powiedzieć, czy papież w pełni zdaje sobie sprawę z konsekwencji, jakie może powodować proponowane przez niego odrzucenie „wojen sprawiedliwych”. Bolesnie wypunktował to Tomasz Dekert w tekście, który ukazał się 21 marca na portalu Christianitas.

„Przyjrzyjmy się [...] układowi odpowiedzialności [...]. Kto jest winny nieszczęścia biednych rosyjskich chłopców? Oczy-

wiście Ukraińcy, bo się bronią. Przecież gdyby się nie bronili, nie trzeba byłoby posyłać maładców na front. No dobrze, a kto jest winny nieszczęścia młodziaków z Ukrainy? No ci, którzy im nakazali się bronić, przez co nakręcona została spirala przemocy. A więc prezydent Zełenski, ukraiński rząd i dowódcy wojskowi; pośrednio też kraje NATO [...]. Oczywiście odpowiadają oni tym samym również za złe rzeczy spotykające żołnierzy rosyjskich. Czy w tym układzie jest ktoś, [...] w kim nie można doszukać się winy? Owszem, są nimi wielcy nieobecni słów Franciszka: państwo rosyjskie i prezydent Putin” – napisał Dekert.

Papież jakby jednak nie zdawał sobie sprawy, że odrzucenie „wojny sprawiedliwej” i zastąpienie zasad polityki pacyfistycznym moralizmem może prowadzić do jeszcze gorszego zdemoralizowania i usprawiedliwiania agresji silniejszego wobec słabszego. Czym innym bowiem, jak nie publicznym zgorszeniem, jest odmawianie zaatakowanemu prawa do obrony swojego dorobku – duchowego, kulturalnego i materialnego.

Święty Augustyn, jeden z najważniejszych teoretyków wojny sprawiedliwej, uważał, że wojna jest złem, do którego niekiedy trzeba się uciec w celu przywrócenia sprawiedliwego pokoju i uniknięcia jeszcze poważniejszych nieszczęść. Jednocześnie może być ona sprawiedliwa, jeśli sprawiedliwy będzie pokój, który dzięki niej uda się uzyskać. Nie da się w te ramy wpisać rosyjskich działań – chyba że przyjąć się narrację o NATO jako agresywnej sile dążącej do zniszczenia wielkiego ducha rosyjskiego. Czy tak właśnie widzi sprawę papież?

Problem z postawą Franciszka jest też taki, że zanim zabrał się on do krytykowania wojen obronnych, w encyklice „Fratelli tutti” stanowczo wypowiedział się przeciwko wojnom przewencyjnym. Dlaczego zatem nie przeciwstawił się drastycznej przewencji – realizowanej zresztą bez dostatecznego uzasadnienia – jaką Rosja wykonała wobec sąsiada, jednocześnie rujnując jego miasta i dopuszczając się zbrodni wojennych?

Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Mogę jedynie skonstatować, że wojna na Ukrainie jest bolesną weryfikacją całokształtu papieskiej polityki zagranicznej i papieskiego pacyfizmu. Nie wygląda jednak, by Stolica Apostolska zamierzała wyciągnąć jakieś wnioski.



Śmierć

– odmowa współpracy



Krystian Kratiuk

Współczesny człowiek nie chce przyjąć do wiadomości, że umrze. I nie chodzi tylko o życie, jakby Boga (a zatem i pośmiertnego Sądu Bożego) nie było. Człowiek XXI w. nie może bowiem w ogóle pogodzić się z tym, że jego życie kiedyś się zakończy. I rozpaczliwie poszukuje ziemskiej nieśmiertelności

Jeden z najmodniejszych ideologów postępu, Yuval Noah Harari, w następujących słowach przedstawia wizję przyszłych działań ludzkości. „Zredukowaliśmy umieralność w wyniku głodu, choroby i przemocy: teraz będziemy zmierzać do tego, by pokonać starość, a nawet samą śmierć. Wydzwignęliśmy ludzi z koszmarnego udręki: teraz zajmujemy się tym, by dać im szczęście. Podnieśliśmy ludzkość ponad właściwy zwierzętom poziom walki o przetrwanie: teraz naszym celem będzie awansowanie ludzi do poziomu bogów i przekształcenie gatunku homo sapiens w homo deus” – przekonuje.

Koncepcja nieśmiertelności nie jest oczywiście nowa – fantazje na jej temat snuto długo przed przełomem XX i XXI w. Tradycyjnie jednak nieśmiertelność wiązano z przekonaniem o jakiejś formie życia pozagrobowego. To zakładało jednak istnienie jakiejś formy bóstwa, a dziś, gdy coraz mniej osób wierzy w życie po śmierci, ludzkość stawia przed sobą nowe, nie-rzadko bluźniercze, wyzwania. To bowiem w naszych czasach, gdy człowiek coraz

częściej próbuje samego siebie postawić w miejscu Pana Boga (stąd tytułowy u Harariego homo deus), pojawił się poważnie rozważany przez filozofów i naukowców koncept wiecznego nieumierania.

Ale pomysł ten nie jest nowy – korzeni tej idei można bowiem doszukiwać się już w starożytnych mitach (choćby w opowieści o Gilgameszu), w średnio-wiecznej alchemii czy renesansowym humanizmie. Nie miały impulsu dla rozwoju tego pomysłu dać Charles Darwin – wszak skoro zgodnie z jego teorią ewolucji nasz gatunek cały czas się doskonali i w obecnym stanie daleki jest od swego ostatniego stadium, to nadejdzie zapewne czas, gdy dotrze do doskonałości – nieśmiertelności, niedegradowalności.

Jednak to dopiero w naszych czasach na poważnie zaczęto rozważać i badać naukowe możliwości uzyskania nieśmiertelności poprzez udoskonalenie ciała człowieka lub... zastąpienie go jakąś bardziej trwałą formą, do której zaimplantuje się „procesy świadomościowe”. Aby to jednak się stało, musi nastąpić etap przejściowy – proces nieustannego przedłużania ludzkiego

życia, za nieznaną dotąd cenę. Światopoglądowe podwaliny pod ten proces mają się na Zachodzie całkiem dobrze, co dobitnie pokazała reakcja państw i społeczeństw na pandemię koronawirusa – w imię zachowania zdrowia i życia pewnej szczególnie zagrożonej grupy osób niszczone bowiem ludzki dobytek i radykalnie ograniczono wolność. A która to grupa była szczególnie narażona na konsekwencje koronawirusa? Otóż osoby starsze i przewlekłe chore – czyli dokładnie ta sama część społeczeństwa, która pozostaje przecież szczególnie narażona na konsekwencje niemal każdej innej choroby...

Wśród naukowców-proroków są tacy, którzy już dziś głoszą, że postępy nanotechnologii medycznej już wkrótce umożliwią odpowiednie sposoby leczenia wszystkich chorób organizmu oraz pozwolą niwelować, a nawet... odwrócić skutki starzenia się. Jeszcze inni mówią wprost, że gwałtowny rozwój inżynierii biologicznej i medycyny regeneracyjnej, a także zamieniki organicznych części ludzkiego ciała (choćby syntetyczne) oraz bardzo modny dziś i coraz bardziej precyzyjny monitoring



FOT. ADRIEN STOLK

naukowców o hołdowanie mrzonkom, ci odpowiadają, powołując się na... metodę sztucznego zapłodnienia in vitro. Podkreślają, że skoro zamrożone zarodki są przywracane do życia, nikogo nie powinny dziwić próby odtworzenia tego procesu na większą skalę.

Słabym punktem tej koncepcji pozostaje jednak konieczność „odmrożenia” umarłego mózgu wraz z jego zawartością. Tutaj dochodzimy do konieczności przeniesienia ludzkiej świadomości na inny niż naturalny nośnik – nad czym zresztą prace też już trwają.

MIERZENIE I CYBORGIZACJA

Inna koncepcja zakłada bowiem niejaką robotyzację czy może raczej cyborgizację człowieka. Chodzi o maksymalne spowolnienie zegara biologicznego poprzez nieustanne badanie się oraz ingerencję inżyniersko-farmaceutyczną w ciało człowieka. Mowa nie tylko o szczepionkach, lecz także o sztucznych lub klonowanych organach umieszczanych w ciele człowieka przez nanoroboty. Mówi się też o możliwości eksportu danych z mózgu, dotyczących zarówno naszej pamięci, jak i osobowości, do miejsca stanowiącego tegoż mózgu kopię – np. umieszczoną w internetowej chmurze.

Zanim jednak do tego dojdzie, człowiek musi bardzo dokładnie „mierzyć” sam siebie i dostosować do wyników owego mierzenia tryb życia. Już w tej chwili na popularności zyskuje ruch Quantified Self, polegający – z grubsza – na nieustannym mierzeniu wszystkich swoich parametrów życiowych – saturacji płuc, pulsu, liczby wykonanych dziennie kroków i podskoków, ciśnienia krwi i wszystkich innych parametrów. Produkowane są już nawet specjalne toalety, pozwalające na bieżąco badać zawartość ludzkich odchodów – oczywiście po to, by jak najszybciej wytropić jakiekolwiek niepokojące tendencje.

Nie trzeba oczywiście dodawać, że jeszcze bardziej popularne staje się stosowanie na skalę masową technologii i terapii odmładzających, regenerujących organizm. A w planach naukowców jest już regulowanie genów tak, by organizm... nie mógł się zestarzeć.

NIEŚMIERTELNOŚĆ CYFROWA

Kolejnym pomysłem jest wspomniana już cyfryzacja mózgu. To nieco inna koncepcja nieśmiertelności – nie zakłada bowiem posiadania tego samego ciała

co wcześniej. Albo w ogóle nie zakłada posiadania ciała.

Mówiąc najprościej, chodzi o „pobranie” wszystkich danych o człowieku do komputera i odtworzeniu tego człowieka, ale w rzeczywistości wirtualnej. Ta koncepcja została akurat bardzo precyzyjnie rozpisana w piśmie „Popular Mechanics”, gdzie rosyjscy naukowcy Aleksiej Turczin oraz Maxim Czerniakow piszą, że potrzeba jeszcze ok. stu lat postępu, by zrealizować ich pomysł. Turczin twierdzi, że życie jest „ciągłym strumieniem subiektywnych doświadczeń”, a śmierć po prostu końcem tego strumienia. Nieśmiertelność byłaby zatem przedłużeniem „strumienia życia” w rzeczywistości cyfrowej.

Problemem jest jednak – jak podkreślają sami pomysłodawcy – uzyskanie mocy obliczeniowej pozwalającej na zebranie jak największej liczby historycznych i osobistych danych o każdym człowieku. Dlatego Turczin zaczął od siebie i nagrywał całe swoje życie, by w przyszłości sztuczna inteligencja mogła go cyfrowo wskrzesić.

Co jednak z ciałem?

Nic prostszego – naukowcy liczą bowiem, że tu akurat pomóc może opracowana już przecież technika klonowania. Pozostaje jeszcze zatem obmyślić tylko, jak zainstalować w ciele klona osobowość i cały oryginalny „strumień życia” osoby uprzednio sklonowanej.

CZAT ZE ZMARŁYM?

Istnieją jeszcze inne koncepcje wirtualnej nieśmiertelności, niejako korespondujące z zamysłem duetu Turczin-Czerniakow. W USA powstał już serwis Eterni.me – pracują nad nim m.in. naukowcy z Massachusetts Institute of Technology. Serwis ma gromadzić wszelkie dostępne on-line ślady naszej życiowej aktywności – zdjęcia, wypowiedzi na czatach, e-maile czy statusy z serwisów społecznościowych.

Tak ma powstać nasze wirtualne alter ego stworzone po to, by po naszej śmierci rodzina mogła uruchomić sobie naszego awatara i uciąć z nim pogawędkę. Do projektu zgłosiło się już kilkadziesiąt tysięcy osób.

HYBRYDA LUDZKO-ZWIERZĘCA

Kariere w sieci kilka tygodni temu zrobiła informacja o pierwszym udanym przeszczepie świńskiego serca do ciała mężczyzny. Człowiek ów przeżył dzięki temu organowi kilka miesięcy, a więc

zdrowia rzeczywiście sprawią, że człowiek stanie się nieśmiertelny.

ZAMROŻ SIĘ

Istnieje co najmniej kilka koncepcji dojścia do nieśmiertelności.

Chyba najbardziej znanym pomysłem jest zamrożenie ciała w oczekiwaniu na postęp medycyny. Koncepcję tę rozpropagowała nieprawdziwa plotka, według której swoje ciało zamrozić miał Walt Disney.

Dziś coraz popularniejsza staje się tzw. krionika, czyli technologia zamrażania ciał ludzi zaraz po ich śmierci z nadzieją, że w przyszłości możliwe będzie ich „ożywienie”. To dość elitarna metoda – nie dość, że kosztowna, to jeszcze wymagająca dokonania żywota wystarczająco blisko komory zamrażającej, by bezpośrednio po śmierci można było je zamrozić.

Ciała osób poddawane krioprezerwacji są przechowywane w temperaturze ciekłego azotu (–196 st. C), a liderem w badaniach nad krioniką jest firma Alcor Life Extension Foundation. Gdy postronni pukają się w głowę, oskarżając



■ eksperyment został uznany za udany – w przeciwieństwie do poprzednich prób, gdy śmierć pacjenta następowała najpóźniej po dwóch dniach.

Operacja przeszczepu serca ze zwierzęcia oczywiście nie gwarantuje nieśmiertelności, ale informacja o sukcesie lekarzy ponownie otworzyła dyskusję o hybrydzie ludzko-zwierzęcej, której istnienie miałooby wydłużyć życie człowieka. Pomijamy tu przykład przeszczepu, na którym to katolicy bioetycy będą jeszcze się pochyłać, bo przecież zwierzęta istnieją po to, by służyć człowiekowi, a świńskie serce w tym wypadku z pewnością się człowiekowi przysłużyło. Zresztą w medycynie estetycznej już od długiego czasu także używa się tkanek zwierzęcych, nawet i rybich, a nikt mimo tego nie mówi przecież o ryboludziach.

Co innego jednak, gdy czytamy o tworzeniu... świńsko-ludzkich embrio-nów. A o wyhodowaniu takiej właśnie świńsko-ludzkiej chimery poinformował w styczniu 2017 r. zespół prof. Juana Carlosa Izpisua Belmonte z Instytutu Salka w USA. Część ludzka stanowiła w tym stworzeniu poniżej 0,001 proc.

W kwietniu 2021 r. ten sam profesor poinformował o stworzeniu embriona będącego hybrydą człowieka i małpy. Eksperyment opierał się na wszczepieniu do liczących sześć dni małych zarodków komórek człowieka. Test przeprowadzano w Chinach, a jako jego uzasadnienie podano próbę otworzenia drogi do tego, by „pewnego dnia możliwe stało się stworzenie tkanek ludzkich służących przeszczepowi serca lub nerek”.

Wszystko więc po to, by ludzie mogli dłużej żyć.

TRANSHUMANIZM – WYZWANIE EPOKI

Aby zapewnić człowiekowi długowieczność lub nieśmiertelność, od dawna pewne rozwiązania testuje się na zwierzętach. I tak naukowcy z Open Worm Project dążą do odtworzenia zachowania robaka, konkretnie nicienia zwanego *Caenorhabditis elegans*, w... „ciele” robota. Już udało się im sprawić, by oprogramowanie komputerowe, wzorowane na układzie nerwowym robaka, niezależnie kontrolowało robota zbudowanego z klocków Lego. Robot zachowywał się dzięki temu w sposób taki jak robak, podobnie jak on kierując się „instynktem” nakazującym kierowanie się w stronę pożywienia lub unikanie przeszkód.

Naukowcy skupieni wokół projektu są zwolennikami materialistycznej koncepcji – tzw. fizykalizmu – zgodnie z którą mózg składa się wyłącznie z materii. Pomysł przeprowadzenia symulacji *Caenorhabditis elegans* wynika oczywiście z prostoty tego organizmu. Ma on jedynie 1 tys. komórek i 302 neurony, przez co stanowi stosunkowo prosty obiekt badań dla neuronaukowców.

Tak właśnie na naszych oczach rodzi się transhumanizm. Testy te bowiem – czego naukowcy nie ukrywają – prostować mają ścieżki dla... przeniesienia ludzkiego mózgu do „ciała” robota, by w ten sposób zapewnić mu nieśmiertelność.

Inni transhumaniści, jak choćby Ray Kurzweil, nie postulują przeniesienia całego mózgu do ciała robota, ale uważają, że nieśmiertelność da się osiągnąć poprzez przeniesienie świadomości do komputera. W książce pt. „Nadchodzi osobliwość” Kurzweil przepowiada nieuchronną fuzję człowieka z maszyną. Tytułowa osobliwość nadejdzie już przed 2045 r. Stać ma się to w momencie, gdy uda się stworzyć zaawansowane maszyny obdarzone sztuczną inteligencją. Wtedy też będzie możliwy transfer świadomości.

Według autora już w latach 30. obecnego wieku nanoboty – wpuszczone do krwiobiegu – zaczną niszczyć patogeny, usunąć wszelkie zakrzepy i tkanki nowotworowe, a także poprawiać... błędy DNA, dzięki czemu odwrócony zostanie proces starzenia.

Po co więc kopiowanie świadomości? Według Raya Kurzweilego będzie to po prostu bezpieczniejsze i bardziej rozsądne – „by uniknąć problemów, które mimo wszystko pociąga za sobą biologiczne podłoże, jakim pozostaje mózg”.

ŚMIERĆ FM-2030

Najgłośniejszym chyba piewą transhumanizmu był Ferejdun M. Esfandijari, znany lepiej pod nazwiskiem FM-2030. Zdecydował się na przyjęcie nowego nazwiska, uważając, że te tradycyjne łączą się z przeszłością człowieka, z jego pochodzeniem narodowym i religią, a sam chciał przezwyciężyć owe „reprezyjne formy tożsamości”. Numer przy nazwisku symbolizował zaś rok, kiedy technologia umożliwił już miała człowiekowi osiągnięcie nieśmiertelności.

Określał siebie mianem „osoby XXI w. przypadkowo urodzonej w XX w.”. Z niecierpliwością oczekiwał epoki, w której ludzie staną się „organizmami postbio-

logicznymi”. „To tylko kwestia czasu, zanim zrekonstruujemy nasze ciała w coś zupełnie innego – napisał w 1989 r. – coś bardziej dostosowanego do przestrzeni, coś, co będzie realne w całym Układzie Słonecznym i poza nim”.

FM-2030 wręcz potępiał śmierć, określając ją mianem „tyranii”. W roku 2000 jednak, w wieku 70 lat, zmarł na raka trzustki, którą nazywał „głupim, nędznym organem”. Jego ciało przechowywane jest w Alcor Life Extension Foundation w Scottsdale w Arizonie. Był pierwszą osobą, na której ciele zastosowano technologię witrifikacji (zeszkle-nia), a nie bezpośredniego zamrożenia, któremu zostali poddani poprzedni „pacjenci”. Technologia ta polega zwykle na podgrzaniu obiektu do bardzo wysokich temperatur, a następnie szybkiego schłodzenia poniżej temperatury zeszkle-nia. W ten sposób wyrabia się np. ceramikę.

KONIEC CZŁOWIEKA?

Temat radykalnej przemiany człowieka – kierującej go w stronę rzekomej nieśmiertelności – pozostaje niezwykle popularny. Niemal dwie dekady temu zabrał się do niego nawet Francis Fukuyama, który w swym „Końcu człowieka” zapowiadał „postczłowieczy świat, który może być o wiele bardziej zhierarchizowanym i nastawionym na rywalizację niż obecny – przez to zaś pełen konfliktów społecznych. Może być światem, w którym pojęcie wspólnego człowieczeństwa zatraci swój sens, ponieważ mieszmamy geny ludzkie z genami tak wielu innych gatunków, że nie będziemy już dokładnie wiedzieć, czym jest człowiek”.

Ale wizja Fukuyamy nie zrealizuje się, dokładnie tak samo jak jego wcześniejsze przepowiednie o „Końcu historii”. Pewne jest natomiast co innego – charakterystyczna dla ubiegłych wieków medytacja nad śmiercią polega dziś często po prostu na... uciekaniu od śmierci. Człowiek współczesny nie chce o śmierci myśleć, a jeśli już o niej myśli – to chce jej uniknąć, a wręcz zakazać.

Człowiek współczesny wymyśla coraz to nowsze koncepcje na to, jak uporać się ze śmiercią. Jednak ta uporczywie odmawia współpracy.

Temat śmierci, jako nieuchronnego elementu życia każdego człowieka, zostaje więc niejako zamrożony w hedonistycznej współczesności. Niczym martwe ciało w ciekłym azocie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY



PARTNER
STRATEGICZNY



ПОД ВОДИТЕЛЬСТВОМ ВЕЛИКОГО СТАЛИНА—ВПЕРЕД



Maciej Rosalak

**Zakłamanie dziejów Rosji
od wieków odgrywa rolę ideologii,
narzędzia polityki oraz racji stanu
państwa moskiewskiego**

Obowiązującą wersję dawnych wydarzeń ustala wielki książę, car, gensek lub – jak dziś – dożywotni faktycznie prezydent. Władca Kremla, jednym słowem. Kto głosi prawdę, ten staje się jego wrogiem. Poniżej opiszę kilka przykładów zaczerpniętych z mitologii Rosjan o tym, jak prawda Putina walczy z wredną

Kłamstwa Rosji



„Pod przewodem wielkiego Stalina – naprzód ku komunizmowi!” – głosi hasło na plakacie propagandowym FOT. DOMENA PUBLICZNA



К КОММУНИЗМУ!

jeśli trzeba – nikt poza Rosjaninem nie potrafi zrozumieć.

Nawet nie próbuję. Zamiast tego przystępną wstępnie słowa wspaniałego żołnierza i zanego Polaka – płk. Klemensa Rudnickiego z korpusu gen. Andersa. Był zastępcą dowódcy 5. Kresowej Dywizji Piechoty, przebył z nią całą kampanię włoską i – już jako generał – zdobył wiosną 1945 r. Bolonię. Otóż opuszczając ZSRS na statku odpływającym z Krasnowodsk do Iranu w 1942 r., dumiał:

„Gdyby mnie ktoś wówczas zapytał, jakie wrażenie o tej ziemi wryło mi się najsilniej w świadomość – odpowiedziałbym: nieludzkie kłamstwo, perfidne kłamstwo, które z kraju tego wyгнаło prawdę, zamieniło się w system, odebrało człowiekowi godność, sponiewierało go i zbrukało. Kłamali i kłamało wszyscy i wszystko od chwili, gdy wstąpiłem w krąg tego systemu...” (Klemens Rudnicki, „Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939–1947”). Wiedział, co pisze, bo widział pierwszą okupację Sowiektów po ich wkroczeniu w 1939 r. na nasze kresy. Aresztowany we Lwowie przez NKWD i więziony w Moskwie, wiele zobaczył i usłyszał na nieludzkiej ziemi. Warto pamiętać jego słowa i dziś.

PRAWO PUTINA

Pięć lat więzienia grozi od 2014 r. w Rosji Putina za „rozpowszechnianie fałszywych informacji o roli Związku Sowieckiego w drugiej wojnie światowej”. I tak Władimir Odnowiciel jedną ustawą chciał odnowić świetlaną przeszłość moskiewskiego imperializmu czasów Stalina oraz zamknąć usta wrednym dziennikarzom, historykom i pisarzom. Oficjalna, surowa krytyka autorów wrogich wypowiedzi przynosiła wcześniej skutek, bo zamykała im usta, ale nie zawsze i nie do końca.

Przykładem niech będzie prof. Borys Sokołow, autor licznych tekstów znieślawiających niepokonaną Armię Czerwoną i samego generalissimusa Stalina, a nawet podważających tak podstawowe fakty dotyczące drugiej wojny światowej, jak bezapelacyjne zwycięstwo nad faszyzmem, od wyzwolenia bratnich narodów Białorusi i Ukrainy ze szponów białej Polski we wrześniu 1939 r. poczynając. Polski, która – jak ustalił Władimir Władimirowicz – wojnę tę wywołała. Ów Sokołow krytykował przy tym samego prezydenta Federacji Rosyjskiej, który przecież przywrócił obywatelom słuszną

dumą ze zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej i sprawił, że społeczeństwo odzyskało swój moralny drogowskaz, utracony po rozpadzie w roku 1991 Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich – największej, zdaniem Putina, katastrofie XX w.

I co z takim Sokołowem robić? W 2008 r. pozbawiło się go katedry na uniwersytecie, ale to nie pomogło. W ostatnich latach napisał o wielkiej wojnie ojczyźnianej grubą książkę-paszkwil „Straszliwe zwycięstwo”. Czas może, aby osobiście poznał i polubił łagry, o których napisał przecież zwykłe kłamstwa?

Sama słuszna krytyka nie wystarczy. W ogniu krytyki znalazł się np. w 2014 r. znany pisarz, satyryk i dziennikarz telewizyjny Wiktor Szenderowicz. W komentarzach do igrzysk olimpijskich w Soczi porównał on, swołocz, Federację Rosyjską do nazistowskich Niemiec, a prezydenta Putina do Hitlera! Czujni na szczęście okazali się deputowani z partii Jedna Rosja i donieśli, co trzeba gdzie trzeba. Ale dopiero na początku tego roku zagrożony słuszną karą odosobnienia Szenderowicz uciekł ze świętej ziemi rosyjskiej...

Podobnie postępują ci pseudouczni historycy, którzy od lat szperali w archiwach, aby znieślawić świetlany obraz Kraju Rad, i zawiązali w tym celu antypaństwową organizację Memoriał, z niejakim Nikitą Pietrowem na czele. Niedawno nareszcie się ich zdelegalizowało, ale oni dalej brużdżą i jątrzą. A jakby tak trochę posiedzieli na Łubiance, to ten, kto ich tam wysłucha, już będzie wiedział, co z tym zrobić...

SŁOWIAŃSKI HONOR ŁOMONOSOWA

Trochę strasznie, trochę śmiesznie jest z tymi politbajeczkami, którymi karmi się od wieków społeczeństwo rosyjskie. Na kabaret zakrawają np. próby zakłamania początków Rusi.

Oto latopis kijowski z XII w. „Powieść minionych lat”, w którym współczesny naszemu Gallowi Anonimowi kronikarz Nestor tak opisuje owe początki: „Roku 6370 [czyli 862 r. n.e.] wygnali [Słowianie, Krywicze i inne plemiona] Waregów za morze i nie dali im dani, i poczęli sami władać sobą. I nie było u nich sprawiedliwości, i powstał ród przeciw rodowi, i były u nich zwady, i poczęli wojować sami ze sobą. I rzekli sobie: »Poszukamy sobie kniazia, który by władał nami i sądził wedle prawa«. I poszli za morze

rzeczywistością; o tym, że nieprawdą jest, jakoby słowiańscy przodkowie nie potrafili się sami rządzić i sprowadzili jako swych władców wikingów; o tym, jak posłowie Aleksandra I żądali w Warszawie spalenia książek, które cara nie nazywały carem i chwaliły triumfy nad państwem moskiewskim; o tym, jak propaganda Stalina i Putina zakłamała obraz wielkiej wojny ojczyźnianej.

Rosjanie święcie w te bajania wierzą albo mimo wątpliwości uważają, że wierzyć powinni, albo po prostu boją się nie uwierzyć. Wreszcie – chcą uwierzyć. Przyjęcie kłamstwa traktują jako obowiązek syna/córki jedynej takiej na świecie ojczyzny; największego i najpotężniejszego imperium w dziejach, którego misji zbawiania wrogiego świata – siłą,



ku Waregom, ku Rusi. Tak się bowiem zwali ci Waregowie – Rusią [...]. Rzekli Rusi Czudowie, Słowienie, Krywicze i Wesowie: »Ziemia nasza wielka jest i obfita, a ładu w niej nie ma. Przychodźcie więc rządzić i władać nami«. I wybrali się trzej bracia z rodami swoimi, i wzięli ze sobą wszystką Ruś i przyszlizli do Słowien najprzód, i siadł najstarszy, Ruryk, w Nowogrodzie, a drugi, Sineus, na Białym Jeziorze [w Biełoziersku], a trzeci, Truwor, w Izborsku. I od tych Waregów przezwano się ziemia ruska”.

Tak więc nazwa Rusi pochodzi od nazwy wikingów plemienia Rusów, która wzięta się zapewne od starszwedzkiego określenia wioślowania. Finowie do dziś nazywają Szwecję – Ruotsi. Sam Nestor od rozdziału pierwszego („O narodach świata”) konsekwentnie Rusią nazywa lud skandynawski.

Jednoznaczne stwierdzenie pochodzenia elit ruskich od germańskich przybyszów ze Skandynawii od wieków nie podobało się – i nie podoba po dziś dzień – Rosjanom. Zwłaszcza że zaproszenie do przybycia wikingów ich przodkowie motywowali dość kompromitującą samooceną, gdyż nie potrafili sobie poradzić z nieładem, który zapanował po wcześniejszym „wypnaniu za morze” tych imigrantów ze Szwecji. Zresztą pojawiające się od XIX w. również u nas koncepcje importu wikingów jako elit państwa piastowskiego – w postaci księcia Mieszka i jego skandynawskich drużowników, mających rzekomo przybyć od kijowskich Polan – budzą u niektórych rodaków uczucie upokorzenia. Niepotrzebnie. Poza wątpliwą interpretacją urywka słynnego dokumentu „Dagome iudex” pozostaje parę pochówek odnalezionych na polskich ziemiach. Te zaś mogą świadczyć najwyżej o wikingach najemnikach na służbie piastowskiej. A wikingów często najmowano do woj-ski na zachodzie Europy; w Bizancjum również – i to od X w. Z Rusią sytuacja jest jasna i diametralnie odmienna – wikingowie rzeczywiście zostali tam warstwą panującą. Niech się jednak w Moskwie tak bardzo nie martwią: po stu latach z niewielkim okładem germańscy Rusowie stali się słowiańskimi Rusinami; podobnie zresztą jak normandzcy zdobywcy Francji przemienili się szybko pod względem języka i kultury po prostu we Francuzów.

Od wieków Rosjanie usiłują zaprzeczyć poczynionym przez Nestora



Michał Łomonosow orzekł, że poglądy takich Niemców jak Müller szkodzą interesom rosyjskiego imperium

FOT. DOMENA PUBLICZNA

zapisom, czy to przez ich naciągane interpretacje czy też dochodzenie fałszerstw dokonanych rzekomo w „Powieści minionych lat” później – oczywiście przez wrogów słowiańskiej Rusi. Charakterystyczne zdarzenie przytacza Michaił Heller w swej „Historii Imperium Rosyjskiego”. Otóż:

„6 września 1749 r. [...] członek carskiej Akademii Nauk w Petersburgu, oficjalny carski historiograf Gerhard Friedrich Müller, wygłaszał doroczny wykład. Tym razem mówił o pochodzeniu narodu rosyjskiego i jego nazwy. [...] Müller sformułował teorie utworzenia Rusi Kijowskiej przez Normanów. Ledwie jednak zdążył rozwinąć swoją myśl, gdy przerwały mu krzyki słuchaczy. Członek akademii Popow, astronom, oświadczył, że Müller »znieważa cały naród«. Spór pozostawiono do rozstrzygnięcia cesarzowej Elżbiecie Pietrownej (1741–1762), która utworzyła w tym celu specjalną komisję. Między innymi wszedł do niej znany rosyjski uczyony Michaił Łomonosow. Jego opinia była jednoznaczna: poglądy takich Niemców jak Müller szkodzą interesom rosyjskiego imperium. Prace Müllera zostały skonfiskowane i zniszczone, a jemu samemu zakazano zajmować się dawną historią Rosji”.

GODNOŚĆ ALEKSEGO I

Prymitywne traktowanie historii jako „polityki rzutowanej w przeszłość” znalazło inny przykład sto lat wcześniej, podczas poselstwa, które w marcu 1650 r. do polskiego króla Jana Kazimierza wysłał moskiewski car Aleksey I. Na czele poselstwa stał bojar Jurij Gawryłowicz Puszkina wraz z bratem oraz diakiem Gawryłą Leontiewem. Aroganckie, bar-

barzyńskie zachowanie Moskwiczinów opisali sugestywnie m.in. Paweł Jasienica w „Rzeczpospolitej Obojga Narodów” czy Jan Widacki w „Kniaziu Jaremie”. Już przy spotkaniu z wysłanym na jego powitanie podczaszym litewskim Jerzym Tyszkiewiczem poseł carski popisał się wywołaniem grubiańskiego sporu o zajęcie po prawej stronie miejsca w karecie. Po krótkiej audyencji u króla, kiedy zachował się w miarę poprawnie – kłamiąc zresztą, że „przysłał wszystko dobre” – podczas roboczych rozmów z kanclerzami koronnym i litewskim oraz senatorami dał popisów chamstwa ciąg dalszy.

Bezczelne żądania terytorialne i finansowe wobec Rzeczypospolitej wsparł jeszcze takimi roszczeniami, że polsko-litewscy panowie osłupieli... Otóż za pokój zażądał nie tylko Smoleńska i innych grodów zajętych w 1634 r. przez Władysława IV oraz zapłacenia pół miliona złotych kontrybucji. Car mógłby się poczuć usatysfakcjonowany, gdyby poza tym król kazał wbić na pał Jeremiego Wiśniowieckiego, a następnie uciąć mu mieczem głowę i w darze wystać ją na Kreml. Powodem było użycie przez księcia Jaremę niewłaściwej tytułatury władcy w listach słanych do Moskwy. Polaków zdumiało nie tylko zbrodnicze okrucieństwo żądania, lecz także niedorzeczność jego wysunięcia w kraju, gdzie od czasów Jagiełły obowiązywało prawo *Neminem captivabimus* zabraniające nawet wtrącania szlachcica do więzienia bez wyroku sądu. I na tym nie koniec.

Otóż Puszkina zażądał jeszcze spalania ksiąg o triumfie, który przed 16 laty odniósł nad armią rosyjską pod Smoleńskiem król Władysław IV. Chodziło o utwory Jana Aleksandra Górczyna „Pamięć o cnotach, szczęściu, dzielności... Władysława IV” oraz wybitnego poety polskiego połowy XVII w. Samuela ze Skrzypny Twardowskiego „Władysław IV król polski i szwedzki”. Jakby spalanie ksiąg mogło zatrzeć pamięć o rosyjskiej klęsce i w ogóle wyrzucić ją z dziejów. A gdańskich drukarzy, żądali posłowie, którzy takie świadectwo poniżenia władcy świętej Rosji odważyli się na świat wypuścić, należy na śmierć zachłostać knutem, czyli biczem ze splecionych rzemieni.

Posłów przetrzymano kilka miesięcy w Warszawie jakby w areszcie domowym, a do Moskwy wysłano posłańca dla wyjaśnienia przedstawionych żądań. W końcu, aby uniknąć rosyjskiego ataku podczas buntu Chmielnickiego, spalono



kilka kartek na wewnętrznym dziedzińcu zamkowym. Natomiast Puszkiniowi udzielono wyjaśnienia:

„Król i my książek drukować nie rozkazujemy i nie wzbraniamy: który drukarz wydrukuje dobre i sprawiedliwe rzeczy, to my to chwalimy, a jeśli głupcy wydrukują coś lichego, kłamliwego i niegodnego, to my, Panowie Rada, z tego się śmiejemy. Jeśli zaś nikt książek drukować nie będzie, to potomkowie nasi nic o nas wiedzieć nie będą. U nas druk wolny, tak na mocy prawa, jak i zwyczajowi narodów...”.

Czy poseł moskiewski to zrozumiał – nie wiadomo.

ANI KROKU W TYŁ!

Znamienny dla bolszewików rozkaz wydał Józef Wissarionowicz Stalin podczas bitwy o Stalingrad, trwającej od lata 1942 r. do przełomu stycznia i lutego 1943 r. Zdobycie miasta noszącego imię Stalina byłoby dla Hitlera ogromnym – nie tylko politycznym i strategicznym, lecz także osobistym – triumfem. I niebawem klęską dla Stalina. Od prestiżu każdego z tyranów zależał los wojny, dlatego nie tylko mieszkańcy Niemiec i Rosji, lecz także ludzie na całym świecie z zapartym tchem przypatrywali się tej batalii.

28 lipca 1942 r. Stalin wydał rozkaz nr 227, znany jako „Ani kroku w tył!”, zgodnie z którym żołnierze oddziałów zaporowych NKWD używali „wszelkich dostępnych środków”, aby zaprowadzić dyscyplinę w armii, łącznie ze strzelaniem do cofających się czerwonarmistów. Od 1 sierpnia do 15 października 1942 r. oddziały NKWD zatrzymały na tyłach 140 tys. żołnierzy, z czego ok. 4 tys. aresztowano, rozstrzelano 1189, do kompanii karnych skierowano ok. 3 tys., do batalionów karnych – prawie 200, natomiast w szeregi zwrócono 130 tys. Oddziały Frontu Stalingradzkiego i Dońskiego (20 proc. ogólnej liczby oddziałów NKWD) zatrzymały w tym czasie prawie 52 tys. żołnierzy, czyli niemal 37 proc., a rozstrzelały 711, czyli prawie 60 proc. ogólnej liczby rozstrzelanych. Świadczy to zarówno o szczególnie dramatycznej sytuacji czerwonarmistów w Stalingradzie, jak i o bezlitosnej determinacji dowodzących tam wojskowych oraz oddziałów NKWD.

Generał Wasilij Czujkow – dowódca 62. Armii – oświadczył, że dla obrońców Stalingradu nie ma miejsca po drugiej stronie Wołgi, a jego armia utrzyma miasto albo w nim umrze. Bez wahania wykorzystywał oddziały zaporowe NKWD,

których Front Stalingradzki miał 16, po ok. 200 uzbrojonych po zęby żołnierzy każdy. Ani kroku w tył! – ten rozkaz w wążutkim, nadbrzeżnym pasie miasta, będącym w rękach Armii Czerwonej od jesieni 1942 r., był szczególnie łatwy do wykonania

Sfałszowania historii drugiej wojny światowej najpełniej dowodzi wspomniany już na wstępie Borys Sokołow. Jest profesorem historii i literaturoznawcą, mieszka w Moskwie, napisał 160 książek o rosyjskich oraz sowieckich dziejach. Nie jest więc dysydentem na uchodźstwie ani zbiegłym KGB-istą, którego można by podejrzewać o tendencyjne spojrzenie na tzw. wielką wojnę ojczyźnianą i w ogóle spuściznę stalinizmu tak pieczołowicie kultywowaną przez Władimira Władimirowicza Putina. A przecież tytuł jego najgłośniejszej

Sfałszowania historii drugiej wojny światowej najpełniej dowodzi Borys Sokołow

ostatnio książki – „Straszliwe zwycięstwo” – w pełni odpowiada przerażającej treści dzieła prof. Sokołowa.

Wbrew Putinowskiej polityce historycznej Sokołow bezlitośnie odśladania prawdę o tej wojnie, która przyniosła Armii Czerwonej oraz mieszkańcom Związku Sowieckiego ogrom ofiar (27 mln strat bezpowrotnych!) i nie-szczęść zwinionych przez bolszewickie władze. W tej książce, jak w rzeczywistości, europejski ład burzy Hitler do spółki ze Stalinem. Nieprawdopodobnie 3 mln czerwonarmistów wziętych do niewoli w ciągu pierwszego półroczu wojny niedawnych sojuszników obciążają sowieckich rozkazodawców. Głupie, a nawet zbrodnicze szafowanie krwią żołnierzy trwa aż do zdobycia Berlina, a stosunek strat – choć maleje z czasem – jest porażająco niekorzystny dla Rosjan. Pomiatanie ludzkim życiem i godnością trwa na froncie i na tyłach, gdzie ludzie – a zwłaszcza uciekinierzy bez przydziałów chleba – umierają z głodu.

Autor jest kompetentny – z dogłębną, źródłową erudycją odśladania oblicze hekatomb. Prosto i jasno prowadzi

wykład o wielkich bitwach – Moskwie 1941/1942, Stalingradzie 1942/1943, Kursku 1943, ofensywie na Białorusi, Ukrainie i w Polsce 1944 – już wraz z otwarciem zachodniego frontu przez aliantów. Pisz o wielkości pomocy w ramach Lend-Lease i o jej decydującym (wbrew rosyjskiej propagandzie) znaczeniu dla zwycięstwa. Przytacza przykłady żołnierskich gwałtów. Obnaża fałsz sowieckich mitów heroicznych, zestawiając je z drobiazgowo sprawdzonymi meldunkami sowieckimi i niemieckimi (uczciwie pisze też o prawdziwych bohaterskich czynach...).

Dokładniej zajmuje się mordem katyńskim i kłamstwem katyńskim. Pisz: „Zarówno Roosevelt, jak i Churchill obawiali się... reakcji opinii publicznej w swych krajach. Jeśliby sowiecka odpowiedzialność za Katyń została powszechnie uznana, to oznaczałoby to, że USA i Zjednoczone Królestwo są powiązane z takim samym przestępczym reżimem jak hitlerowski. Ponadto liderzy amerykańscy i brytyjscy mieli nadzieję na współpracę ze Stalinem w dziele powojennego urządzania świata i byli wyraźnie nieprzygotowani do późniejszej ewentualnej konfrontacji z nim... Taka sytuacja trwała aż do 1990 r., czyli do uznania przez Gorbaczowa sowieckiej odpowiedzialności za Katyń”.

Na marginesie zauważyć trzeba, że na kwestię nierozliczenia tej zbrodni przegnął – w 70. rocznicę jej dokonania, gdy zbrodniczy imperializm moskiewski już znów złowrogo podnosił głowę – zwrócić uwagę cywilizowanego świata prezydent RP Lech Kaczyński. Pojechał do Katynia na groby polskich oficerów. I już ze Smoleńska żywy nie wrócił. Zachód nadal w tej sprawie milczy.

Osobny rozdział „Polacy nie dają się zswietliwiać. ZSRR a sprawa polska” prof. Sokołow poświęca nam i tylko nam. Z niekłamną empatią. Widzi wyjątkowość tej sprawy w całej wojnie. I tak – po zbrodni katyńskiej – uwypukla pozostawienie powstańczej Warszawy bez pomocy, mordowanie AK-owców przez czerwoną partyzantkę na kresach oraz NKWD i Smiersz w Puszczy Augustowskiej. Dorobku prof. Sokołowa władze Federacji Rosyjskiej nie mogą podważyć. Zrobiły więc jak zwykle. Dorobek opłuły, a uczciwego uczonego pozbawiły katedry uniwersyteckiej. I koniec bajki. Na razie.



Tomasz Lenczewski

Czy polscy arystokraci i ziemianie, którzy pozostali po wrześniu 1939 r. na terenach wcielonych do III Rzeszy, byli zdrajcami? Temat ten do dziś pozostaje kontrowersyjny

Stosunek okupacyjnych władz niemieckich zarówno do polskiego ziemiaństwa, jak i wszystkich grup inteligencji polskiej, zamieszkujących tereny wcielone do Rzeszy, był od początku zdecydowanie wrogi. Już w pierwszych tygodniach okupacji doszło do masowych prześladowań na terenie Pomorza, Wielkopolski i Śląska. Wśród ofiar byli przedstawiciele miejscowego ziemiaństwa rozstrzeliwani w publicznych egzekucjach lub zamordowani w więziennych katowniach. Większość ziemian wyrzucono z ich siedzib, zamknięto w obozach przejściowych i ostatecznie deportowano do Generalnej Guberni. Zamiast eksterminacji tej części inteligencji polskiej potwierdził jesienią 1940 r. sam Adolf Hitler słowami: „Nie wolno wam zapominać, że polskie ziemiaństwo nie powinno dalej istnieć, i choć może się to wydać okrutne, musi być doszczętnie zlikwidowane...”.

Na terenach wcielonych do III Rzeszy znane są jedynie sporadyczne przypadki, powodowane indywidualnymi inicjatywami, przetrwania polskich ziemian pod opieką niemieckich zarządców ich majątków. Pozostali również ci, którzy zostali uznani za niebudzących wątpliwości Niemców, jak Unrugowie z Piotrowa czy Wyszakowa. Ponadto „przefarbowane” na Włochów trzy rodziny Bacciarrellich z Kujaw oraz rzekomo „biali” Rosjanie, za których uważano Alexandrowiczów z Łochocina. Niektóre osoby chroniła również ich deklaracja niemieckości, choć było to tymczasowe i uzależnione od ostatecznej decyzji spoczywającej w ręku kolejnych instancji SS. Do ostatnich niemalże dni istnienia III Rzeszy specjalna niemiecka Wyższa Izba Kwalifikacyjna do spraw Przynależności Narodowej na terenach przyłączonych do Rzeszy podejmowała decyzje w sprawie przynależności do narodu niemieckiego. Na jej czele stał sam Himmler, który



Pałac Bagatela księcia Radziwiłła

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Pałac w Arcugowie Wacława

Rzewuskiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

Zaprzkańcy czy kombinatorzy?



pełnił funkcję Komisarza Rzeszy ds. Umacniania Niemieckości. Wśród osób, których sprawy rozpatrywano przed tym trybunałem, znaleźli się Polacy i obywatele polscy pochodzenia arystokratycznego i ziemiańskiego, niekiedy o silnych związkach z niemieckością, z terenów wcielonych do Rzeszy Niemieckiej, w tym z tzw. Kraju Warty.

Motywy działania poszczególnych osób, które zdecydowały się na „walkę o swoją niemieckość”, zdają się oczywiście, pomimo że ich potomkowie milczą na ten temat. Zachowały się jednak dokumenty źródłowe i relacje. Generalnie chodziło o przetrwanie, ocalenie rodzinnego majątku dla swoich prawnych następców. Tak myślał Józef Breza (1873–1963), który przekonał swego patriotycznie nastawionego brata Gustawa z Więckowic do złożenia podania o przyjęcie do narodowości niemieckiej. Dobra te bowiem miały przypaść synowi Józefa adoptowanemu przez bezdzietnego brata. Zresztą sam Józef Breza wydawał się nie dostrzegać realiów okupacyjnego życia. Z listów tej rodziny można wywnioskować, że głównym ich problemem była troska o umieszczenie ich kolejnej genealogii w „Almanachu Gotajskim”. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej ożyły u nich nadzieje odzyskania dawnych majątków na Kresach Wschodnich. Posiadanie dóbr ziemskich niosło ze sobą zresztą osobne problemy, które miały wpływ na podejmowanie decyzji o brataniu się z okupantem. Niektóre majątki były bardzo zadłużone, a wybuch wojny odsunął w czasie groźbę ich zlicytowania. Do takich należały np. Arcugowo Rzewuskich i ordynacja przygodzicka księcia Michała Radziwiłła (1870–1955). Długi przewyższały ich wartość. Z tego zresztą powodu książe Radziwiłł, w nadziei na uzyskanie dożywotniej renty, wpadł na pomysł ofiarowania swojego majątku... samemu Adolfowi Hitlerowi.

Część rodzin ziemiańskich, chociaż była pochodzenia niemieckiego lub silnie zgermanizowana, miała jednak wysokie poczucie lojalności wobec państwa polskiego. Takimi byli von Alvenslebenowie z Ostromecka oraz książęta Sułkowscy z Bielska, związani niegdyś z dworem saskim. Gdyby nie wojna, ich polonizacja nastąpiłaby w kolejnych pokoleniach. Odwrotnie było z dawnym cesarskim oficerem Wacławem Rzewuskim, który zdaniem prof. Czesława Madajczyka

Część rodzin ziemiańskich, chociaż była pochodzenia niemieckiego lub silnie zgermanizowana, miała wysokie poczucie lojalności wobec państwa polskiego

„był germanofilem gnieźnieńskim, skazanym przed wojną za defetyzm”. W chwili wybuchu wojny odsiadywał karę kilkumiesięcznego aresztu m.in. za publiczne nawoływanie do sojuszu z Hitlerem. Pognany później na wschód z przewencyjnie zatrzymanymi aktywistami niemieckimi miał szczęście przeżyć, gdyż wielu internowanych zginęło od kul polskich konwojentów. Z kolei siostry Zofia (1896–1965) i Maria (1899–1969) Szembekówny z Poręby Żegoty chciały po prostu ocalić swój majątek i przetrwać okupację. Aprobowały zatem wpisanie na niemiecką listę narodowościową w 1941 r., a nawet podjęły później walkę sądową o przywrócenie na listę po ich wykreśleniu.

NIEMIECKIE DECYZJE

Władze niemieckie skrupulatnie podchodziły do badania kandydatów na Niemców. Analizowano ich pochodzenie po stronie ojca i matki, język domowy i wykształcenie w szkołach niemieckich, służbę wojskową w armii niemieckiej i związki natury towarzyskiej z Niemcami. Brano także pod uwagę oprócz czystości rasowej tryb życia petentów. Charakterystyczne, że petentów ziemian tytułowano jako „hrabiów”, co często nie miało nawet odzwierciedlenia w ich metrykach, ale było wynikiem snobizmu połączonego z niemieckim traktowaniem tytułów jako części nazwiska od czasu upadku cesarstwa. Poza tym samo słowo „graf” dobrze brzmiało dla Niemców. Arystokratów traktowano i tak surowiej, jako kosmopolitów. Fürst Michał Radziwiłł mimo niemieckiego wychowania i pochodzenia został po trzech latach bojów odrzucony jako „moralnie zdeprawowany”. Powodem było uwikłanie się w liczne skandale obyczajowe, w tym oszustwa matrymonialne i podatkowe. W uzasadnieniu uwypuklono również sprawę bliskich kontaktów księcia z Żydówką, którą zamierzał swego czasu

poślubić. Jego kuzynowi, Prinzowi Władysławowi Radziwiłłowi (1881–1963) z Bagateli, uznanemu tymczasowo za Niemca już w 1940 r., po powrocie z Warszawy do majątku, podwyższono kategorię niemieckości do grupy III. Zaznaczono jednak, że w przyszłości wobec braku potomstwa jego majątek powinien przypaść III Rzeszy ze względu na spolonizowaną resztę rodziny. Brezów uznano za genealogicznych i kulturowych Niemców, ale z powodu zbyt bliskich związków z Polską, zwłaszcza Gustawa Brezy, odrzucono ich wnioszek. Józefowi Brezie wytknięto przy tym, że syna wychował na Polaka. W istocie kilka miesięcy później ów syn, oficer AK, został wzięty do niewoli podczas powstania warszawskiego. Najwyższy „zaszczyt” spotkał Wacława Rzewuskiego (1892–po 1947). Wprawdzie nie miał on kropli krwi niemieckiej, to uznano, że jego zasługi wobec narodu niemieckiego kwalifikują go na przyznanie co najmniej II kategorii volkslisty (DVL). Chodziło m.in. o jego poparcie dla NSDAP, które otwarcie manifestował od 1933 r. Pamiętano, że pozdrowiał Niemców mieszkających w Polsce słowami „Heil Hitler” oraz że doznał prześladowań ze strony władz polskich we wrześniu 1939 r. Z kolei „czystemu Aryjczykowi”, ordynatowi Jomarowi v. Alvensleben-Schönborn, uwięzionemu zaraz na początku wojny w Dachau za czynne popieranie państwa polskiego i Polaków, wnioskowano przyznanie co najwyżej III grupy DVL. Zaznaczono przy tym, że nie będzie mógł wrócić do Ostromecka, który miała przejąć III Rzesza. Tym bardziej że młodszy jego syn, Ludolf, który od 1939 r. skutecznie ukrywał się we Włoszech, został zaocznie uznany za niegodnego bycia Niemcem. Paradoksalnie jego starszy brat, Albrecht, fanatyczny hitlerowiec i zbrodniarz, został usunięty z SS, kiedy okazało się, że nie jest synem swojego ojca. Był bowiem owocem pozamałżeńskiego romansu swojej polskiej matki, hrabianki Bnińskiej, z hiszpańskim profesorem, podobno pochodzenia żydowskiego...

Wiele trudności musiał przełamać ks. Aleksander Sułkowski (1893–1956), zresztą były oficer Wojska Polskiego, który wskutek krótkotrwałego popierania władz polskich naraził się do tego stopnia lokalnym Niemcom, że był przewidziany do wysiedlenia. Ostatecznie po gruntownej analizie jego więzów z niemieckością



■ i zasług dla niej najwyżsi dostojnicy SS łaskawie podwyższyli mu kategorię volkslisty z IV (jaką dostawali z reguły Polacy) na II. Na jego usprawiedliwienie władze niemieckie przyjęły, że stał się Polakiem jedynie wskutek fiskalnej presji władz polskich. Z kolei siostrą Szembek nie udało się uśpić czujności niemieckiego trybunału, który uznał, że celem ich narodowościowej deklaracji był jedynie fakt odzyskania majątku, a ich związki z niemieckością są żadne.

PO WOJNIE

Książę Michał Radziwiłł z Antonina, który przez trzy lata dzięki pomocy wpływowych niemieckich przyjaciół bezskutecznie walczył o uznanie za Niemca, zakończył swe bujne życie na Teneryfie, przygarnięty przez byłą hiszpańską żonę. Władze Polski Ludowej wszczęły

Rzewuski, zgarnięty przez sowieckie organa bezpieczeństwa. Deportowano go do obozu w Riazaniu, skąd powrócił pod koniec 1947 r. I tu ślad po nim się urywa. Przesłuchiwany na granicy został zakwalifikowany jako niebezpieczny reaktor, co mogło mieć wpływ na jego dalsze losy. Podobno wrócił w rodzinne strony, potem ktoś miał spotkać go w Austrii, skąd pochodziła jego druga małżonka.

Odpokutowały też swoje starania o niemieckość siostry Szembekówny, które trafiły na dziewięć miesięcy do polskiego Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie. W końcu prokurator po przesłuchaniu i wyjaśnieniu ich postępowania, z którego nie odniosły żadnych korzyści, nakazał ich zwolnienie do domu. UB długo interesował się ich bratem, który również miał

wysiedleniem z majątku. Brezowie, czekając na rozstrzygnięcie swojej niemieckości, która nastąpiła dopiero w 1944 r., musieli mieszkać poza swoim pałacem, z którego mogli zabrać do nowego lokum tylko meble. W efekcie żaden z opisanych przypadków nie da się osądzić jednoznacznie kryteriami zdrady. Tym bardziej że chodzi o tereny wcielone do Rzeszy Niemieckiej, gdzie władze londyńskie tolerowały przyjmowanie przez Polaków III i IV kategorii volkslisty.

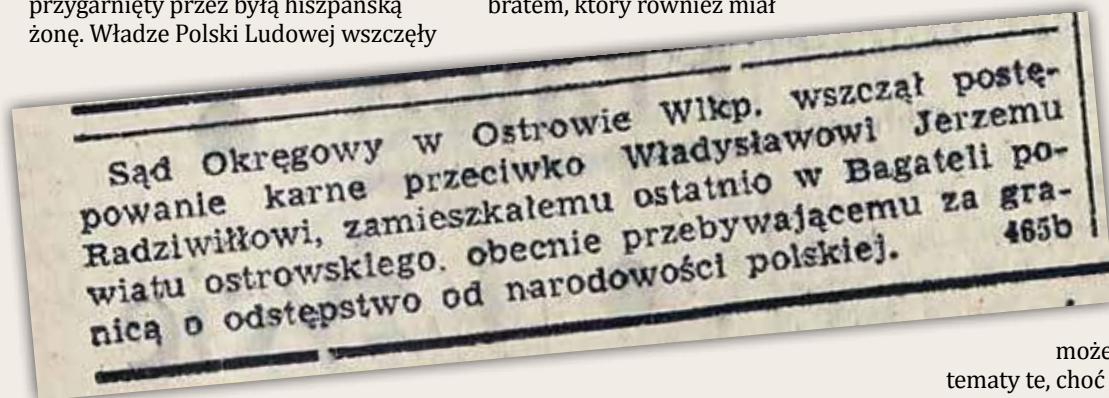
Jak wcześniej wspomniano, głos decydujący w sprawie niemieckości podejmował sąd złożony z najwyższych dostojników SS, wśród których zasiadali Reichsführer Heinrich Himmler, szef SS, gestapo i policji, oraz Obergruppenführer Ernst Kaltenbrunner, szef Głównego

Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Rozpatrywali oni niemieckość nie tylko w kategoriach krwi, lecz także według zasług dla narodu niemieckiego. Podobnie jak w przypadku osławionych „certyfikatów aryjskości” dla osób mających przodków krwi żydowskiej decydowali, kto

może być Niemcem. Niestety,

tematy te, choć sygnalizowane już w Polsce Ludowej przez prof. Madajczyka, nie znalazły większego zainteresowania historyków. Wymownym przykładem są wzmiankowane tu sprawy polskich Unrugów, przywołane dotąd tylko w kilku publikacjach.

Historia zatoczyła duży krąg. Mało kto dziś pamięta o wymienionych tu osobach, ich wojennych wyborach i dramatach życiowych. Wyjątkami są książę Michał Radziwiłł, potępiony nawet przez własnego wnuka, oraz książęta Sułkowscy z Bielska, o których pisano w wielu lokalnych wydawnictwach, starając się zachować obiektywizm. O pozostałych wspomina się marginalnie. Jedynym materialnym świadectwem powikłanych ziemiańskich losów pozostały dawne rezydencje wymienionych tu osób. Pałace w Antoninie, Bielsku, Bagateli i Ostromecku są dobrze zagospodarowane i pełnią ważne funkcje w swoich regionach. Tylko te w Arcugowie czy Więckowicach, zwrócone zresztą rodzinie Wacława Rzewuskiego oraz potomkom Józefa Brezy, chylą się ku ruinie i wciąż czekają na swoje lepsze czasy. © Wszelkie prawa zastrzeżone



przeciwko niemu postępowanie karne, ale sprawa nie trafiła do sądu w odróżnieniu od przypadku jego kuzyna, ks. Władysława. Prokuratorskie śledztwo wykazało ponadto, że książę z Bagateli nikomu nie zaszkodził spośród miejscowych Polaków i traktował ich nader poprawnie. Ostatecznie sprawę umorzono na pierwszym posiedzeniu sądu w Ostrowie Wielkopolskim. Oskarżony zresztą już jesienią 1944 r. wyjechał do Niemiec, gdzie wkrótce zapewne z przyczyn finansowych adoptował do nazwiska z tytułem dwóch kuzynów z rodu hr. von Oppersdorff. Aby zapewnić sobie beztrudną egzystencję, dwukrotnie stawał na ślubnym kobiercu, wybierając zamożne kobiety pragnące ślubu z arystokratą. Józef Breza zakończył swoje burzliwe życie w Polsce, przygarnięty przez nieślubną córkę mieszkającą w lubelskim Stawie i u niej zdeponował swoje bogate prywatne archiwum. Jego brat umarł w domku niedaleko więckowickiego pałacu wkrótce po wkroczeniu Armii Czerwonej. Nie miał szczęścia Wacław

podpisać volkslistę, ale wcześniej wyjechał do Londynu. Siostry Szembekówny do końca swoich dni żyły w trudnych warunkach w swoim majątku spalonym przez Armię Czerwoną. Utrzymywały się dzięki pomocy okolicznych mieszkańców. Ostatnim z prześladowanych, który wrócił do Polski po 1990 r., był ścigany w czasie wojny przez gestapo Ludolf von Alvensleben. Miał on w życiorysie epizod walki w armii gen. Andersa, do której zgłosił się w 1944 r. W nadziei na zwrot choć części Ostromecka starał się o polskie obywatelstwo. W tym celu zameldował się nawet w Bydgoszczy, jednak zmarł przedwcześnie.

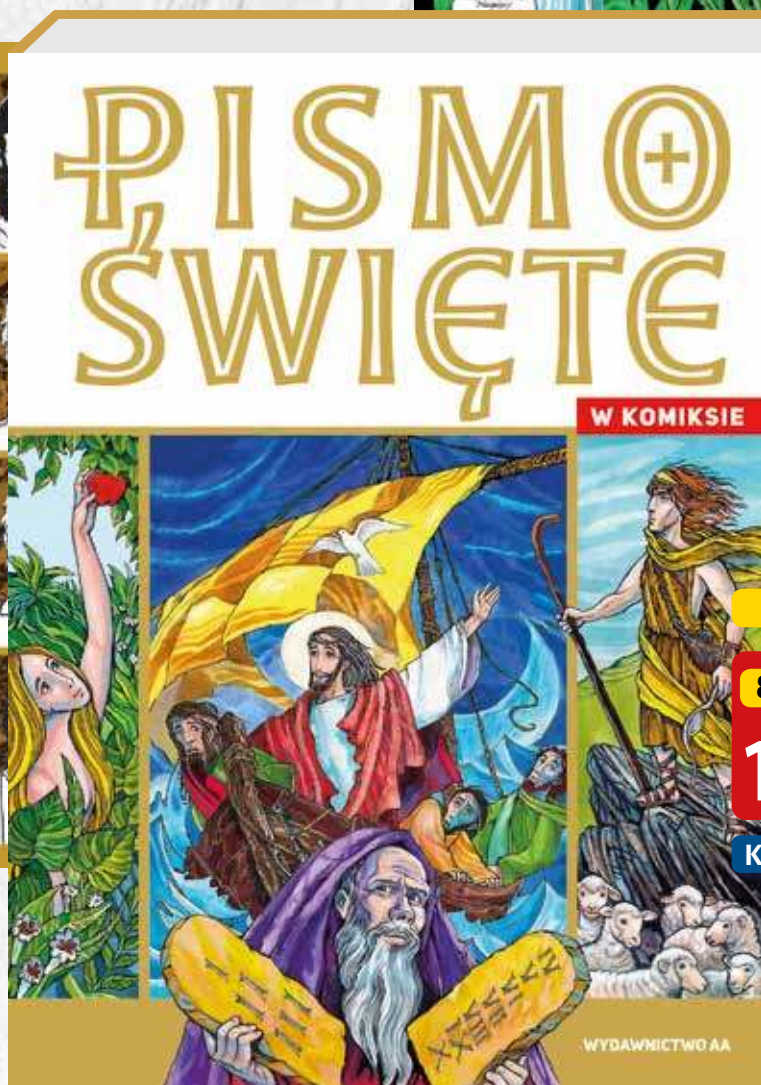
Trudno dziś jednoznacznie ocenić postępowanie wymienionych tu osób, bo nawet ideologiczny germanofil, jakim był Rzewuski, w czasie wojny ochronił wielu Polaków przed niemieckimi prześladowaniami, zatrudniając ich w gruncie rzeczy fikcyjnie w majątku Arcugowo. Być może dzięki temu uratował niektórym z nich życie. Trzeba też wziąć pod uwagę to, że deklaracja niemieckości nie zabezpieczała polskiego właściciela ziemskiego przed



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

Wielki format!



Nowość!

80 zł taniej

249,00

169,00

Kod: 644071

**Pismo Święte
w komiksie**

WYD. AA, 24x33, s. 472, twarda,

Teksty pochodzą z Biblii Tysiąclecia!

Komiks ten został przemyślany, zaprojektowany i narysowany przez znanego krakowskiego artystę Pawła Kołodziejkiego, teksty wprowadzające oraz opisy postaci biblijnych przygotował o. Cyprian Janusz Moryc OFM – historyk sztuki, zaś cała narracja pochodzi z *Biblii Tysiąclecia*. Wszystko to sprawia, że książka powinna szczególnie spodobać się młodym odbiorcom.

Jest to jednak nie tylko opowieść o bohaterach i nadzwyczajnych wydarzeniach, ale także próba przekazania młodym Czytelnikom najcenniejszych skarbów naszej wiary. Niech więc karty komiksu zachęcą Czytelników do poznania lepiej Tego, Który był, Który jest i Który przychodzi. Dzieło posiada *imprimatur* Kościoła katolickiego.

Zamówienia:

Wydawnictwo AA, www.religijna.pl, tel. 12 345-42-00



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czerwone
czystki

Co by było, gdyby... w latach 20. doszło do dogrywki. Czyli drugiej wojny polsko-bolszewickiej? Trudno powiedzieć, jaki byłby wynik takiej wojny, ale bez wątpienia obie strony użyłyby w niej dużych mas konnicy.

Zanim Związek Sowiecki przeprowadził industrializację i zbudował siły pancerne, podstawową siłą uderzeniową Armii Czerwonej była „kawaleria strategiczna”. To ona miała zaatakować „zgniłe państwa kapitalistyczne”, aby utorować drogę do „triumfalnego marszu wyzwolenczo-rewolucyjnego”.

W 1921 r. w czerwonej konnicy służyło 135 tys. żołnierzy. W momencie wybuchu wojny – pisał Siemion Budionny – czerwona kawaleria miała „natychmiast wtargnąć na teren przeciwnika”.

Takie, a nie inne plany wojenne Sowietów sprawiły, że polski wywiad starał się rozpracować bolszewicką konnicę. O tych tajnych działaniach pisze Aleksander Smoliński w kolejnym tomie rewelacyjnej serii „Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP”.

Polaków interesowały dyslokacja jednostek czerwonej jazdy, ich realna siła, kompetencje jej korpusu oficerskiego. Polscy agenci rozpracowywali więc „klikę kawaleryjską”. Czyli grupę dowódców jazdy z okresu wojny domowej, którzy zajęli wpływową pozycję w Armii Czerwonej.

Praca ta w dużej części okazała się niepotrzebna. Większość tych oficerów została bowiem zamordowana w latach 1937–1938 w ramach wewnętrznych bolszewickich rozliczeń. Przykładem może być Nikołaj Kaszyrin. Był to orienburski Kozak, w trakcie wojny domowej ataman czerwonych partyzantów. Prowadził zacieklą wojnę podjazdową przeciwko białym. Po wojnie piął się po szczeblach kariery, był m.in. dowódcą I Korpusu Kawalerii Czerwonego Kozactwa.

Jako fanatyczny bolszewik w czerwcu 1937 r. uczestniczył w posiedzeniu sądowym, podczas którego skazano na śmierć marszałka Michaiła Tuchaczewskiego i innych wysokich rangą oficerów. A już dwa miesiące później sam został aresztowany na rozkaz Stalina. Kaszyrina zabito w 1938 r. Obłądny system pożarł kolejne ze swoich dzieci. ©©



★★★★★

RED. TADEUSZ
DUBICKI„WYWIAD
I KONTRWYWIAD
WOJSKOWY II RP”,
T. XII
LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Święconka
i świńskie łby

W Wielką Sobotę tradycyjnie święci się pokarmy, które następnie zajmują poczesne miejsce na wielkanocnym stole. Zwyczaj ten popularny jest również w niektórych regionach Austrii, Słowenii i Bawarii, chociaż w zależności od krainy przybiera różne formy. Na ziemiach polskich pojawił się już w średniowieczu, wspominają o nim źródła z przełomu XIII i XIV w. Obecnie święcenie (błogosławienie) pokarmów odbywa się głównie w kościołach, jednak przed laty miało miejsce przed świątyniami, na wolnym powietrzu. Na Podlasiu, w dawnych zaściankach szlacheckich, gdzie nie było kościoła, utarł się zwyczaj, że święcone przynoszono do domu najznacniejszego gospodarza wsi. Tam ustawiano je na stole przykrytym białym obrusem, a przybyły w ciągu dnia ksiądz błogosławił pokarmy. Następnie odjeżdżał do kolejnej wsi.

Naczej było w ziemiańskich dworach, gdzie nie ograniczono się wyłącznie do symboli. W jednym z pomieszczeń przygotowywano specjalny długi stół przykryty odświętnym białym obrusem i przyozdabiany pędami widłaków oraz bukszpanem. Często ustawiano na nim również wazon z kwiatami i witkami wierzby, przyozdabiano półmiski z jedzeniem, a z rzęzuchy formowano krzyż i postument dla baranka.

„Musiała być ogromna głowizna z jajkiem w pysku –

wspominał Melchior Wańkiewicz – pieczone prosię, gotowana szynka – przysmak, który mieliśmy tylko na Wielkanoc, bo przez cały rok jedliśmy tylko wędzone szynki. Były, wstyd przyznać, wszelkie rodzaje zwierzyny, bo [...] pojęcia nie było o ochronie zwierzyny, w lasach polował, kto chciał, i babka od kłusowników kupowała wszystko o każdym czasie”.

Zadziwiające, ale na ziemiańskich dworach symbolem Wielkanocy były... pieczone prosiaki (obowiązkowo z pisanką w pysku!). A jeśli nie prosię w całości, to chociaż świńskie łeb. Bez tego atrybutu nie mogło się odbyć święcenie pokarmów.

„Wznosiła się na wielkim półmisku świńska głowa – potwierdzał dziennikarz Zdzisław Morawski – uwędzona w całości, a więc brązowego koloru, z jajkiem – pisanką w półotwartym pysku. [...] Po obu stronach leżały całe szynki – jedna gotowana, druga surowa, tylko wędzona – na sposób litewski. Dalej ułożona koliście kielbasa otaczała całą górę pisanek najróżniejszych kolorów. Osobno stały półmiski z innymi odmianami kiełbas, z pasztetem, pieczonym udźcem cielęcym”.

Święcone nie oznaczało zatem wśród ziemian symbolicznych potraw błogosławionych w koszyku. Było to faktycznie poświęcenie potraw stanowiących podstawę kulinarnej orgii wielkanocnej. Zwyczaj ten naśladowano zresztą w domach zamożnych włościan. ©©



FOT. ADRIAN STOK

WYMAZYWANIE KATEDRY

Niemieckie miasto Kolonia będzie miało nowe logo. Zniknie z niego wizerunek dwóch wież miejscowej katedry. Będą tylko napis „Stadt Koeln” i czerwony dwugłowy orzeł. Rzecznik ratusza stwierdził, że po prostu logo musi być prostsze. Nie uwierzyli w to nawet niemieccy dziennikarze „Die Welt”. „Przesłanie brzmi: to, co symbolizuje katedra, czyli kulturę zachodniego chrześcijaństwa jako takiego, a Kościół katolicki w szczególności, jest obecnie najwyraźniej postrzegane przez administrację miasta jako szkodliwe dla jego wizerunku” – napisał dziennik.

PIESKOW OMIIJA SANKCJE PUTINA

Rosja uznała koncern Meta za terrorystyczny i po agresji na Ukrainę rząd odciął mieszkańców od Facebooka i Instagrama. Tymczasem rzecznik i sekretarz prasowy Putina – Dmitrij Pieskow – w rozmowie z kanałem telewizyjnym Białaruś-1 przyznał, że sam te sankcje omija i ma zainstalowany VPN, dzięki czemu udaje, iż łączy się z innego kraju niż Rosja i nadal może korzystać z sieci społecznościowych. Tłumaczył też, że robi to dlatego, iż zachodnie portale „są dobre, bo są najnowocześniejszymi technologiami”.

BAZAR ROSYJSKICH ŻŁODZIEI

W białoruskim mieście Narowla Rosjanie zorganizowali bazar. Sprzedają na nim zabawki, biżuterię, pralki, lodówki, a nawet motorowery czy samochody. Według ukraińskiego wywiadu wszystkie te rzeczy wcześniej należały do Ukraińców i zostały zabrane przez żołdaków Putina. Ukraińcy twierdzą też, że część łupów jest w Białorusi pakowana na ciężarówkach i od razu wywożona bezpośrednio do Rosji.

DOBROBYT ZABEZPIECZONY

Rosjanie są tak bardzo samowystarczalni i tak bardzo nie obchodzą ich zachodnie sankcje, że... na wszelki wypadek rzucili się do wykupowania ograniczonego już w niektórych sklepach asortymentu. W sieci były już m.in. nagrania klientów walczących o cukier. A w ubiegłym tygodniu dziennikarz niezależnego rosyjskiego portalu Meduza Kevin Rothrock pokazał fotografie półek supermarketu Perekrestok w Iziewsku. Widać na nim konserwy mięsne z założonymi blokadami antykradzieżowymi.

HANDLARZ CERTYFIKATÓW

Niektórzy wypisują, że szczepionki są bardziej szkodliwe od COVID-19, a tymczasem 60-letni Niemiec z Magdeburga przyjął aż 90 ich dawek. W ten sposób kolekcjonował zaświadczenia o zaszczepieniu, które następnie odsprzedawał. Wpadł w Eilenburgu, gdy w tym samym ośrodku zgłosił się po szczepionkę drugi raz tego samego dnia. © ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wojenny test technologii

Gdy na Facebooku, Telegramie i na YouTube pojawiło się nagranie, na którym prezydent Zełenski namawia do kapitulacji, wiadomo było, że w wojnie rosyjsko-ukraińskiej poza dronami, czołgami, bombowcami i zakazanym przez cywilizowane narody uzbrojeniem istotną rolę odegrają również nowoczesne technologie służące wojnie informacyjnej.

Na szczęście dla Ukraińców jeszcze przed publikacją „orędzia prezydenta” wywiad ukraiński ostrzegł, że Rosja może próbować takiego fałszerstwa. Po drugie, technologia deepfake – tak lubiana przez hakerów tworzą-

cych za jej pomocą m.in. fałszywe filmy porno – tym razem została przez Kreml wykorzystana dość nieudolnie. W dobie coraz trudniejszych do weryfikacji fake newsów technika deepfake – wykorzystująca do tworzenia treści skomplikowane algorytmy sztucznej inteligencji – potencjalnie jest jednak niebezpieczna. Dana osoba może bowiem na filmie powiedzieć coś, czego nigdy nie mówiła, lub zrobić coś, czego w rzeczywistości nie zrobiła. Dobrze wykonane deepfaki są zaś bardzo trudne do rozpoznania.

Z drugiej strony sztuczna inteligencja pozwala identyfikować poległych rosyjskich żołnierzy oraz

wykrywać szpiegów, posługujących się fałszywymi paszportami.

Wagę nowych technologii w prowadzonej wojnie informacyjnej pokazały też materiały z Buczy. Dawniej o zbrodniach wojennych świat dowiadywał się z dużym opóźnieniem, a rosyjskim oprawcom łatwo było zaprzeczać ludobójstwo. W XXI w. dowody rzezi dokonanych przez bestie z Rosji świat ogląda tuż po ich odkryciu, a winę Rosjan potwierdzają zarówno tradycyjne zdjęcia i filmy, jak i obrazy z dronów czy satelitów. Nikt nie będzie więc mógł potem tłumaczyć, że nie działał, bo nie wiedział. © ©



Orbán pod pręgierzem



Jacek Przybylski
z Budapesztu

Wystarczyły dwa dni od historycznego zwycięstwa Viktora Orbána, aby Komisja Europejska ogłosiła, że zdecydowała o uruchomieniu mechanizmu „pieniądze za praworządność” wobec Budapesztu. Węgierskiego premiera ostro besztą też polska opozycja

Czas, aby ukraińscy przywódcy przestali obrażać Węgry i uwzględnili wolę węgierskiego narodu” – ogłosił w ubiegłym tygodniu na Facebooku szef węgierskiej dyplomacji Péter Szijjártó, informując o wezwaniu ambasador Ukrainy w Budapeszcie do ministerstwa spraw zagranicznych i handlu. O co chodzi? Otóż

przed kluczowymi wyborami dla rządzącej na Węgrzech koalicji prezydent Ukrainy oficjalnie krytykował rząd w Budapeszcie.

Przeciwnicy Orbána wykorzystywali to, że postawa rządu w Budapeszcie wobec wojny rosyjsko-ukraińskiej od dnia jej wybuchu budzi ogromne kontrowersje w wielu krajach Europy,



Po wyjątkowo trudnej kampanii koalicja Viktora Orbána odniosła największe zwycięstwo w historii Węgier po 1989 r.

FOT. ZOLTAN FISCHER/HUNGARIAN PRIME MINISTER OFFICE/EPA/PAP

w tym w Polsce, w Czechach, a nawet w Niemczech, których polityka nie odbiega znacząco od tej prezentowanej przez rząd w Budapeszcie. Orbán jest w lewicowych mediach przedstawiany jako „przyjaciel Putina” lub wręcz „sojusznik Rosji”.

Z czego się to bierze? Otóż w dniu rosyjskiej napaści na Ukrainę przywódca

tzew. zjednoczonej opozycji Péter Márki-Zay w wywiadzie dla telewizji ATV oznajmił, że gdyby NATO, którego Węgry są częścią, podjęło decyzję o interwencji na Ukrainie bądź wysłaniu jej broni, to węgierski rząd powinien się tej decyzji podporządkować. Walczący o czwartą kadencję Viktor Orbán stanął więc w kontrze do stanowiska

opozycji i ogłosił, że lewica chciałaby wysłać węgierskie wojsko na Ukrainę i wciągnąć Węgrów w śmiertelne starcie z Rosją. Rząd w Budapeszcie przyjął narrację, że kluczowym zadaniem rządzącej koalicji jest uczynienie wszystkiego, aby nie wciągnąć Węgier w śmiertelność wojnę. Taka postawa lidera Fideszu trafiła na podatny grunt. Z sondażu przeprowadzonego w połowie marca przez Instytut Publicus wynika bowiem, że choć większość ankietowanych wyborców Fideszu uważa konflikt na Ukrainie za oczywistą rosyjską agresję, to co czwarty pytany sądzi, że winę za wybuch wojny z Rosją ponoszą sami Ukraińcy.

TYSIĄCE UCHODźCÓW, POPARCIE DLA UKRAINY W UE

Wbrew słowom ukraińskiego prezydenta, który publicznie stwierdził, że nie otrzymał od węgierskich władz „nawet tego, co w imię pokoju robią wszyscy inni”, władze w Budapeszcie wspomagają organizacje charytatywne i organizują sprawną pomoc dla setek tysięcy uchodźców z Ukrainy, którzy zdecydowali się szukać schronienia nad Dunajem. Chociaż Agencja ONZ ds. Uchodźców (UNHCR) szacowała początkowo, że na Węgry ucieknie 250 tys. Ukraińców, to według ONZ-owskich danych liczba ta jeszcze pod koniec marca przekroczyła 380 tys. I są to tylko ci, którzy uciekli bezpośrednio przez granicę węgiersko-ukraińską. Władze w Budapeszcie do tej liczby dodają jeszcze tych, którzy najpierw przekroczyli granicę z Rumunią lub Mołdawią, a dopiero potem przyjechali na Węgry. W sumie według węgierskiego rządu liczba uchodźców, którzy znaleźli schronienie w ich kraju, przekroczyła w marcu poziom 600 tys. (w kraju liczącym 9,7 mln mieszkańców). Na Ukrainę pojechały też setki ton

żywności czy paliwa. Politycy w Budapeszcie podkreślają, że to „największa operacja humanitarna w historii Węgier”. A wolontariusze działających nad Dunajem organizacji charytatywnych zauważają, że również zwykłych Węgrów chętnych do niesienia pomocy Ukraińcom jest rzeczywiście ogromnie dużo.

Od początku wojny rosyjsko-ukraińskiej rząd w Budapeszcie podkreślał także, że Węgry wspierają integralność terytorialną Ukrainy, a także jej suwerenność. Politycy rządzącej koalicji oficjalnie popierają również aspiracje Kijowa dotyczące członkostwa w Unii Europejskiej.

Węgrzy nie zawetowali również jak dotąd żadnych sankcji nałożonych na Rosję przez Unię Europejską. Parlament w Budapeszcie oficjalnie poparł zaś deklarację stwierdzającą, że wszystkie kraje mają „moralny obowiązek” wspierania Ukrainy. Niedoszacowany w przedwyborczych sondażach Fidesz, który pierwszy raz od ponad dekady mógł realnie przegrać walkę o rządy na Węgrzech, postanowił więc zaatakować prezydent Ukrainy. Wołodymyr Zełenski publicznie zwrócił się do premiera Viktora Orbána m.in. podczas szczytu Rady Europejskiej odbywającego się tydzień przed wyborami nad Dunajem. – Sami musicie zdecydować, z kim jesteście. Jesteście suwerennym państwem. Byłem w Budapeszcie. Uwielbiam to miasto. Byłem tam wiele razy – bardzo piękne, bardzo gościnne miasto. I ludzie też. Mielicie tragiczne chwile w swoim życiu. Odwiedziłem wasze nabrzeże. Zobaczyłem ten pomnik... Buty na brzegu Dunaju, przypominające o masowych mordach. Słuchaj, Viktor, czy ty wiesz, co dzieje się w Mariupolu? – zwrócił się do lidera węgierskiego rządu, apelując, że nie ma już czasu na wahanie się, czy nałożyć sankcje czy nie, a także czy



■ dopuścić do transferu broni na Ukrainę czy nie.

Czołowi węgierscy politycy podkreślają, że słowa Zełenskigo były niepotrzebną ingerencją w wybory w ich kraju i jawną próbą wsparcia dla opozycji. Zupełnie niezrozumiałe z punktu widzenia Budapesztu były również obraźliwe słowa ambasadora Ukrainy w Polsce. – Zabrałbym premiera Węgier Viktora Orbána do Buczy, by zobaczył tych, którzy zginęli – on nie chce tego wiedzieć; trzeba go pociągnąć do odpowiedzialności – wspierając Putina, nawet słowami, staje się współnikiem tych zbrodni – powiedział Andrij Deszczycza.

Oczywiście słowa premiera Węgier o Buczy były kontrowersyjne – Orbán oznajmił po rozmowie z Putinem: „To jest wojna, którą wypowiedziała Rosja, atakując Ukrainę. To agresja. Tak mówi o tym cała UE. I Węgry, które są jej częścią. Każde okrucieństwo trzeba poddać śledztwu. Żyjemy w czasach masowych manipulacji, kiedy człowiek nie wierzy nawet własnym oczom, temu, co widzi”.

„Jednoznacznie negatywnie” tę wypowiedź ocenił m.in. wicepremier i prezes PiS. Jarosław Kaczyński nie próbował jednak odpowiedzialnością za rosyjskie zbrodnie obarczać Węgrów. Przed wyborami na Węgrzech podkreślał zaś w jednym z wywiadów, że „wszystkie sankcje dotychczas zaproponowane Węgry poparły, potępiły agresję rosyjską. Sprzeciwiają się zakazowi importu ropy z Rosji, ale taka sama jest niestety postawa Niemiec i kilku innych ważnych państw Unii”. I dodawał, że choć krytycznie ocenia postawę Budapesztu wobec wojny na Ukrainie, to „trzeba uczciwie powiedzieć, że zawsze wiedzieliśmy o różnicach między postawą premiera Orbána a naszego obozu politycznego wobec Rosji i Niemiec”.

Szef węgierskiej dyplomacji Péter Szijjártó przyznał, że rozumie, iż dla Ukraińców

Przed wyborami Bruksela zakomunikowała, jak Węgrzy mają głosować, aby ich kraj dostał pieniądze z UE, a ci i tak zagłosowali po swojemu

najważniejszy jest interes ukraiński, podobnie jak dla Węgrów najważniejszy jest interes węgierski, ale podkreślił, że słowa o „współudziale w przestępstwach podczas wojny” czy „ubolewania z powodu demokratycznie wyrażonej woli narodu węgierskiego” są już kompletnie nie do przyjęcia.

KARA ZA ZŁY WYBÓR

Nie tylko ukraiński prezydent i ambasador, lecz także unijni eurokraci nie chcą uwzględniać woli narodu, zwłaszcza jeśli Węgom jasno przed wyborami Bruksela zakomunikowała, jak mają głosować, aby kraj mógł dostać szybko pieniądze z unijnego budżetu, a ci i tak uparcie wybrali po swojemu.

W wyborach 3 kwietnia udział wzięło ok. 70 proc. wyborców. Dane o wysokiej frekwencji dawały początkowo opozycji wielką nadzieję. Jej przywódcy liczyli bowiem na to, że to rozczarowani polityką rządu wyborcy masowo ruszyli do urn, aby wyrazić swój sprzeciw. Szybko okazało się jednak, że było odwrotnie. Opozycji nie pomogły ani wojna, ani pandemia, ani przynajmniej teoretyczne zjednoczenie.

Wyborcy masowo głosowali na sojusz konserwatywnego Fideszu i Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Ludowej (KDNP). Poparcie dla rządzącej koalicji było historycznie wysokie: 54 proc. głosów oznacza, że dalsze rządy obozu Orbána wybrało niemal 2,9 mln osób. Politolodzy znad Dunaju podkreślają, że jeszcze nigdy od 1989 r. aż tylu Węgrów nie poparło jednej siły politycznej. Jednocześnie węgierska lewica poniosła niemal największą

porażkę od ponad trzech dekad (z wyjątkiem klęski z 1990 r.). Klęska była tak wielka, że mimo iż na Węgry ściągnięto ponad 900 międzynarodowych obserwatorów – cztery lata temu było ich ok. 150 – opozycja nie grzmi o fałszerstwach, a jedynie przyznaje, że nie potrafi w demokratyczny sposób pokonać Viktora Orbána.

On sam wywalczył czwartą kadencję z rządu i nie tylko obronił konstytucyjną większość, lecz także jeszcze ją powiększył, otrzymując bardzo silny mandat do kontynuowania konserwatywnych rządów. Dodatkowo w referendum w sprawie ochrony dzieci przed ideologią LGBTQ za polityką ograniczenia wpływu gejowskich aktywistów na wychowanie młodych Węgrów opowiedziało się więcej głosujących niż we wcześniejszych plebiscytach w sprawie przystąpienia kraju do NATO i do Unii Europejskiej.

– Odnieśliśmy zwycięstwo tak duże, że widać je z księżycą, a już na pewno z Brukseli. [...] Chrześcijańsko-demokratyczna polityka narodowa wygrała i powinniśmy powiedzieć Brukseli, że to nie jest przeszłość, ale przyszłość – podkreślał w wyborczy wieczór triumfujący premier Węgier. Po czym wymienił wrogów, którzy sprzymierzili się przeciw rządowi węgierskich konserwatystów: węgierską lewicę, lewicę z całego świata, biurokratów w Brukseli, „wszystkie fundusze i organizacje rządzącego imperium”, zagraniczne media oraz prezydenta Ukrainy. A także przyjaciół, w tym Amerykanów, Polaków, Włochów, Hiszpanów, Serbów, Słowaków czy Austriaków.

– Sądzę, że wyborczy sukces Fideszu będzie wzmacniał nasze relacje zarówno z PiS, jak i z Polakami. Bo to przecież jest nie tylko nasz sukces, lecz także sukces Europy Środkowej. Jak to ujął premier Orbán: polityka oparta na wartościach patriotycznych i chrześcijańskich to taki sukces, z którego można czerpać siłę. Dlatego prawdopodobnie zwiększy to szanse na zwycięstwo naszych przyjaciół w całej Europie, zwłaszcza w Polsce – powiedział „Do Rzeczy” w wyborczy wieczór przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Węgier László Kóvér. Podczas rozmowy z grupą polskich dziennikarzy Kóvér zwrócił także uwagę, że zwycięstwo konserwatystów nad Dunajem daje szansę na obronę konserwatywnych wartości przed atakiem europejskiej lewicy także w takich krajach jak Hiszpania czy Włochy. Marszałek węgierskiego parlamentu, odnosząc się do relacji z Ukrainą, podkreślał, że rządzący w Budapeszcie politycy starają się w swym najbliższym otoczeniu szukać przyjaciół, a nie wrogów. Kóvér podkreślił, że Węgry były pierwszym krajem, który uznał niepodległą Ukrainę. – Ukraina była naszym pierwszym sąsiadem, z którym podpisaliśmy umowę o współpracy i przyjaźni. Gdy już po kryzysie krymskim mówiono o zbliżeniu Ukrainy do Unii Europejskiej, to my byliśmy tymi, którzy najgłośniej domagali się zniesienia wiz dla obywateli Ukrainy, to my byliśmy jednym z najgłośniejszych zwolenników Ukrainy w Brukseli – zauważył przewodniczący węgierskiego parlamentu, zaznaczając, że gdy tylko udało się taką decyzję podjąć, Kijów „odwdziczył się”, przyjmując wkrótce po tym ustawę językową, ograniczającą prawa nie tylko mniejszości węgierskiej, lecz także mieszkających na Ukrainie Rumunów, Bułgarów etc. – Lepiej pod tym względem było już w Związku Sowieckim – dodał Kóvér,

zauważając, że rząd w Budapeszcie wspiera Ukraińców i ma nadzieję, że wojna zakończy się jak najszybciej, Ukraińcy będą mieli szansę na wejście do UE, a ukraińskie elity polityczne „przestaną szukać wroga tam, gdzie go nie ma”.

Zelenski już po ogłoszeniu wyników węgierskich wyborów nadal atakował premiera Węgier, podkreślając, że Orbán boi się „wpływu Rosji na jego państwo. Swoją drogą ten wpływ jest, czy mu się to podoba czy nie”. Ogromnego stopnia uzależnienia Węgier od Rosji nie ukrywają rządzący w Budapeszcie, otwarcie tłumacząc, że gdyby Rosja nagle zakręciła kurki z gazem oraz z ropą, na Węgrzech nie byłoby dużo drożej – jak w przypadku wielu państw zachodnich – ale po prostu zabrakłoby gazu do ogrzewania domów oraz produkcji przemysłowej, a na stacjach benzynowych zbiorniki szybko stałyby się kompletnie puste. Prawdopodobnie to z tego powodu Orbán przystał na warunek Putina uiszczenia zapłaty za surowce w rublach.

Podobnie jak w przypadku Niemiec uzależnienie od rosyjskich dostaw nie jest jednak efektem tylko kilku ostatnich lat, ale długoletniej polityki Budapesztu. Dziś Węgrzy chcą jednak zadbać o większą dywersyfikację źródeł surowców. – Potrzebujemy jeszcze ściślejszej współpracy w kwestiach infrastrukturalnych. Potrzebujemy również ogromnych inwestycji w dziedzinie dalszej dywersyfikacji źródeł energii. Skoro to jest kierunek, w którym zmierza Europa, to należy jak najszybciej dokończyć budowę polsko-słowackiego interkontynentu gazowego – powiedział „Do Rzeczy” Zoltán Németh, przewodniczący komisji spraw zagranicznych węgierskiego parlamentu, podkreślając, że po ukończeniu tej inwestycji dostawy LNG trafiające na polskie wybrzeże mogłyby być przesyłane na południe Europy,

w tym do Węgier. László Kövér zauważył zaś, że choć Węgry nigdy nie ingerowały w politykę wewnętrzną innych państw, to w węgierską politykę próbuje wtrącać się coraz więcej państw.

RYZYKOWNA POLITYKA

Wbrew dyplomatycznym zwyczajom zdecydowanego zwycięstwa Orbánowi w wyborach 3 kwietnia pogratulowało rzeczywście niewielu unijnych liderów. 5 kwietnia szefowa Komisji Europejskiej poinformowała zaś, że KE przesłała do Budapesztu oficjalne powiadomienie o uruchomieniu wobec tego kraju tzw. mechanizmu warunkowości. Pani Ursula von der Leyen, uzasadniając tę decyzję, miała stwierdzić, że „problemem na Węgrzech jest korupcja”. Bruksela zdecydowała się zaatakować w tej sprawie Budapeszt, choć z raportu Europejskiego Biura ds. Przeciwdziałania Oszustwom (OLAF) za 2020 r. wynika, że najwięcej dochodzeń OLAF prowadził we Włoszech (13 dochodzeń), a Węgry są na drugiej pozycji ex aequo z Bułgarią oraz z Rumunią (osiem dochodzeń). Jest więc bardzo prawdopodobne, że testowanie mechanizmu warunkowości akurat na Węgrzech nie wynika jedynie z troski europejskiej lewicy o praworządność w Europie.

Unia Europejska nie spieszy się również z pomocą tym krajom członkowskim, które wzięły na siebie większą część ciężaru związanego z przyjęciem ponad 2 mln uchodźców z Ukrainy. Choć według danych opublikowanych w marcu przez „Financial Times” Polska znajduje się obecnie na czwartym miejscu pod względem liczby przyjętych uchodźców i azylantów (rok temu była na miejscu 101.), a Węgry zajmują 31. pozycję (rok temu były 105.), wyprzedzając m.in. Wielką Brytanię (33. miejsce).

Unijny komisarz ds. budżetu Johannes Hahn przekonywał jednak niedawno w Parla-

mentie Europejskim, że jest za wcześnie na wsparcie finansowe dla tych państw. Europosłowie PiS przypomnieli mu więc, że jest wojna, a więc nowy fundusz szybkiej reakcji na sytuację kryzysową jest potrzebny jak najszybciej. Zwłaszcza że kraje Unii Europejskiej wciąż zbyt dużo pieniędzy przekazują na pośrednie finansowanie rosyjskiej maszyny wojennej. Według danych przekazanych przez szefa unijnej dyplomacji Josepa Borrellę od rosyjskiej inwazji na Ukrainę Unia Europejska za surowce energetyczne zapłaciła Rosji 35 mld euro. W tym samym okresie Ukraina otrzymała od UE na zwiększenie możliwości obronnych 1 mld euro.

W wojnie na słowa Orbán prowadzi ryzykowną politykę balansowania między UE a Rosją. Wielu czołowych polityków w Budapeszcie w prywatnych rozmowach stwierdza jednak, że ich zdaniem to

polityka Polski jest ryzykowna, bo wystarczy dobrze zaplanowana prowokacja, aby do wojny w Europie wciągnąć Polskę i jej NATO-wskich sojuszników. – Już teraz w ośrodkach dla uchodźców widzimy ogrom ludzkiej tragedii i dramaty rodzin. Nie chcielibyśmy być zmuszeni do przyjmowania milionów uciekinierów z Polski – mówił „Do Rzeczy” jeden z członków rządu w Budapeszcie. I dodał, że na rozbiściu współpracy polsko-węgierskiej – czy szerzej – partnerstwa Polski, Węgier, Czech i Słowacji od lat zależy największym graczom w Europie Zachodniej. Kraje V4 wspólnie stanowią bowiem istotną siłę gospodarczą i polityczną, która potencjalnie mogłaby powstrzymać lub opóźnić projekt przebudowy Unii Europejskiej składającej się z silnych państw narodowych w Europę federalną ze stolicą w Brukseli lub Berlinie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Z OGROMNYM SMUTKIEM PRZYJĘLIŚMY WIADOMOŚĆ
O ŚMIERCI



MARKA PASIONKA

ZASTĘPCY PROKURATORA GENERALNEGO
WYJĄTKOWEGO CZŁOWIEKA
WSPANIAŁEGO PRZYJACIELA
WYBITNEGO PROKURATORA

RODZINIE I NAJBLIŻSZYM
PRZEKAZUJEMY W TYM TRUDNYM CZASIE
WYRAZY SZCZEREGO WSPARCIA I WSPÓŁCZUCIA

PIERWSZY ZASTĘPCA PROKURATORA GENERALNEGO
PROKURATOR KRAJOWY

ZASTĘPCY PROKURATORA GENERALNEGO
ZASTĘPCA PROKURATORA KRAJOWEGO



Pułk „Azow” jest najbardziej nienawidzoną przez Rosjan ukraińską formacją. To on w 2014 r. nie pozwolił separatystom na zdobycie Mariupola. Dziś też zawzięcie go broni

FOT. LAFARGUE RAPHAEL/ABACA/EAST NEWS

Bohaterowie z brunatną skazą



Maciej Pieczyński

Heroiczni, świetnie wyszkoleni obrońcy Mariupola i wielcy patrioci Ukrainy. A jednocześnie owiani złą sławą radykalni nacjonaliści i rasiści, nie tylko przez Rosjan nazywani neonazistami. Czym są pułk „Azow” i powstały wokół niego ruch?

Nigdy nie wątpiłem w swoich chłopaków. Ale ten heroizm, który oni demonstrują tutaj... Kiedy żołnierze są ranni trzeci, czwarty raz, jednemu amputują palce, drugi jest ciężko ranny odłamkiem, a oni mówią: »Dowódco, jestem gotów iść do walki za parę dni, kiedy znów stanę na nogi«. Trudno to opisać słowami. Oni przejawiają taki heroizm, taką wolę walki! Mają na tyle silną motywację, żeby walczyć dalej [...]. W ich oczach nie widzę strachu, tylko nienawiść – tak w wywiadzie, który przeprowadził z nim znany ukraiński dziennikarz Dmytro Gordon, chwalił swoich podkomendnych mjr Denys Prokopenko, dowódca pułku

„Azow”. Zdecydowanie najsłynniejszej spośród jednostek od ponad miesiąca broniących oblężonego Mariupola.

Z miasta zostały ruiny. Obraz iście postapokaliptyczny. Niczym Warszawa po powstaniu. Brakuje wody i jedzenia. Mieszkańcy i żołnierze mdleją z głodu. Nawet ciężko ranni muszą czasem pić przegotowaną wodę z kaloryferów. Mariupol to dla Rosjan cel strategiczny i symboliczny zarazem. Strategiczny, bo to ostatni punkt oporu nad Morzem Azowskim. Jego zdobycie pozwoli sfinalizować korytarz lądowy pomiędzy Krymem a Rosją. Symboliczny, bo Mariupol, rosyjskojęzyczne miasto w obwodzie donieckim, w 2014 r. obronił się przed „rosyjskim światem”. Z rąk separatystów odbity został właśnie przez azowców. Równanie Mariupola z ziemią jest więc też zemstą Moskwy na mieście i jego obrońcach. Nieprzypadkowo Rosjanie robią wszystko, aby nie dopuścić do ewakuacji ludności cywilnej. A gdy jakiś cywil już się wydostanie i trafi na rosyjski patrol, okupanci sprawdzają, czy nie ma tatuaży charakterystycznych dla żołnierzy „Azowa”...

To najbardziej nienawidzony przez Rosjan ukraiński oddział. Waleczni, świetnie wyszkoleni, ale też owiani złą sławą radykałowie, nazywani „neonazistami” i oskarżani o zbrodnie wojenne nie tylko przez Moskwę.

Pułk „Azow” jest oddziałem Gwardii Narodowej Ukrainy, podległej Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Powstał w maju 2014 r. w Berdiańsku nad Morzem Azowskim jako jeden z wielu batalionów ochotniczych, sformowanych w celu walki z prorosyjskimi separatystami. W czerwcu wyzwolił Mariupol, gdzie założył swoją bazę. W lipcu przejściowo kontrolował całe ukraińskie wybrzeże Morza Azowskiego. Bronił skutecznie Mariupola przed kontrofensywą sił prorosyjskich. Brał udział w walkach w Donbasie, zdobywając wiele mniejszych miejscowości w obwodzie donieckim.

„IDEA NACJI”

Dziś pułk, jako jednostka podległa MSW Ukrainy, oficjalnie nie ma politycznego ani ideologicznego charakteru. W jego szeregach mogą służyć i służą ludzie o różnych poglądach. Powstał jednak jako formacja nierozdzielnie związana z radykalnym ukraińskim nacjonalizmem. A nawet – narodowym socjalizmem. Emblemat pułku podobny jest do „wilczego haka” – niemieckiego symbolu heraldycznego, używanego m.in. przez nazistów. Sami azowcy zapewniają, że takie skojarzenia są nieuprawnione. Według oficjalnej wersji rzekomy „wilczy hak” to tak naprawdę litery I oraz N – nacjonalistyczny, ale nie nazistowski symbol „Idei Nacji”.



Na początku trzon batalionu stanowili aktywiści związani z Automajdanem oraz organizacją Patriota Ukrainy. Automajdan kontrowersji nie wzbudza – było to zrzeszenie kierowców wspierające protesty podczas „rewolucji godności”. Z kolei Patriota Ukrainy to bojówka paramilitarna Zrzeszenia Narodowo-Socjalistycznego. Przywódca obu organizacji – Andrij Biłecky – został też pierwszym dowódcą batalionu, a następnie pułku „Azow”.

Wokół jednostki, walczącej na froncie w Donbasie, formował się ruch społeczny oraz polityczny. W 2015 r. powstał Korpus Cywilny „Azow”, którego zadaniem była „walka z wrogami wewnętrznymi celem oczyszczenia drogi do polityki młodym ludziom oraz ukraińskim patriotom”. Rok później Biłecky, już po odejściu ze stanowiska dowódcy pułku, wraz z innymi weteranami wojny w Donbasie o poglądach nacjonalistycznych założył partię Korpus Narodowy. Kolejnym krokiem było utworzenie Drużyn Narodowych – swego rodzaju ulicznych bojówek, których zadaniami stały się patrolowanie ulic, walka z handlem narkotykami, ochrona małego i średniego biznesu czy propagowanie zdrowego stylu życia.

Ruch azowski jest prężny, sprawnie zorganizowany i zaprawiony w bojach. Jednak o jego sile decyduje znaczenie militarne, nie zaś poparcie społeczne. Co prawda, cieszy się wsparciem jednego ministra, który od zwycięstwa „rewolucji godności” utrzymał się na stanowisku – szefa MSW Arsena Awakowa. Polityczne kontakty i frontowe zwycięstwa nie przekładają się na wyborcze sukcesy. Andrij Biłecky przez jedną kadencję był niezrzeszonym deputowanym do Rady Najwyższej Ukrainy. W 2019 r. kolicja, złożona z Korpusu Narodowego oraz dwóch innych ugrupowań nacjonalistycznych – Prawego Sektora oraz partii Swoboda – zdobyła jedynie 2 proc. w wyborach parlamentarnych. Rok później w wyborach samorządowych na kandydatów startującego oddzielnie KN oddano 0,04 proc. głosów. To dobrze pokazuje, jak wielką manipulacją jest rosyjska narracja o szalejącym na Ukrainie neonazizmie czy faszyzmie.

BRUNATNA GĘBA

A na ile prawdziwa jest brunatna gęba, przypisywana azowcom przez kremlowską propagandę? Przede wszystkim trzeba wyraźnie oddzielić sferę militarną od politycznej. Pułk „Azow” wyrósł na gruncie nacjonalizmu, weterani tej jednostki tworzą nacjonalistyczne organizacje, ale sam od-

ział nie jest dziś żadną partyjną bojówką. Żeby podjąć w nim służbę, trzeba przejść szkolenie wojskowe, a nie ideologiczne.

To jednak nie zmienia tego, że również frontowa działalność azowców nie była pozbawiona kontrowersji. Według raportu ONZ żołnierze tej formacji dopuszczali się zbrodni wojennych, w tym tortur na jeńcach. W Internecie można znaleźć nagranie z 2014 r., przedstawiające jakoby ukrzyżowanie separatysty przez żołnierzy „Azowa”. Jak nietrudno się domyślić, mocno nagłaśniane przez rosyjską propagandę. Dowództwo pułku oświadczyło, że nie ma nic wspólnego z tym wydarzeniem.

O związkach ruchu azowskiego z grupami neonazistów z całego świata informowały również zachodnie media, które trudno posądzać o sprzyjanie Moskwie. Pułk miał werbować ekstremistów, którzy udział w walkach na Ukrainie traktowali jako pożyteczne doświadczenie. Według raportu FBI przedstawiciele ruchu uczestniczyli w szkoleniach białych suprematystów z USA. Z „Azowem” związani mieli być amerykańscy, szwedzcy, a nawet rosyjscy ekstremiści. Zła sława pułku dotarła za ocean. Już cztery lata temu Kongres USA zabronił dostarczania amerykańskiej broni żołnierzom pułku „Azow”. Pojawił się nawet pomysł, by oddział ten wpisać na listę organizacji terrorystycznych. „Osobiście jestem nazistą” – przyznawał w rozmowie z brytyjskim reporterem jeden z azowców o pseudonimie Fantom. To oczywiście nie jest i nigdy nie było oficjalne stanowisko pułku czy też powstałej na jego bazie partii.

„Historyczną misją naszej Nacji [...] jest poprowadzić pod swoim przewodem Białe narody całego świata na ostatnią wyprawę krzyżową w walce o swoje istnienie. To będzie wyprawa przeciwko rządzonym przez Semitów podludziom” – pisał Andrij Biłecky w 2007 r. Dziś odcina się od ówczesnych poglądów i tłumaczy, że jego przydomek – Biały Wódz – pochodzi od nazwiska i nie ma nic wspólnego z poglądami. Oficjalnie Korpus Narodowy nie propaguje otwarcie rasizmu, tylko walkę z nielegalną imigracją.

Nacjonalizm azowców nie ma wiele wspólnego z typowym galicyjskim neobanderyzmem. Ruch narodził się na rosyjskojęzycznym południowym wschodzie Ukrainy. Dla jego twórców rasa (w wersji bardziej poprawnej politycznie – pochodzenie) jest ważniejsza niż język, dlatego nie mają problemu z mówieniem po rosyjsku. Jednocześnie czują się przedstawicielami cywilizacji europejskiej (w wersji mniej poprawnej – aryjskiej). Europejskiej

nie znaczy chrześcijańskiej. Przeciwnie – azowcy sympatyzują z ruchem neopogańskim. Banderę i Szuchewycza uważają za swoich bohaterów (za walkę z Moskwą, nie z Polską), ale odwołują się głównie do czasów Rusi Kijowskiej. Szczególnie tej sprzed przyjęcia chrztu. Kilka lat temu z okazji rocznicy zwycięstwa kijowskiego księcia Światosława nad Chazarami ustanowili w swojej bazie w Mariupolu pomnik Peruna – słowiańskiego boga wojny. Światosław był władcą bardzo wojowniczym i odmówił przyjęcia chrześcijaństwa, za co uwielbiany jest przez współczesnych neopogan. Kult zwycięstwa nad wyznającymi judaizm Chazarami wpisuje się w antysemicki sznyt azowców.

POLSKA JAKO SOJUSZNIK

Ciekawy jest stosunek do Polski i Polaków. Korpus Narodowy sprzeciwił się inicjatywie lwowskiej rady obwodowej, która zaproponowała usunięcie rzeźb lwów z cmentarza Orłat. Azowcom obce są galicyjskie resentymenty do „polskich okupantów”. Z drugiej strony, w odpowiedzi na ukraiński wątek ustawy o IPN zorganizowali manifestację pod hasłem „Nie dla polskich panów”.

Polskę postrzegają jako potencjalnego partnera w ramach postulowanego sojuszu bałtycko-czarnomorskiego, łączącego kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Miałaby to być geopolityczna przeciwwaga dla rosyjskiego imperializmu i zachodniego liberalizmu. Nacjonalizm azowców ma więc charakter bardziej paneuropejski lub rasowy niż ściśle etniczny. Walczą z imperializmem, demokracją, nielegalną migracją i liberalizmem bardziej niż z przedstawicielami konkretnych narodów (w szeregu „Azowa” walczyli nawet Rosjanie o podobnie ekstremistycznych poglądach). Władysław Kowalczyk, studiujący w Polsce przedstawiciel ruchu, świętował urodziny Szuchewycza, by kilka dni później składać kwiaty na pomniku ofiar Wołynia. To typowe podejście azowców – nie chcą odciąć się od OUN/UPA, ale chcą z Polakami współpracować przeciw Rosji i liberałom, wychodząc z założenia, że te dwie postawy są do pogodzenia, bo każdy kraj ma prawo czcić, kogo chce...

Dziś na Ukrainie azowcy nie walczą o supremację białej rasy, ale o niepodległość kraju, którego absolutna większość obywateli nie popiera takich partii jak Korpus Narodowy, za to wspiera żołnierzy broniących ojczyzny.



Czerwona przeszłość kanclerza



Cezary Gmyz z Berlina

Olaf Scholz i Gerhard Schröder jako liderzy młodych socjalistów spotykali się z młodzieżówką z NRD kontrolowaną przez Stasi. Już w latach 80. domagali się wycofania amerykańskich rakiet z RFN. Czy dlatego Niemcy pod wodzą obecnego kanclerza tak ociągają się z pomocą Ukrainie?



Niemcy to kraj, który jak niewiele innych lubuje się w politycznych biografiach. Pozycji opowiadających o życiorysach najważniejszych i mniej ważnych polityków na niemieckich półkach księgarskich jest bez liku. Sam życiorys Merkel był opisywany kilkanaście razy. Tym bardziej dziwi brak bardziej szczegółowych danych biograficznych obecnego kanclerza Olafa Scholza. Jako pierwszy polityczną młodość obecnego szefa rządu Niemiec opisał na łamach tygodnika „Focus” dopiero jesienią ubiegłego roku dr Hubertus Knabe, były dyrektor naukowy Miejsca Pamięci Berlin-Hohenschönhausen, byłego więzienia Stasi na przedmieściach niemieckiej stolicy. Tekst pokazał ścisłą kooperację Scholza z młodzieżówką NRD-owskiej partii komunistycznej FDJ oraz z Egonem Krenzem, nadzorcą Stasi z SED, na której czele stał Erich Honecker. Odkrycia poczynione przez Knabego w komunistycznych archiwach zostały przemilczane przez media niemieckie. A szkoda, bo jak rzadko która publikacja rzucają światło na dzisiejsze decyzje Scholza w sprawie konfliktu na Ukrainie.

Niezwykle ważny w tej sprawie jest kontekst historyczny. W 1978 r. Stany Zjednoczone na terenie Republiki

Federalnej zaczęły umieszczać rakiety Pershing i Tomahawk mogące przenosić ładunki jądrowe i razić cele na terenie Związku Sowieckiego. Był to jeden z kluczowych momentów wyścigu zbrojeń. Sowieci bowiem w tym samym czasie na terenie NRD zaczęli umieszczać swoje pociski jądrowe – rakiety SS-20.

Rozmieszczenie rakiet amerykańskich obudziło w Niemczech tzw. ruchy pokojowe, które – jak wiemy dziś – w dużej mierze były wspierane przez I zarząd KGB, czyli sowiecki wywiad cywilny, ale również przez „razwiedkę” wojskową, czyli GRU. Wiele tych działań było prowadzonych właśnie za pośrednictwem lojalnej wobec sowieckich czekistów Stasi oraz SED i jej młodzieżówki. Wszystkie te podmioty łączy właśnie osoba Egona Krenza, który będąc osobą numer dwa w NRD-owskiej SED, nadzorował z ramienia kompartii zarówno Stasi, jak i FDJ.

W 1980 r. Związek Sowiecki zaatakował Afganistan, ówczesny prezydent USA Jimmy Carter wezwał z tego powodu do bojkotu igrzysk w Moskwie. W Polsce rozpoczęła się rewolucja Solidarności zdławiona po kilkunastu miesiącach przez Jaruzelskiego. Na czele rządu Niemiec stał Helmut Schmidt, który co prawda z ulgą przyjął wprowadzenie sta-

nu wojennego w Polsce, jednak w Republice Federalnej uchodził za zwolennika współpracy z Amerykanami.

SPOTKANIE MŁODZIEŻÓWKI

Współpraca młodzieżówki SPD znanej jako Jusos, czyli młodzi socjaliści, ze wschodnimi towarzyszami rozpoczęła się 23 maja 1980 r. Wtedy doszło do historycznej wizyty szefa FDJ Krenza w RFN. Podejmowany był przez samego przewodniczącego Jusos, czyli Gerharda Schrödera, późniejszego kanclerza, a dzisiejszego przyjaciela Władimira Putina i pracownika Gazpromu. Numerem dwa w młodzieżówce SPD jest wówczas młody student prawa z Hamburga – Olaf Scholz. Młodzi komuniści z NRD postanawiają nawiązać współpracę z młodymi socjalistami z Zachodu. Dlaczego jest to ważne? Przecież bardziej naturalnymi partnerami dla FDJ powinny być działające na Zachodzie bratnie organizacje komunistyczne. Jusos są jednak dla niemieckich komunistów ważniejsi z jednego podstawowego powodu – są przyszłością władzy, którą jest rządząca wówczas SPD, na czele z kanclerzem Helmutem Schmidtem. A co ważniejsze – kierownictwo Jusos jest silnie skonfliktowane ze starymi z SPD.



Kancelerz Niemiec Olaf Scholz

FOT. ANDREAS RENTZ/GETTY IMAGES



Tutaj konieczne jest wyjaśnienie. Zachodnim socjalistom zawsze było bliżej do tego nurtu niemieckiej lewicy, który odwoływał się do historycznego założyciela ruchu lewicowego w Niemczech, czyli Ferdinada Lassalle'a, krytycznego wobec marksizmu. W SPD istniało już wówczas jednak skrzydło pod nazwą Stamokap, wprost odwołujące się do marksizmu. I jego podporą był właśnie dzisiejszy kanclerz Niemiec.

Wkrótce po wyborze do zarządu Jusos, w partyjnym biuletynie Scholz pisał zdania żywcem niemal zaczerpnięte ze słownika marksistowskiej nowomowy – „zbrojenia i niebezpieczeństwo wojny są nieodzownymi skutkami ubocznymi imperializmu, dlatego trwałe utrzymanie pokoju jest możliwe jedynie wtedy, kiedy kapitalistyczny system społeczny zostanie zastąpiony socjalizmem”. Wtedy to również w Jusos żywo była dyskutowana kwestia wystąpienia Republiki Federalnej z NATO. Nie trzeba chyba zbyt długo rozwodzić się nad tym, że taki scenariusz byłby spełnieniem marzeń już nawet nie komunistów z NRD, ale wprost Kremla.

WIZYTA W NRD

W 1983 r. Olaf Scholz, już jako szef Jusos z namaszczenia Gerharda Schröde-

ra, który przeszedł do dorosłej polityki, udał się z wizytą do NRD. Na obozie FDJ zorganizowanym w uroczym miasteczku Werder nieopodal Poczdamu agitatorzy urządzali towarzyszom z RFN regularne pranie mózgu. Choć obóz miał też swoje bardziej rozrywkowe oblicze w postaci wycieczek, dyskotek czy wspólnych wizyt w saunie.

W listopadzie 1983 r. Bundestag zatwierdził instalację nowych amerykańskich rakiet. Już dwa miesiące później Scholz przybył do Berlina Wschodniego na zaproszenie szefa FDJ Eberharda Auricha. Wizycie młodego polityka z Zachodu nadano zupełnie wyjątkową oprawę. Scholz został podjęty przez samego Egona Krenza, co relacjonował główny program informacyjny NRD „Aktuelle Kamera”. Następnego dnia Scholz figurował na czołówce organu partii komunistycznej „Neues Deutschland” pod portretem Ernsta Thälmann – człowieka, którego przedwojenne SPD określało jako socjalfaszystę.

Stasi, podsumowując wizytę Scholz, skonstruowała z zadowoleniem, że nie wyrażał on sprzeciwu wobec rozmieszczania rakiet sowieckich na terenie NRD. „Członek delegacji Olaf Scholz, odpowiadając na pytanie o stanowisko Młodych Socjalistów w sprawie rozmieszczenia rakiet sowieckich w NRD, stwierdził, że SPD ma stanowisko przeciwko rozmieszczaniu rakiet amerykańskich w RFN, nie ma natomiast takiego stanowiska w kwestii rozmieszczania pocisków sowieckich” – odnotowano.

Po tej wizycie współpraca między FDJ a Jusos rozkwitła. W samym tylko roku 1984 delegacje obu organizacji granicę wewnątrzniemiecką przekraczały aż sześciokrotnie.

Kulminacyjnym punktem tej współpracy była rewizyta Auricha w Bonn 17 grudnia 1984 r. Wówczas obie organizacje wydały wspólny komunikat wzywający do „natychmiastowego zaprzestania rozmieszczania rakiet”. Oczywiście chodziło wyłącznie o rakiet amerykańskie w RFN. Młodzi komuniści pospołu z młodzieżówką SPD domagali się też demontażu już istniejących systemów rakietowych.

Aż do upadku komunizmu współpraca Jusos z FDJ była bardzo intensywna. Odbyło się aż dziewięć spotkań na najwyższym szczeblu. Nic dziwnego, że w 1988 r. w poufnej analizie FDJ znalazł

się fragment mówiący, że „Jusos stali się partnerami FDJ w walce o pokój”.

POD NADZOREM STASI

Wizyty Scholz w NRD, jak ujawnił niedawno dziennik „Bild”, odbywały się pod ścisłym nadzorem Stasi, która szpiegowała młodzieżówkę SPD, i to także za pomocą swojej agentury ulokowanej na Zachodzie. Podczas wizyt Scholz w Berlinie Wschodnim Stasi rekomendowała traktowanie go przez NRD-owskie służby z największą atencją. Zachowała się jedna z instrukcji dla placówki NRD-owskiej straży granicznej na osławionym przejściu granicznym przy Friedrichstrasse



Olaf Scholz na kongresie młodych socjalistów w Bad Godesberg, kwiecień 1984 r. FOT. GLADSTONEHH/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

określanym dosadnie jako Pałac Łez:

„Wizę do Berlina wydać bezpłatnie, zwolnić z obowiązkowej minimalnej wymiany, odprawić uprzejmie, bez kontroli celnej”.

Podczas innych wizyt u NRD-owskich towarzyszy Scholz już nie musiał korzystać z przejścia w Pałacu Łez, co nawet przy uprzejmym traktowaniu mogło być przykrym doświadczeniem. Towarzysze ze wschodu wyrazili zgodę, by korzystać z przejścia dla dyplomatów na moście Bösego (Bösebrücke), który pełnił podobną funkcję jak poczdamski most szpiegów Glinickebrücke.

Z ustaleń „Bild” wynika, że sporządzone przez Stasi i jej wywiad HVA raporty na temat Scholz były przekazywane do centrali KGB w Moskwie. Oryginały tych raportów, które były przechowywane w archiwum Stasi, zostały zniszczone, kiedy upadł mur berliński. Dziennikarze natomiast są przekonani, że wciąż są przechowywane w Moskwie.



Jakub Wozinski

Znaczny wpływ na polski rynek paliwowy uzyska niedługo Saudi Aramco – firma tak potężna, że opiera się nawet polityce zeroemisyjności

W ramach planowanej fuzji Orlenu i Lotosu aż 30 proc. akcji Rafinerii Gdańskiej i cały sektor paliw lotniczych mają zostać przejęte przez największą firmę nie tylko Arabii Saudyjskiej, lecz także całej Azji. Polskie państwo, szukając sposobu na uniezależnienie się od rosyjskich dostaw, postawiło na dostawcę, który do tej pory nie interesował się naszą częścią Europy, lecz biorąc pod uwagę jego dotychczasową historię, może wykorzystać uzyskany przyczółek do dalszej ekspansji. Jeśli cała operacja przejęcia zostanie ostatecznie zaakceptowana, to do Polski będzie trafiać nawet 200–337 tys. baryłek ropy dziennie, co będzie stanowiło aż 45 proc. całego zapotrzebowania nowej Grupy Orlen.

PAŃSTWO W PAŃSTWIE

Stwierdzenie, że Saudi Aramco stanowi w kraju rządzonego przez dynastię Saudów swoiste „państwo w państwie”, wydaje się niewystarczające, gdyż na dobrą sprawę na jego działalności opiera się cała saudyjska gospodarka. Pod względem kapitalizacji zajmuje trzecie miejsce na świecie, a kolejne na liście największych przedsiębiorstw saudyjskie podmioty są od niego dziesięciokrotnie mniejsze. Od dekad firma stanowi główne źródło przychodu domu królewskiego, a w celu zapewnienia odpowiednich warunków do rozwoju czyniono dla niej zawsze znaczne ustępstwa od sztywnych zasad muzułmańskiej i arabskiej obyczajowości. W samym tylko 2020 r. firma wypłaciła saudyjskiemu skarbowi państwa dywidendę w wysokości 75 mld dol. (przy rocznych przychodach budżetowych wynoszących ok. 220 mld dol.). Gdy tylko wymagała tego sytuacja, arabskie państwo wielokrotnie obniżało naftowemu gigantowi podatki, gdyż od jego kondycji finansowej zależy stan całego państwa.

Tak wielkie uzależnienie od jednego podmiotu gospodarczego jest ewene-



Saudyjski gigant w Polsce

mentem na skalę światową. Sprawujący realnie władzę następca tronu książę Muhammad ibn Salman dostrzega jednak związane z tym ryzyko i dlatego od dłuższego czasu stara się zdywersyfikować strukturę rodzimej gospodarki, inwestując w nowe branże. W tym celu został powołany jeszcze w latach 70. Fundusz Inwestycji Publicznych, któremu Saudi Aramco przekazało niedawno aż 4 proc. swoich akcji. Tak znaczny zastrzyk aktywów pozwoli zapewne na dokonanie kolejnych zakupów (niedawno nabyto m.in. 30 proc. akcji we włoskim producencie luksusowych aut Pagani).

Saudyjski książę realizuje ponadto od dłuższego czasu wielki plan uniezależnienia od ropy i gazu pod nazwą „Wizja 2030”. W jego ramach Arabia Saudyjska ma przejść wielką metamorfozę społec-

ną, opartą m.in. na rozwoju turystyki, sektora finansowego, przedsiębiorstw prywatnych oraz budowie nowoczesnego, opartego na najnowszych technologiach miasta ze strefą biznesu nad Morzem Czerwonym. Projekt o nazwie „Nowa Przyszłość” ma kosztować nawet 0,5 bln dol.

Futurystyczna wizytówka saudyjskiego państwa ma spełniać wszelkie wymogi ekologizmu. Na razie jednak Saudi Aramco bierze kwestie związane z walką z globalnym ociepleniem w bardzo głęboki nawias. Rząd z Rijadu przedstawił wprawdzie Organizacji Narodów Zjednoczonych plan, w ramach którego zobowiązał się do zainwestowania w ochronę klimatu nawet 187 mld dol. do 2030 r., a nawet obiecał posadzić w ciągu dekady 10 bln drzew (co w warunkach pustyn-



Stanowisko reprezentowane przez Saudyjczyków najwidoczniej nie szokuje nikogo na światowych salonach, o czym świadczył najlepiej debiut giełdowy Saudi Aramco sprzed trzech lat, który przyniósł zarobek 29,4 mld dol. i stanowi do tej pory rekord w dziejach wszystkich giełd (pomimo tego, że na sprzedaż trafiło 2 proc. akcji). Mało tego, niedawno kierownictwo saudyjskiego giganta powiadomiło, że planuje niedługo udostępnić do publicznej sprzedaży kolejny skromny pakiet akcji, za który spodziewa się otrzymać ok. 50 mld dol. Jak widać wyraźnie, przekonanie o rychłej katastrofie klimatycznej i konieczności wdrożenia polityki zeroemisyjności wśród inwestorów z całego świata nie jest zbyt silne.

Saudi Aramco to najbardziej dochodowe przedsiębiorstwo świata (150 mld dol. zysku w ubiegłym roku) i wiele wskazuje na to, że będzie tak jeszcze przez długi czas. Władze firmy nieustannie zwiększają nakłady inwestycyjne, gdyż wiedzą dobrze, że pomimo usilnie promowanej dziś polityki zrównoważonego rozwoju świat będzie potrzebował ropy praktycznie zawsze, a wielkim atutem Arabii Saudyjskiej są niezwykle niskie koszty wydobycia.

Jeszcze przed wybuchem wojny decyzja o tym, aby zainwestować w Polsce, odbierana była na świecie jako śmiałe wejście w strefę wpływów Rosji. Moskwa z pewnością nie ucieszyła się z planów Orlenu, lecz upatrywanie w Arabii Saudyjskiej naturalnego wroga państwa rządzonego przez Władimira Putina byłoby zwyczajnym nieporozumieniem.

Jeszcze dwa lata temu, gdy cały świat został zamknięty w ramach lockdownów, a cena ropy gwałtownie spadła, między Arabią Saudyjską a Rosją wybuchł prawdziwy konflikt. Rosja nie chciała się dogadać z krajami OPEC i odpowiednio zmniejszyć wydobycia cennego surowca. Konflikt ten wyciszył się jednak w naturalny sposób wraz ze stopniowym odmrożeniem gospodarek i wzrostem światowego popytu. Tarcie między naftowymi gigantami zdążyło wprawdzie wywołać duże spadki na giełdach, lecz nie stało się przyczyną trwałych animozji. Wręcz przeciwnie, w ostatnich tygodniach Saudowie irytowali USA i cały Zachód brakiem jednoznacznej krytyki rosyjskiej agresji. Doszło wręcz do tego, że książę ibn Salman odmówił rozmowy z Joe Bidenem, choć zaledwie tydzień

wcześniej rozmawiał z Władimirem Putinem. Amerykański prezydent musi wciąż występować w roli petenta, gdyż bez zwiększenia przez Arabię Saudyjską wydobycia ropy naftowej prawdziwe uderzenie w rosyjską gospodarkę nie będzie w pełni skuteczne.

LAWIRUJĄCY SOJUSZNIK

Przez wiele dekad Arabia Saudyjska uchodziła za jednego z najważniejszych sojuszników Stanów Zjednoczonych, gdyż bez amerykańskich firm (przede wszystkim Bechtela) i know-how Saudi Aramco nigdy nie zdobyłoby tak silnej pozycji. Obecnie Saudowie zachowują się jednak czasami tak, jak gdyby Amerykanie byli zaledwie jednymi z wielu partnerów. Kilka tygodni temu Rijad oświadczył nawet, że rozważa poważnie przejście w dostawach ropy dla Chin na rozliczenia w juanach. Gdy z USA odezwały się głosy oburzenia, Arabia Saudyjska zapewniła, że oczywiście nie zamierza rezygnować z dominującej pozycji dolara.

W Stanach Zjednoczonych usłyszeć można coraz więcej głosów krytycznych pod adresem Saudów, gdyż ich odmowa współpracy w zakresie obniżki ceny ropy dała o sobie znać jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie. Arabia Saudyjska odmówiła prośbie Joe Bidena, aby zwiększyć wydobycie, jeszcze zanim rosyjskie czołgi ruszyły na Charków, i do dziś konsekwentnie trzyma się swojego stanowiska. W ostatnim czasie zyskała nadto dla swojej postawy ważny pretekst, gdyż za sprawą ataku jemeńskich rebeliantów Houthis w saudyjskiej Dżuddzie wybuchł wielki pożar terminalu należącego do Saudi Aramco. Saudowie twierdzą, że w jego następstwie zwyczajnie nie są w stanie zwiększyć wydobycia.

Nagłe zerwanie z dostawami ropy naftowej z Rosji sprawiło nieoczekiwane, że Polska może z miesiąca na miesiąc uzależnić się w znaczącym stopniu od nowego źródła. Współpraca z Saudi Aramco nie niesie ze sobą oczywiście tego samego ryzyka co dostawy gazu od Gazpromu, lecz oparta na lawirowaniu między światowymi potęgami polityka Saudów powinna być nad Wisłą bacznie obserwowana. Rijad wysłał w ciągu ostatnich kilku lat zbyt wiele sygnałów świadczących o tym, że zamierza współpracować z Moskwą i Pekinem bez względu na to, co myślą o tym zachodni sojusznicy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Made in Poland



Luksusowy katamaran 80 Sunreef Power niedawno w Polsce zamówił gwiazdor tenisa Rafael Nadal FOT. SUNREEF YACHTS

Nie jest dla nas niczym niezwykłym, że największe polskie firmy są na świecie rozpoznawalne. Każdy wie, że np. Orlen ma też stacje poza granicami kraju. Zdajemy sobie także świetnie sprawę z tego, że mamy takie gwiazdy jak CD Projekt – producenta gier komputerowych, w tym najgłośniejszej serii „Wiedźmin”, będącej globalnym przebojem. Wiemy też, że takie spółki jak LPP od lat sprzedają ubrania w wielu butikach na globie. Są jednak i mniejsze firmy, których towary i marka w konkretnych branżach stanowią światowy wyróżnik jakości. Jak to im się udało?

GITARY Z GDAŃSKA

Jeśli zapytacie zawodowych gitarzystów czy basistów o sprzęt z najwyższej półki, wśród wymienianych legendarnych marek takich jak Fender, Gibson, Ibanez, Jackson jednym z nich wymienią też polsko brzmiącą nazwę Mayones.



Łukasz Zboralski

Na świecie znane są nie tylko wielkie polskie koncerny. Rozchwytywane są też produkty małych firm, które wyspecjalizowały się w niektórych branżach. Oto potęga, z której czasem nie zdajemy sobie sprawy

To gitary produkowane w Gdańsku przez niewielką rodzinną firmę. Gdyby zaczęli dziś, mieliby Facebooka, nazwaliby się start-upem i pewnie zbieraliby pieniądze na pierwszy projekt. Zaczynali jednak w 1982 r. i pierwsze gitary strugali w przydomowym garażu. Tak się zaczęła wieloletnia przygoda – w tym roku firma obchodzi już 40-lecie – Zenona i Haliny Dziewulskich. Pani Halina prowadzi ją obecnie wraz z synami.

Sami opowiadali, jak trudny był start w siermiężnym PRL. Brakowało przecież wszystkiego. Magnesów do przetworników

gitarowych (to w nich struny wzbudzały dźwięk, który potem jest przesyłany kablem do wzmacniacza) wydłubywali z... zamków do szafek meblowych. Wprost ogołocali z tych elementów sklepy żelazne w Trójmieście.

Przetrwali do czasu, gdy w latach 90. otworzyły się zachodnie rynki i powstały nowe możliwości. Dzisiejsi 40-latkowie, którzy wtedy otrzymywali od rodziców pierwszy sprzęt, bardzo często dostawali właśnie mayonesy czy zaki (taką markę Dziewulscy stworzyli specjalnie na eksport). Na rodzimym rynku ścigali



się wtedy z innym lutnikiem z Pomorza – Zdzisławem Langowskim, który sprzedawał gitary Presto Lang.

A potem – jak w wielu branżach – wszystko się zmieniło. Polska po przemianach ustrojowych nie zapanowała (albo nie chciała zapanować) nad wypuszczeniem na rynek produktów z Azji. Z nimi cenowo konkurować było już nie sposób. Mayones od dawna robił też jednak sprzęt z aspiracjami, więc ostatecznie zajął się produkcją gitar z najwyższej półki.

Dziś Mayones to gitary dla profesjonalnych muzyków i bardzo bogatych amatorów. Wyszukane kawałki egzotycznego drewna, najlepsze podzespoły, zaskakujące lakierowanie (włącznie z fluorescencyjnym) i wciąż staranna ręczna robota. To powoduje, że za taką gitarę zapłacić trzeba kilkanaście tysięcy złotych.

Youtuberzy testujący sprzęt na świecie na swoich filmikach nie mogą się nachwalić tych polskich produktów. Najmocniejszy dowód siły marki to jednak muzycy, którzy na gdańskich gitarach tworzą. Na gitarze Mayones gra m.in. basista legendarnego hardrockowego zespołu Scorpions – Paweł Mąciwoda. Gdyby ktoś myślał, że Polak może akurat sprzyjać rodzimej firmie, to jest mnóstwo innych przykładów. Sprzęt Mayonesa ma też Nathan East, basista grający z Erickiem Claptonem, czy Wes Borland, gitarzysta jednej z największych gwiazd amerykańskiego nu metalu – Limp Bizkit.

Na rynku gitar z najwyższej półki rozpycha się więcej Polaków. Stosunkowo szybko uznanie zdobyła marka – również z Pomorza, bo z Pruszcza Gdańskiego – o wdzięcznie brzmiącej nazwie Skervesen. Firma Jarosława Konkola w obecnym kształcie funkcjonuje dekadę, a gitary w niej produkowane – także kosztujące po kilkanaście tysięcy złotych – znane są już muzykom wielu krajów świata.

WZMACNIACZE Z WROCŁAWIA

Polska jest miejscem, gdzie profesjonalni gitarzyści mogą się zresztą zaopatrzyć w kompletny sprzęt do występów na scenie. Bo oprócz gitar mamy też firmy produkujące high-endowe wzmacniacze. Firma Laboga z Wrocławia zaczynała nieco wcześniej niż gdański Mayones. Adam Laboga (zmarł cztery lata temu, dziś firmę prowadzi jego potomkowie) opowiadał, że wzmacniacze zrobił sobie sam, bo w PRL taki sprzęt był nieosiągalny. – Mając 14 czy 15 lat, tak jak każdy młody człowiek grałem w zespole – wspominał Laboga

Na gitarach wykonanych przez polskich lutników z Gdańska gra m.in. basista legendarnej grupy Scorpions

w filmie dokumentalnym „Laboga. Piecyki z Wrocławia”, który można obejrzeć na YouTube. – Na rynku nic nie było. Zrobiłem wzmacniacz i okazało się, że fajnie gra. Następne wzmacniacze wymieniałem: za rower, za gitarę Jolana. Okazało się, że umiem coś robić dobrze, i zaczęła się produkcja.

Po pokonywaniu trudności socjalizmu – np. butapren musiał zamawiać przez znajomego szewca – przyszły lata przemian ustrojowych, kiedy mierzył się z innymi problemami. Pewnego dnia spalił się cały jego przydomowy zakład. Te wszystkie kłopoty nigdy go nie zatrzymały. Pierwszy w kraju zaczął robić tanie wzmacniacze dla nastolatków, którzy dopiero zaczynali grać. Kultowe małe wzmacniacze LR-1 były tanie, ale grały świetnie i do dziś można kupić je w sieci. To skończyło się pod koniec lat 90., gdy polski rynek zalała chińszczyzna. Wówczas Laboga zajął się sprzętem z najwyższej półki.

I tak jeden człowiek z powodzeniem zaczął konkurować z gigantycznymi fabrykami z Zachodu czy USA, które miały wyrobione marki i całe działy rozwoju technolo-

gicznego. Udało mu się. Sprzęt z Wrocławia został doceniony nie tylko w Europie, lecz także w Stanach czy Japonii. „Piecyki” z tym logo mają nie tylko największe gwiazdy polskiej sceny – Jan Borysewicz, Nergal, Lech Janerka, Jerzy Styczyński, Wojciech Piliński – lecz także zagraniczne gwiazdy, m.in. z kapel Annihilator czy Hate Eternal.

Dziś firmę Laboga prowadzi syn Adama – Eryk, który do high-endowych wzmacniaczy w cenach od kilku do kilkunastu tysięcy złotych dołożył też ofertę kabli.

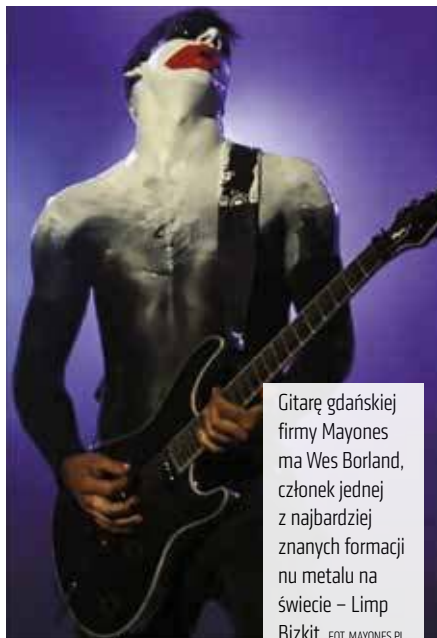
LUKSUS NA WODZIE

Polacy wyspecjalizowali się również w produkcji luksusowych jednostek pływających. Jachty to na świecie wręcz znak rozpoznawczy naszego kraju. Jak wskazywał w ubiegłym roku „Tygodnik Gospodarczy Polskiego Instytutu Ekonomicznego”, jesteśmy dziś ósmym na świecie i piątym w Europie eksporterem jachtów oraz innych rekreacyjnych i sportowych jednostek pływających.

Polskie stocznie produkują rocznie ok. 22 tys. jachtów motorowych i żaglowych. To zarówno luksusowe jachty, jak i jednostki dla początkujących żeglarzy. Prawie wszystkie trafiają do zagranicznych klientów – 95 proc. produkcji przeznaczone jest na eksport. Polskie jachty kupują głównie Niemcy, Amerykanie i Francuzi, choć zamówienia są także z Turcji, Kanady, Australii, Chin, Japonii czy krajów Bliskiego Wschodu.

Te biznesy też powstawały mozolnie od kilku dekad. Tak jak Delphia Yachts, którą w Olecku w 1990 r. założyli dwaj bracia – Piotr i Wojciech Kotowie. Rozpoczynali od produkowania łódek na wiosła, potem zaczęli produkować jachty. I zdobyli uznanie na żeglarskim rynku. Firma rozwinęła się tak, że zatrudniała prawie tysiąc osób i rocznie sprzedawała za ponad 100 mln zł. Okazała się łakomym kąskiem dla światowych graczy i cztery lata temu została sprzedana grupie Benetau – globalnemu liderowi w produkcji łodzi z Francji.

Inna firma jachtowa od początku ma francuskie korzenie, bo Sunreef Yachts w Gdańsku w 2002 r. utworzył Francuz Francis Lapp. Przedsiębiorstwo jest jednym z najbardziej znanych na świecie producentów luksusowych katamaranów. Trzy lata temu katamaran za ok. 20 mln zł w Gdańsku sprawił sobie gwiazdora tenisa Rafaela Nalda. Zakochał się w takiej łodzi, gdy spędził wakacje na wycararterowanym modelu 80 Sunreef Power.



Gitarę gdańskiej firmy Mayones ma Wes Borland, członek jednej z najbardziej znanych formacji nu metalu na świecie – Limp Bizkit. FOT. MAYONES.PL



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Żądać pomocy czy nie żądać?

Zawsze miło usłyszeć, że w jakiejś sprawie potężne Niemcy sobie nie radzą, a słabsza od nich Polska sobie radzi, nieprawdą? Właśnie doświadczamy tego mile łechzczącego narodową dumę wrażenia niemal każdego dnia.

Oto bowiem, choć do Niemiec trafiła do tej pory niewielka liczba uchodźców z Ukrainy – w porównaniu z Polską – to właśnie z Niemiec co rusz dochodzą głosy, że państwo to jest już na skraju możliwości, jeśli idzie o przyjmowanie przybyszów. A Polska wydaje się w swym humanitarnym odruchu niepokonana – Polska, która przyjęła już 2,5 mln uchodźców, bez namysłu fundując im bezpłatnie naukę i opiekę zdrowotną oraz świadczenia socjalne – jakby dysponowała niewyczerpanymi pokładami sił i pieniędzy podatników.

Ba, z ust szefa PiS usłyszeliśmy: „Nie chodzimy po prośbie. Oczywiście uważamy, że należy nam się jakaś pomoc, ale po prośbie nie chodzimy. Jesteśmy państwem w zupełnie dobrej kondycji, przeszło trzy razy bogatszym niż na początku lat 90. i przeszło trzy razy bogatszym niż Ukraina, licząc na głowę mieszkańca”.

I właśnie w związku z tym rodzi się pytanie: Czy obowiązkiem polityków – wobec obywateli własnego państwa – jest składanie tego typu deklaracji czy – przeciwnie – twarde domaganie się od innych państw pomocy finansowej, i to – jeśli zajdzie potrzeba – liczonej w ciężkich miliardach euro lub dolarów –

na wsparcie dla tych uchodźców, którzy dotarli do danego państwa, uciekając przed wojną, i postanowili pozostać na jego terytorium, na razie nie podejmując pracy, która pozwoliłaby się im utrzymać?

Innymi słowy: Czy politycy nieżądający pomocy, ba, otwarcie odrzucający (z takich czy innych przyczyn) zwrócenie się o pomoc do innych państw, zachowują się właściwie? Właściwie z punktu widzenia interesu obywateli państwa, które reprezentują? I – dla odmiany – czy ci politycy, którzy otwarcie żądają tej pomocy – np. politycy ukraińscy, wprost i niezwykle ostro domagający się od całego świata wszelakiego wsparcia – zachowują się niewłaściwie? Niewłaściwie z punktu widzenia interesu obywateli państwa, które reprezentują?

Myślę, że odpowiedź na to pytanie jest oczywista, i dlatego z zadowoleniem przyjąłem wyrażone przez szefa rządu PiS – wobec szefa Parlamentu Europejskiego – żądanie, aby wszystkie państwa UE finansowały pomoc dla uchodźców z Ukrainy. Choć – z drugiej strony – wskazane przez niego 1 tys. euro na uchodźcę może się okazać dalece niewystarczające – zważywszy na rozmiary wsparcia obiecanego ukraińskim uchodźcom przez rząd Polski; cały wydatek polskich podatników na ten cel analitycy Banku Pekao SA oszacowali na aż 24 mld zł w 2022 r. i 24 mld zł w 2023 r. – czyli mniej więcej na tyle, ile potrzebujemy w tym czasie na wzmocnienie naszej armii. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

W rytmie obertasa

Analitycy Banku Pekao S.A. uznali, że polityka surowcowa, prowadzona już od dłuższego czasu przez Rosję, odpowiada za jedną trzecią inflacji w Polsce. Nie napisali niestety, w jakim stopniu rząd odpowiada ich zdaniem za pozostałe dwie trzecie.

Nie trafiłem jeszcze na analizę ekonomiczną, która oceniałaby całościowo stan polskiej gospodarki, wzięwszy pod uwagę najważniejsze negatywne (i pozytywne, o ile jakieś są) czynniki. A mamy taki zbieg impulsów negatywnych, jakiego w historii III RP jeszcze nie było nigdy.

Dużej części negatywnych czynników mogłoby nie być, gdyby nie strategia gospodarcza państwa

Oto tylko najważniejsze: jednostronna decyzja o embargu na rosyjskie surowce, co nieuchronnie oznacza duże podwyżki cen gazu, benzyny i węgla (głównie używanego jako opał); idące za tym rosnące problemy wielu branż, gdzie ceny gazu i paliw są kluczowe; pewne dalsze radykalne podwyżki stóp procentowych, czego skutkiem będą ogromne problemy kredytobiorców; presja płacowa, wynikająca z coraz bardziej rozpędzającej się inflacji, co z kolei napędza inflację; konieczność wyłożenia większych pieniędzy na

zbrojenia; brak jakichkolwiek ograniczeń po stronie rządu, gdy idzie o wydatki socjalne; ogromne koszty przyjmowania uchodźców (szacowane na 24 mld zł tylko w tym roku) przy – na razie – braku wsparcia z zagranicy; kurczące się dochody samorządów w związku z obniżkami podatków, wynikającymi z Polskiego Ładu; obciążające przedsiębiorców skomplikowanie przepisów wskutek wejścia w życie Polskiego Ładu; spadek inwestycji związany z tym, że Polska staje się krajem przyfrontowym; powiązana z tym samym czynnikiem deprecjacja złotego wobec głównych walut; przytłoczenie wielu biznesów sytuacją wojenną w momencie, gdy dopiero zaczęły się wydobywać z covidowego dołka.

Dużej części tych czynników mogłoby nie być, gdyby nie strategia gospodarcza państwa. RPP mogła nie czekać z choćby lekkim podnoszeniem stóp procentowych – nie mielibyśmy dziś setek tysięcy osób, które wzięły kredyty w momencie, gdy stopy procentowe były bliskie zeru, a teraz nie miałyby już zdolności kredytowej. Można było nie mącić Polskim Ładem. Można było nie rozkręcać polityki socjalnej. Można było wreszcie uwarunkować sposób przyjmowania w Polsce uchodźców (nie samo ich przyjmowanie, bo do tego jesteśmy zobowiązani) od zagranicznej pomocy na ten cel. Dziś za późno. Płyniemy na lodową ścianę jak rozpędzony „Titanic”, a orkiestra zamiast religijnej pieśni gra skoczego obertasa. ©

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl

NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl

www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl ff6ce59dde

TEST „DO RZECZY”: INTELIGENTNA KAMERA WEWNĘTRZNA EZVIZ C6N 2K 4MP

Kompaktowe rozmiary, łatwość obsługi, szczegółowy obraz w rozdzielczości 1920 x 1080, obrotowy obiektyw z funkcją automatycznego wykrywania obiektów, możliwość prowadzenia dwukierunkowej rozmowy oraz bardzo dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety kamery wewnętrznej renomowanej marki Ezviz.

Policja alarmuje, że w ostatnich miesiącach mocno nasiliły się pospolite kradzieże. Również włamywacze chętnie wykorzystują to, że część firm po pandemii wprowadziła już hybrydowy tryb pracy i niektórzy pracownicy znów więcej czasu spędzają w biurach niż w domach. W pilnowaniu majątku przed niechcianymi gośćmi, a także w sprawowaniu pieczy nad

pozostawionymi w mieszkaniu dziećmi, psami czy kotami pomagają inteligentne kamery. Oferują one nie tylko możliwość podglądania z dowolnego miejsca na ziemi, co akurat dzieje się w domu, lecz także dzięki zastosowaniu sztucznej inteligencji mogą wysyłać komunikaty o wykryciu osób, ignorując jednocześnie np. ruch powiewających na wietrze firanek.

Testowana kamera to dyskretnie wyglądające białe urządzenie (119 x 88 x 88 mm), które waży zaledwie 252 g. Zaletą tego modelu jest przetwornik 1/3" 4MP Progressive Scan CMOS. Jego zastosowanie przez producenta sprawia, że obraz o rozdzielczości 1920 x 1080 zawiera bardzo wiele szczegółów. Kamery można więc używać zarówno do monitoringu domu, jak i np. małego sklepu. Urządzenie nieźle działa również nocą, wykrywając obiekty znajdujące się w odległości ok. 10 m od kamery.

Prosta w konfiguracji EZVIZ C6N 2K oferuje również funkcję aktywnego śledzenia obiektów. Po jej

aktywowaniu, gdy tylko kamera wykryje potencjalnego intruza, obraca się, ustawiając obiektyw tak, aby nie stracić go z pola widzenia. Filmiki dokumentujące potencjalne incydenty są przechowywane na karcie pamięci lub w chmurze producenta. A użytkownik może otrzymywać powiadomienia o potencjalnym zagrożeniu na telefon/tablet.

Urządzenie ma także wbudowany mikrofon oraz głośnik, dzięki którym można poprosić czworonoga, by darował życie kanapie, lub próbować zdalnie wychowywać dzieci. Przydatną funkcją w czasach wszechdobrych hakerów jest też tryb prywatności, który sprawia, że kamera przestaje nagrywać, gdy nie chcemy się zastanawiać, kto jeszcze żyje naszym życiem.

Wady? Ceny przechowywania plików w chmurze mogą okazać się dla niektórych użytkowników zbyt wysokie. Szkoda, że producent nie załącza w zestawie choćby 16-gigabajtowej karty. Warto więc od razu przy zakupie tego modelu dokupić jeszcze kartę pamięci o pojemności 256 GB.

Biorąc pod uwagę plusy i minusy, a zwłaszcza stosunek ceny do jakości obrazu oraz liczby funkcji, kamera zasługuje na uwagę miłośników inteligentnego domu. A także wszystkich tych, którzy chcą spokojnie spać/pracować, wiedząc, że np. u niepełnosprawnego krewnego wszystko jest w porządku, a pies ciągle jeszcze nie zjadł kota. Za testowany model trzeba obecnie zapłacić 189 zł. ©

Jacek Przybylski



SŁUCHAWKI Z OCZYSZCZACZEM POWIETRZA

Pandemia oficjalnie się kończy, a maseczki są już w większości miejsc oficjalnie niepotrzebne. Mimo to brytyjski producent odkurzaczy, suszarek i innych urządzeń zaprezentował wyjątkowo nietypowe urządzenie, będące połączeniem słuchawek z technologią aktywnej redukcji szumów wraz z oczyszczaczem powietrza. Według producenta futurystyczny gadżet

potrafi usunąć nawet 99 proc. szkodliwych związków, w tym koronawirusy. Po pandemii urządzenie o nazwie Dyson Zone może przydać się alergikom, a także innym osobom mieszkającym w miastach, w których regularnie przekraczane są dopuszczalne poziomy zanieczyszczenia powietrza. Słuchawkooczyszczacz z czterema trybami filtracji powietrza ma trafić na rynek jesienią obecnego roku. Cena na razie nie jest znana.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

KASK W WERSJI SMART

Osoby jeżdżące na rowerach, elektrycznych hulajnogach, wrotkach etc., które chcą poczuć się bezpieczniej na drodze, mogą kupić nowy „inteligentny” kask. Według producenta Kask Relee M1 to pierwszy produkt tego typu, który łączy w sobie wszystkie potrzebne elementy. Nowy gadżet został więc wyposażony m.in. w kamerę, diody LED, światło stopu, kierunkowskazy, a także w mikrofon i głośniczki, które pozwalają łatwiej komunikować się ze światem podczas jazdy. Kask ma trafić do kupujących w maju obecnego roku. Cena na jednym z portali crowdfundingowych wynosi 79 dol. (równowartość 331 zł). ©

Jacek Przybylski

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



**TYLKO
U NAS !**

Jacek Bartosiak – Wnioski z rosyjskiej agresji
Steve Lee Myers – Od kagebisty do prezydenta
Mikołaj Iwanow – Putin w butach Stalina
Piotr Zychowicz – 2014: Rosjanie na Krymie
Arkadiusz Karbowski – Jątka w Czechenii
Jakub Ostromęcki – Uwaga! Wagnerowcy
Tomasz Stańczyk – Pakt Piłsudski-Petlura
Maciej Rosalak – Wojny Polski z Rosją
Rafał A. Ziemkiewicz – Czy Polska będzie mocarstwem

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Ważną częścią świątecznego stołu jest jego dekoracja. Kwiaty – najlepiej świeże, wiosenne, w słonecznych kolorach, zieleni bukszpanu, rzeżuchy, kolorowe pisanki cieszą oczy. Starannie złożone serwetki – najlepiej tekstylne, białe, by swoim kolorem nie przytłumiały bogactwa potraw – powinny uzupełniać odświętną zastawę. Za stołem spędzimy dłuższy czas – dobrze jest więc zadbać o to, by był piękny. Na pewno są u was w domu porcelanowe figurki zajączków czy baranków – można je ładnie wkomponować w nakrycie stołu.

Zazwyczaj w te święta Zmartwychwstania Pańskiego nie szykujemy obfitych obiadów. Dlatego też dziś chcemy wam polecić danie lekkie, a pełne smaku. Pomysł na nie Ania przywoziła z Monako, gdzie ostatnio była.

Otóż zwiędając starówkę, szukała jakiejś restauracji z wi-fi, ponieważ w Monako, kraju nienależącym do EU, obowiązują dużo wyższe stawki za Internet. Musiała coś pilnie wysłać e-mailem i wstąpiła tylko na kawę, ale gdy zobaczyła, jak wygląda płat du jour, czyli danie dnia, zmieniła zdanie.

Na przystawkę suflet z małżami św. Jakuba, nieduży, o średnicy kilku centymetrów i takiej samej wysokości, podany na świeżych liściach sałaty, był wyśmienity. Danie główne zaś było absolutnie genialne. Na podłużnym talerzu ustawiony był rondelek, a w nim w złocistym sosie maślanym zanurzone były kawałki białej, delikatnej ryby. Obok na talerzu ułożone w niewysoki pierścień

SIOSTRY GOTUJĄ

Wielkanoc

spoczywały podpiekane warzywa. Do tego świeża bagietka, która tylko tam tak wyborne smakuje. Ryba była smaczna – nie wiemy, jak się nazywała, ale kluczem do tej potrawy był sos. Francuzi umieją robić sosy i nie oszczędzają na maśle! Gdy ryba już zniknie, w sosie macza się kawałki pieczywa i można wyjść sos do ostatniego mażnięcia bagietką.

Podajemy przepis na sos, który naszym zdaniem mogłby mniej więcej wyjść tak, jak tamten w Monako, bo szef kuchni za nic nie chciał podać przepisu.

Składniki:

- 5 łyżek masła • 2 płaskie łyżki mąki pszennej • 1 szklanka bulionu lub rosółu • 1/3 szklanki śmietanki 18-procentowej
- 1 żółtko • 3 łyżki soku z cytryny
- 1 łyżka posiekanego koperku
- przyprawy: sól, pieprz, cukier,

gałka muszkatołowa, kurkuma

W garnuszku rozpuszczamy masło, wysypujemy mąkę i cały czas mieszając, gotujemy przez ok. 1 minutę.

Dolewamy bulion lub rosół i nadal cały czas mieszamy.

W osobnym kubeczku widelcem mieszamy śmietankę z żółtkiem, a następnie wlewamy

do garnka, mieszamy i gotujemy, aż sos zgęstnieje.

Dodajemy sok z cytryny, posiekany koperek, szczyptę kurkumy oraz gałki muszkatołowej, mieszamy. Całość doprawiamy do smaku solą, pieprzem oraz cukrem.

Smacznego! ☺☺



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Włączyć wszystko

Ekskluzywny, czyli odgradzający się od ogółu, przeznaczony dla zamkniętej grupy – wyjaśnia Słownik Języka Polskiego PWN. Znamy wszyscy to słowo – określa coś eleganckiego, drogiego, luksusowego. Zrobiło karierę, ale sponiewierało się i straciło sens na skutek panoszenia się w reklamie i marketingu jako hasło sprzedające wszystko, co chce uchodzić za luksusowe.

Co innego inkluzywny. Tego przymiotnika słownik PWN w ogóle nie zna. Nic dziwnego – nie ma prawa znać, gdy spojrzeć na datę wydania monumentalnego dzieła – rok 1978. Słownik zna tylko inkluzję – „włączenie czegoś”. A także wyjaśnia, że to termin logiki matematycznej: „stosunek między dwoma zbiorami polegający na tym, że jeden z tych zbiorów zawiera się w drugim”.

Tymczasem inkluzywny triumfuje ostatnio, gdziekolwiek spojrzeć, nie tyle w reklamie, jak jego kolega antonim, bo tam mało kto by je rozumiał, ile w języku mediów i socjologii. Inkluzywny to taki, który niczego, nikogo nie wyłącza. Bierze wszystko. Wszyscy równi: czarny, żółty, skośnooki, ślepy, chromy, otyły, niepełnosprawny, trans. Nawet kobieta. Perfumy nie mogą już nazywać się orientalnie – Shalimar, Black Opium. Klienci ze Wschodu mogliby się poczuć urażeni.

Próbując wyznaczyć datę urodzin tego nowotworka, postawiłabym na powstanie ruchu BLM. Black Lives Matter – przypominam, jakby



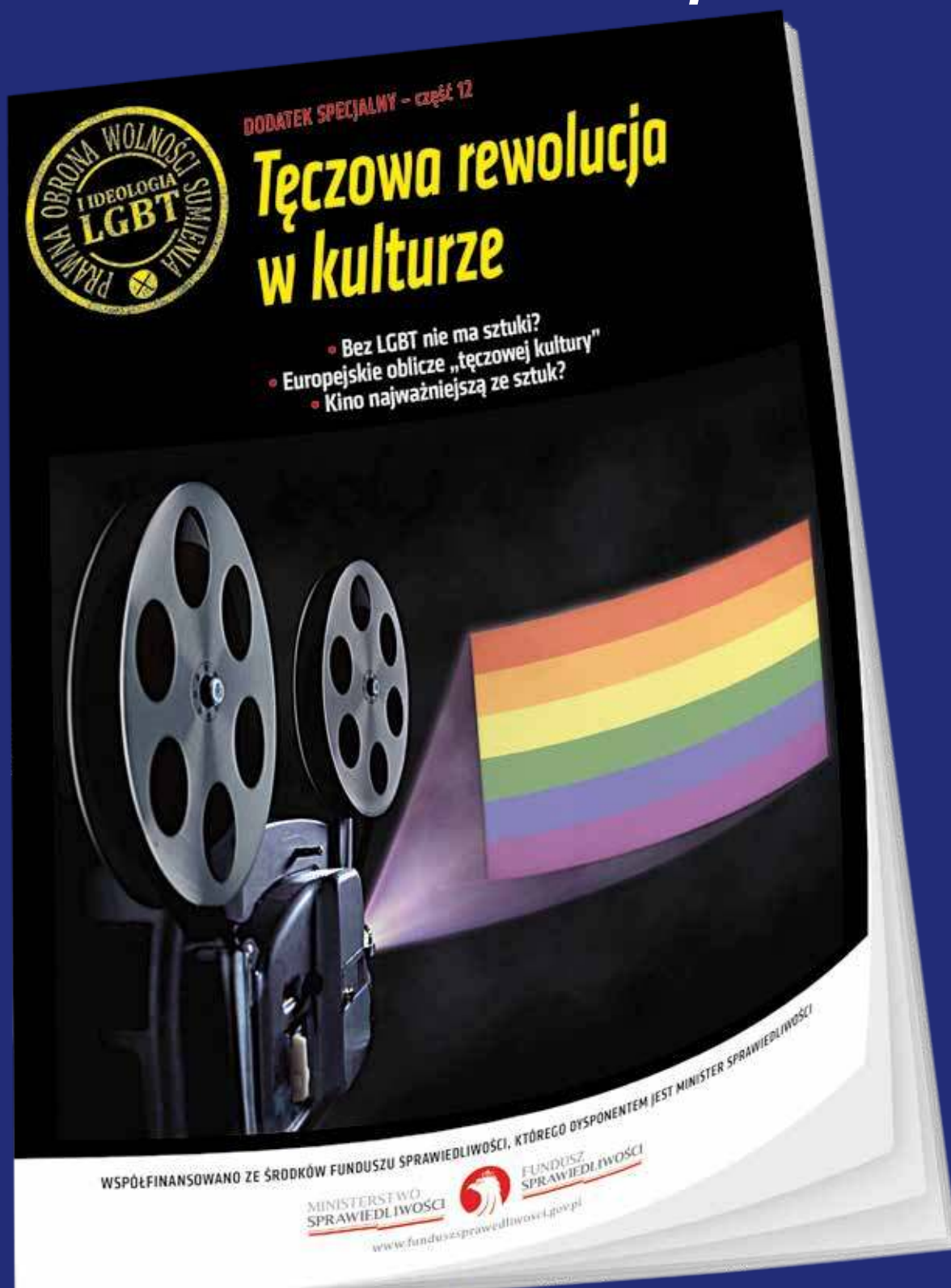
FOT. ADAM STOK

ktos zapomniał, gdyż wojna na Ukrainie niejako wymazała z naszych głów wszelką niedawną historię. Właśnie wtedy, 6 czerwca 2020 r., wzniosła się najwyższa fala ostrożności językowej. Political correctness dawno szalało na amerykańskich uniwersytetach, gdzie należało się ostro pilnować, żeby nie palnąć niestosownego żartu. Jednak razem z BLM nastał terror. W korporacjach pojawiło się stanowisko „chief diversity officer”. To facet (lub facetka), który ma czuwać nad tym, żeby atmosfery nie zepsuła żadna aluzja, przytyk do kwestii rasowych, orientacji seksualnych, pochodzenia czy wyglądu zewnętrznego.

Teraz firmy już antycypują ewentualne oskarżenia o nieinkluzywność. Giganty informatyczne, Disney, Coca-Cola skanują możliwe sytuacje, w których w ich firmach mogłoby dojść do naruszenia praw kogokolwiek. Pilnujcie, czy przypadkiem wasza sytuacja w firmie nie ma związku z uprzywilejowaniem rasowym czy narodowościowym. Czy drzwi nie są aby za wąskie dla osoby otyłej?

Raso kaukaska, bądź czujna, czy nie obrażasz! Tylko ruscy mordujący Ukrainę są wolni od takich wątpliwości. ☺☺

Już 19 kwietnia w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl ff6ce59dde



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Burzliwe dzieje Makarowa



JACEK KOMUDA

Makarów, położony na zachód od Kijowa, już w XVI w. miał burzliwą historię, przechodząc z rąk do rąk i stając się kolejnymi siedzibami kresowych awanturników. Najślawniejszym z nich był Samuel Łaszcza, warchoł, ale i zawołany żołnierz, który podbił delię wyrokami, ale dopóki otoczony był opieką hetmana Stanisława Koniecpolskiego, dopóty mógł drwić sobie z sądów; miał zaś na sobie 237 banicji i 37 infamii.

Makarów nie był jednak własnością rodową Łaszcza. Pierwotnie zwał się Woronin i należał do niejakiego Iwaszeńcewicza, później zaś do jego potomków. Rodzina pochodziła z Litwy, jednak Makar Iwaszeńcewicz już ok. połowy XVI w. przeniósł się na Ukrainę i zamieszkał w Woroninie, który od tego czasu zwany był właśnie Makarowem. Jego syn, sędzia ziemski miński Andrzej, zmienił nazwisko na Makarewicz. Syn tegoż, Mikołaj, ożenił się z Anną Charłęską i nad rzeką Zdwiz wznosił drewniany zameczek obronny.

Wkrótce Makarów staje się areną rodzinnej wojny. Najpierw bowiem jeden z synów, Krzysztof, zabija brata Aleksandra w konflikcie o granice, potem trzeci brat, Andrzej, zaciaga się

do wojska i ginie na Wołoszczyźnie. Wówczas ojciec żeni się po raz drugi, dochowuje się syna Jerzego i dwóch córek. Kiedy stary Mikołaj umiera w 1621 r., wdowa po nim przejmuje Makarów i inne włości, wkrótce także odchodzi, pozostawiając miasteczko w ręku Jana Aksaka, opiekuna małoletniego syna Jerzego. Niestety, przyrodni brat Krzysztof w 1624 r. zajeżdża Makarów i wydziera go z ręki opiekuna.

Nie kończy to jednak porachunków. Jerzy, który przebywał na Akademii Krakowskiej, wraca w rodzinne strony i uzyskawszy pomoc od Jana Aksaka, dawnego opiekuna, w 1632 r. odbija włość, jednak zostaje postrzelony z rusznicy i umiera.

Miasteczko trafia zatem znowu do rąk Krzysztofa, który toczy długie spory z przyrodnimi siostrami. Co więcej, mają one podłoże religijne; Krzysztof jest protestantem, siostry katoliczkami, ponieważ jego ojciec, Mikołaj, porzucił prawosławie, później zaś wdowa po nim przeszła z kolei na katolicyzm. Ostatecznie rodzina godzi się z nimi i Krzysztof wydziela siostrom dwie części Makarowa.

Wtedy miasteczko kolejny raz staje się przedmiotem sporu. Najstarsza z sióstr, Helena, która wyszła za mąż za Waleriana Łaszcza, zostaje zaatakowana przez jego krewnego – owego niesławnego Samuela, który żąda odstąpienia części Makarowa. Następnie zajeżdża jej dwór, otacza strażą i każe morzyć głodem, aby wymusić oddanie włości, wreszcie wywozi gwałtem za granicę dóbr. Jej młodszą siostrę, Krystynę, która przebywa w zakonie w Kijowie, traktuje podstępem. Namawia na oddanie jej części Makarowa, a kiedy niewiasta podpisuje stosowne dokumenty, nie wypłaca jej pieniędzy.

Ostatnim konfliktem Łaszcza jest awantura ze starym Krzysztofem Makarewiczem, który posiadał zapewne jakąś część miasteczka. Pan Samuel zajeżdża go w Borodziance i potem oblega w Andrzejówce, otaczając takimi strażami, że przeciwnik boi się ruszyć za próg dworu. Wreszcie wymyka się cichaczem i jedzie do Warszawy, by upomnieć się o swoją krzywdę, pod opiekę wuja Krzysztofa Charłęskiego, starosty horodelskiego. Tam umiera w 1641 r., zapisując mu Makarów, gdyż nie ma potomstwa.

Tymczasem miasteczko staje się siedzibą hultajskiej kompanii Łaszcza, który – jak pisze Joachim Jerlicz – „na majątności szlachty najeżdżał i na domy, gwałty czynił, mordował, uszy i nosy obrzywał, gwałtem panny i wdowy biorąc, za swoje oprawce oddawał, które się dla rozbojów i szarpaniny przy nim bawiły. Niecnoty banici Wołosza, Tatarzy, rozbójnicy, złodzieje; pocziwego człowieka ani pytał”. Łaszcza grasuje do roku 1646, kiedy umiera jego protektor, hetman Stanisław Koniecpolski. Wówczas wojewoda kijowski Janusz Tyszkiewicz zwołuje ogromną wyprawę – ponad 12 tys. szlachty uderza na Makarów, Łaszcza nie próbuje się bronić, ucieka, pozostawiając na miejscu żonę, która pada do nóg zdobywcom i zostaje wygnana z miasteczka. Charłęski obejmuje zatem zameczek we władanie i natychmiast popada w konflikt z żyjącą jeszcze Heleną Łaszcżową, którą popiera w dodatku siostra – zakonnica Krystyna. Od kolejnej wojny rodowej ratują ich Kozacy, którzy w 1648 r., w czasie powstania Chmielnickiego, zajmują Makarów, czyniąc z niego siedzibę sotni pułku kijowskiego.

Wkolejnych latach Makarów przechodzi z rąk do rąk – w 1660 r. stoi tu polska załoga wojskowa, potem Kozacy, wreszcie zameczek odzyskuje Jan Piwo. Po zakończeniu wojen z Turcją wybucha konflikt pomiędzy potomkami Heleny Łaszcżowej i sukcesorami Krzysztofa Charłęskiego; kończy się podziałem włości pomiędzy wszystkich. Zrujnowany Makarów odbudowuje się dopiero w połowie XVIII w., w czasie Koliwuszczyzny zostaje jeszcze splądrowany przez hajdamaków niejakiego Bondarenki. Ostatnio cudem uniknął zaś zajęcia przez Moskwę w czasie wojny 2022 r. ©



FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. MART

I RZECZYPOSPOLITA

• Makarów



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Niemcy, stłuczcie już ten termometr!

Mamy ciekawą sprzeczność. U nas wirus w odwrocie, a u Niemców po 200 tys. zakażeń dziennie. Czy my z lepszej gliny i koronawirus nas się nie ima czy oni coś tam robią gorzej, a my lepiej?

No, jedyna różnica jest taka, że oni tam testują, a my, jako chyba przedostatni, zesłaliśmy z podium testozy i odpuściliśmy sobie badanie na omikrona, czyli tropienie trzydniowego kataru z chrypką. Ja już pisałem ostatnio o pamiętnym powiedzeniu Wałęsy w trakcie „wojny na górze”: „Nie chcesz mieć pan gorączki, to stłucz pan termometr”. I Niemcy mają wyraźnie „gorączkę”, bo wciąż mierzą tę temperaturę.

Kwestia testów została już objawiona, również w komunikacie polskiej Agencji Oceny Technologii Medycznych, która wykazała ich niemiarkodajność w tym, że fałszywie pozytywne testy dochodziły do 90 proc., i zniósła wymóg ich przeprowadzania, nie tylko wobec bezobjawowych „chorych”, lecz także objawowych. Tych ostatnich dotąd, np. przy przyjmowaniu do szpitali, z pozytywnym wynikiem odsyłało na oddziały covidowe zamiast na leczenie ich zasadniczych chorób, co doprowadziło do śmiertelnych żniw. Teraz, nawet gdy masz pozytywny test i objawy, a jesteś z grupy ryzyka, to – uwaga! uwaga! eureka! – położą cię jednak z zawalem serca na kardiologii, a nie jak dotychczas w umiarkowanym covidowym oddziale.

Ale Niemcy wciąż używają tego termometru. I mają kłopot. Bo nie wiedzą, co

zrobić. Wprowadzić – znaczy: kontynuować – obostrzenia trochę głupio, bo świat od tego odchodzi. Dalej testować, mieć takie wyniki i nie reagować – to jakiś głupi Jasio zada fundamentalne pytanie: Jak to jest, że przy 200 tys. zakażeń dziennie pół roku temu zamykaliście wszystko, a po pół roku wszystko otwieracie?

Wyjście jest proste, ale oznaczałoby ono katastrofę: przyznanie się do uporczywego tkwienia w błędach przez całe dwa lata.

Wszystkie kraje, które odešły od obostrzeń, nie zaczęły od zniesienia lockdownów czy kwarantann, ale od likwidacji źródeł tego interesu – zaprzęstały testowania oraz publikacji tak uzyskanych wyników. Dowiedziona już, zawyżająca „pandemiczność”, fałszywość testów skłoniła do odejścia od traktowania ich jako „złotego standardu”, a po likwidacji cudów pt. „Bezobjawowy chory” i sprawdzaniu podejrzeń o infekcje za pomocą prześwietleń płuc okazało się, że w ten cudowny sposób koronawirus został zredukowany do skali sezonowej grypy i „zwyczajnej” infekcji dolnych dróg oddechowych.

W ten sposób uniknęlibyśmy tej dwuletniej gehenny i rekordowych śmierci ponadnormatywnych. Możemy więc popatrzeć na Niemcy, ostatni chyba kraj, który się męczy sam z konsekwencjami własnych decyzji. Patrzymy również po to, by zapamiętać, gdy pojawi się pod koniec roku sezonowa grypa, do czego prowadzi trzymanie się wciąż tych samych nieskutecznych środków. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Wynik fałszywie dodatni

Wchwili, gdy wychodzą na światło dzienne przykłady ludobójstwa i trudnego do wyobrażenia bestialstwa ruskich żołdaków, pisanie o tym, że wojna pośrednio uleczyła polskie media z pandemicznej hysterii, jest zajęciem nieco ryzykownym. Faktem jednak jest, że już nie tylko media, lecz także instytucje podległe resortowi zdrowia zakwestionowały istnienie strasznie śmiertelnej zarazy. 22 marca Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji opublikowała „Zalecenia postępowania diagnostycznego w sytuacji zmniejszenia zagrożenia epidemicznego związanego z COVID-19”.

Dokument powstał w dniach, gdy liczba zakażeń (czytaj: pozytywnych testów) wciąż oscyluje w okolicy 10 tys. i odnotowywanych jest ok. 80 zgonów. Dla porównania: pod koniec marca 2020 r., gdy obowiązywał pełen lockdown, liczba wykrytych zakażeń nie przekraczała setki, a zgonów było kilkanaście.

I teraz, o czym informuje AOTMiT. Otóż konkluzją zalecania jest przyznanie, że testowanie osób bezobjawowych może prowadzić do uzyskania wyników fałszywie dodatnich, co z kolei może opóźnić planowe hospitalizacje i leczenie podstawowych chorób pacjenta, wpływając na pogorszenie stanu zdrowia. Dokument nie zaleca nawet rutynowego testowania osób z objawami, gorączką itp. Tym samym dokument (podpisany również przez prof. Andrzeja Horba-

na) przyznaje, że polityka walki z pandemią oparta na dogmacie, że o chorobie nie decydują objawy i dokładne zbadanie pacjenta, lecz test PCR, okazała się jednym gigantycznym blefem.

Z tego wynika, że wszystkie rujnujące życie kwarantanny w ogromnej mierze dotyczyły osób niezakażonych. A więc dwa lata demolowania nam życia, rujnowania gospodarki, paraliżu opieki zdrowotnej, demontażu więzi społecznych i siania paniki w mediach opierały się na danych epidemiologicznych uzyskiwanych narzędziem fałszującym rzeczywistość. Grono odważnych lekarzy, mówiąc dokładnie to, o czym dziś informuje Agencja, zostało napiętnowanych hejtem, nazwanych foliarzami, szurami, ściągnięto na siebie trwające do dziś postępowania dyscyplinarne.

Jest jeszcze jeden, najbardziej ponury aspekt sprawy, o czym zresztą delikatnie nadmieniał komunikat Agencji. Chodzi o „pogorszenie stanu zdrowia” pacjentów, których nie leczono ze względu na niesłusznie nałożone izolacje, zamknięte oddziały szpitalne – bo personel na kwarantannie itp. Wiemy niestety, że u ponad 150 tys. pacjentów owo pogorszenie stanu zdrowia było tak radykalne, że zakończyło się zgonem.

Przy akompaniowaniu wybuchających rakiet i opłakiwaniu ofiar rosyjskiego ludobójstwa decydenci odpowiedzialni za paraliż opieki zdrowotnej, a w konsekwencji nadmiarowe zgony po cichutku przyznają, że zaszła pomyłka. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Niedokładnie umieranie

Czas to Wielki Weryfikator. Taka Symborska to dostała Nobla za poezję, za ogólną wspaniałość, mądrość. Teraz nie chce mi się wchodzić, co tam pisała kolanowo o wspaniałym Stalinie, o jego triumfach. Tu chodzi o wykazanie ewidentnej pomyłki naszej pieśniarki. Otóż w wierszu pt. „Rehabilitacja” napisała: „choć wiem, że kto umarł, ten umarł dokładnie”.

No właśnie nie. Nie będę tu przywoływać słynnego Diduszki, męża słynnej Diduszki, który umarł naprawdę, bo były zdjęcia. Widać też, że po zgonie z martwych sobie wstał, bo jest film. Tu chodzi o postać poważną, o polityka antypolskiego, sowieckiego Żyrinowskiego. Rosyjskie media kilkakrotnie podawały w ostatnim czasie, że nie żyje. Potem okazywało się, że żyje, a potem, że nie żyje, a potem, że – zaraz, powoli – jednak żyje. W końcu ostatecznie podały, że nie żyje. I tego się na razie trzymają, ale to Ruskie, więc nie wiadomo. Jak oszacowano, sytuacja Żyrinowskiego związana z wielkimi przenosinami zmieniała się pięciokrotnie. Można oczywiście nietaktownie natrząsać się, że Ruski nawet umrzeć nie potrafi, można też i trzeba wskazać na błędy merytoryczne poezji Symborskiej, owej „niedokładności” umierania, ale można na sprawę spojrzeć szerzej.

Jaka w istocie może być tajemnica jego bolesnych wskrzeszeń? Żyrinowski z pewnością język miał szyb-

szy niż umysł. I tym językiem w Rosji Putinowskiej chlapał, że Stalin był bardzo niedobry, zły i że be. Tu akurat nie kłamał, ale mówić to przy Putinie, ewidentnie zaczął zbrodniarzem? Niebezpieczne. Tym bardziej w czasach, w których potrzebna jest jedność. Więc może wskrzeszali go, żeby zmienił zdanie o oспowatym Gruzinie, a on nie chciał? Może teraz na przesłuchaniach ludzie sowieccy pytać będą: Czy chcesz umrzeć pięć razy? Ciekawe.

W dyskusji, czy kupować amerykańskie czołgi Abrams, pojawiły się nowe argumenty przemawiające na niekorzyść zakupów. 250 tych najnowocześniejszych na świecie czołgów ma kosztować 20 mld zł, ale nie chodzi nawet o cenę, a skuteczność czy – jak to mówią z marketach budowlanych – o relację ceny do jakości. Wojna na Ukrainie i filmy, które obserwujemy, wydają się wskazywać, że traktory są jako drapieżniki dużo skuteczniejsze od czołgów. Widzieliśmy już setki filmików, na których potężny traktor ciągnie ruski bezbronny czołg za lufę, żeby po pogadance, co jest dobre, a co zbrodnicze, czołg zrozumiał, że stał po złej stronie i przeszedł na właściwą. Traktory są więc nie tylko wielozadaniowe, nie tylko tańsze, lecz także mają pedagogiczne talenty. Sprawa do przedyskutowania. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Zbawienny kompleks niższości

Małgośka – mówią mi – coraz trudniej o nadzieję w tych parszywych czasach. No więc markotnym czytelnikom, których nie ucieśzą już nawet „Alleluja!” ani wielkanoce jajeczko, przypominam za ks. Twardowskim: „W życiu najlepiej, kiedy jest nam dobrze i źle, bo kiedy jest nam tylko dobrze – to już niedobrze”. Filozoficzna głębia tego zdania bije na głowę Sokratesów i Kierkegaardów, a nawet pozwala przetrwać każdą wizytę u dentysty.

No bo cóż w tym dziwnego, że świat nagle przestał się kręcić na naszych warunkach i trzeba pogodzić się z tym, że nie mamy kontroli nad niczym? Wydawało się, że tacy z nas doświadczeni mędrcy, a tymczasem w sytuacji wojny znów bezradni jesteśmy jak dzieci. I w tym też tkwi jakaś nadzieja, bo laicyzujący się przez pandemię lud Boży powrócił chyłkiem do ołtarzy, przypominając sobie w porę, że warto mieć kompleks niższości wobec Pana Boga, zwłaszcza gdy obok trwa demoniczna demolka.

Czy nam się to podoba czy nie, Putin lepi nas na nowo swoimi łapskami i wykluwamy się na nowo także jako naród. I przyjdzie nam dopiero zobaczyć, czy staliśmy się lepszymi ludźmi. Na razie mamy powód do dumy z postawy naszych władz, z nas samych i z tego, że Polska nie patrzy beczynnie na tę via dolorosa, którą przechodzi teraz Ukraina.

Staramy się być Szymonem Cyrenejczykiem dla Ukrainy i mnie to, przyznam, wystarczy, aby mieć nadzieję na przyszłość. Siedząc codziennie w prasie zagranicznej, czytając opinie „starych Europejczyków”, naprawdę odczuwam ogromną ulgę, że jestem właśnie z tego narodu, który ma zupełnie inne tiki i inaczej uformowane sumienie.

Wojna nie tylko zerwała ludziom maseczki antywirusowe, lecz także maski całym narodom. Oczywiście, aby nam się zbyt łatwo nie popadło w pychę, Bozia dopuściła opozycję totalną wprost z ostatniego IX kręgu piekła Dantego (miejscówka dla zdrajców ojczyzny). Nie widać też niestety na horyzoncie żadnego nowego Herberta, który mógłby napisać kolejny „Raport z oblężonego miasta”. Za to zmuszeni jesteśmy czytać twitterowe rzygowiny Lisa, Giertycha, Tuska et consortes. Stąd też promyk nadziei, że do wojny na naszym terytorium nie dojdzie, bo już samo posiadanie tak barbarzyńskiej opozycji wyczerpuje rezerwuariusz plag, które spadły i spaść mogą na nasz kraj. I oświadczenie mam nadzieję, że zostaną z tym kursem samoobrony krav magi i patentem strzeleckim jak Himilbach z angielskim. Happy endu nam trzeba. I właśnie te święta go przynoszą. Patrząc na Kreml i Kijów, nie przegapmy cudu pustego grobu. ©©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Mackiewicz pyta o Putina

Po czyjej stronie opowiedziałby się Mackiewicz w wojnie, która toczy się teraz w Europie Wschodniej? Zadałem to pytanie na konferencji ku czci autora „Drogi donikąd” 31 marca w Sejmie. Wydaje mi się ważne dla oceny nie Józefa Mackiewicza, tylko naszej obecnej sytuacji.

Autor „Lewej wolnej” jest najwybitniejszym powieściopisarzem polskim drugiej połowy XX w. Jego opowiadanie „Ponary-baza” jest najbardziej wstrząsającym zapisem ludobójstwa dokonanego na Żydach przez Niemców (i ich „podwykonawców”) w całej literaturze. A jednak wkrótce po zobaczeniu tej straszliwej zbrodni Mackiewicz uznał za potrzebne poszukiwanie porozumienia z niemieckimi ludobójcami. Dlaczego? Bo za zło bardziej uniwersalne, absolutne uznał komunizm. Stał się jednym z pierwszych świadków zbrodni w Katyniu. Był temu świadectwu wierny. Odczytał z niego jeden obowiązek – moralny i polityczny: konsekwentny antykomunizm.

W imię tej postawy nie tylko zrelatywizował (politycznie) znaczenie zbrodni III Rzeszy, lecz także ugruntował wcześniej już przyjętą postawę antynacjonalizmu. Każdy przejaw przywiązania do tożsamości narodowej uznawał za kładkę przerzuconą w stronę komunistycznego podboju. Pierwszym przykładem owego nacjonalistycznego uprzedzenia, które pomogło przetrwać komunistycznemu molochowi, było według niego postępowanie Piłsudskiego w roku 1919. Do tajnych rozmów między wysłannikami polskiego Naczelnika Państwa z agentami Lenina – o taktycznym przerwaniu działań wojennych na froncie polsko-bolszewickim – dorobił Mackiewicz prostą interpretację: Piłsudski jako polski nacjonalista uratował komunizm od upadku.

Nie chciał pomóc „białym” generałom, którzy prowadzili wtedy ofensywę na Moskwę Lenina, gdyż nienawidził i bał się tylko Rosji, a nie docenił grozy bolszewizmu.

Ta podchwytyną do dzisiaj teza, choć krytykowana nawet przez historyków tak bliskich autorowi „Drogi donikąd” jak Zbigniew Siemaszko, wyraża niewątpliwie ściśle inny, bardziej ogólny pogląd Mackiewicza na kwestię źródła owego największego zła w doświadczeniu XX w. Tym źródłem jest dla pisarza wyłącznie Zachód. Rosja była zawsze tylko ofiarą. Urodzony w Petersburgu w 1902 r. Józio przeniósł się do Wilna w wieku siedmiu lat, kiedy wskutek rewolucji 1905 r. po raz pierwszy od blisko pół wieku wolno było w ogóle odezwać się po polsku. Wcześniej było to całkowicie zakazane – nie przez komunistów, tylko przez carskie władze, prowadzące twardą politykę walki z polskością (i nie tylko) co najmniej od momentu rozbiorów. Tego Mackiewicz nie chciał widzieć. Uważał – i pisał o tym wielokrotnie w polemikach z emigrantami polskimi, którzy jego ślepej miłości do Rosji nie podzielali – że Rosjanie nigdy nie byli groźnymi wrogami, że są nie tylko ofiarą komunizmu, lecz także budowanych od wieków przez Kościół katolicki uprzedzeń wobec świata prawosławnego, wobec europejskiego wschodu, ustawianego przez propagandę „łacinników” w roli podludzi, barbarzyńców, urodzonych niewolników (najdobitniej wyłożył ten pogląd w artykule „Tak zwany Wschód europejski” z maja 1957 r.). Komunizm i jego zbrodnie nie mają nic wspólnego z rosyjskością, z rosyjską tradycją – to było cały czas przez Mackiewicza podkreślane.

Skąd się zatem wziął komunizm? Oczywiście z Zachodu, przywiezio-

ny w teczce Lenina ze Szwajcarii, z Niemiec, z Paryża. Głębiej do owej „teczki” Mackiewicz nie zaglądał, nie odpowiadał na pytanie, skąd się tam wzięła ta straszna ideologia. Odrzucał interpretację, którą budowali konserwatywni myśliciele, tacy jak m.in. Marian Zdziechowski. Ten ostatni, podobnie jak przed nim Krasiński, wskazywał, że źródłem komunistycznej ideologii jest bunt przeciwko Bogu, że komunizm zwraca się zwłaszcza przeciw religii, wiążącej człowieka z obiektywnym ładem moralnym. Mackiewicz, w polemice ze Zdziechowskim, stawiał tezę, że komunizm w ogóle nie walczy z religią, tylko z człowiekiem (za głównych kolaborantów komunizmu uważał prymasa Wyszyńskiego i Jana Pawła II).

Czy dziś uznaliby Putina za obrońcę ostatniego szanśa przed agresją komunizmu, który przychodzi znów z Zachodu? Przecież tak przedstawia się sam Putin: „cancel culture” i neo-marksizm jest u was, na Zachodzie, w waszych mediach, instytucjach politycznych i akademickich, a Rosja, tak tragicznie doświadczona przez komunizm, odrzuciła zdecydowanie i na zawsze to zło... Co do pierwszej części tego zdania trudno się spierać. Ale czy druga jest prawdziwa? Czy można zrozumieć rosyjską agresję na Ukrainę (i nie tylko) wyłącznie jako obronę przed wirusem bolszewickim w nowej mutacji, wciąż wstrzykiwanym z Zachodu? Czy ma jednak znaczenie ta tradycja, na którą powołuje się sam Putin i którą przyjmują miliony jego poddanych – tradycja rosyjskiego imperium, Aleksandra Newskiego, Iwana Groźnego, Katarzyny Wielkiej, w końcu – Stalina (ale nie jako „genseka”, tylko jako najskuteczniejszego wodza imperium)? Próbuję odpowiedzieć na to pytanie w nowej książce pt. „Polska i Rosja. Sąsiedztwo wolności i despotyzmu X–XXI w.”. Kto ciekaw – zajrzy. ©©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Hillary Clinton wróciła do gry. Przegrała z Obamą, przegrała z Trumpem, teraz znowu chce wygrać. Bill Clinton mocno chory, a pogrzeb byłego prezydenta to byłaby doskonała promocja przy kampanii prezydenckiej Hillary – stalowa wdowa nad grobem, jak z serialu „House of Cards”.

Nie złała jej poniżające afery, gdy prezydent Clinton obcował z Monicą Lewinsky w schowku na szczotki przy Gabinetie Ovalnym. Hillary trwała przy mężu (lub raczej przy władzy) i potem osobiście niszczyła kolejne kobiety, które zeznawały, jak je Bill molestował. A Bill molestował wszystko, co się rusza. Latał wiele razy seksamolotem na seks wyspę niejakiego J. Epsteina, na którą dowożono nieletnie dziewczęta, dla wielkich tego świata.

Kolejne afery Clintonów pogrzebałyby każdego, a Clintonowie za każdym razem wstają z grobu. Hillary jest jak wampir – pogrzebana aferami, zakopana, zapomniana, a żyje i działa aktywnie. Chce być prezydentem.

Kilka dni temu udzieliła mocnego wywiadu w sprawie Ukrainy i ten wywiad to nieoficjalny początek jej kampanii wyborczej 2024. Wrzała, machała rękami, zaciskała pięści i krzyczała do kamery. Twarda, stanowcza i energiczna, czyli przeciwieństwo Joe Bidena. Demokraci mają wodza.

To było zaraz po tym, gdy w TV pokazano film z Buczy. Hillary Clinton była tego dnia najbardziej antyruskim politykiem na świecie. Ziała chęcią... ataku? odwetu? No w każdym razie ziała na Ruskich jak należy. Ziała jak... Polak. Mogłem się identyfikować, gdyby to nie



FOTO: W. CEJROWSKI / D. JAROSZAWSKI

była ta kłamliwa i nieszczerza Hillary, której nie wierzę.

Myślę, że zaciera ślady, tak aby niczego jej nie wspominać w kampanii. A jest co wypominać! Wcześniej przez wiele lat tuliła się do Rosji, ogłaszała reset w stosunkach z USA, traktowała Ławrowa jak przyjaciela. Teraz grzmi o potrzebie eskalacji wojny w kierunku większego zaangażowania Ameryki, bo Rosją rządzą bydlaki i zbrodniarze. No, owszem, rządzi i my to wiemy, ale Hillary nigdy wcześniej tak nie stawiała sprawy. Przeciwnie – krytykowała Reagana za politykę traktowania Rosji jako „Imperium Zła”. Mówiła, że z Rosją trzeba na miękko, bo to nie jest wróg, a jedynie „adwersarz”.

Joe Biden już kilka razy mówił, że nie będzie się ubiegał o reelekcję. Demokraci mieli z tym kłopot, bo z jednej strony Joe się nie nadaje na prezydenta i przegra (tak niskich notowań jak on nie miał nikt w historii Ameryki). Ale z drugiej strony kogo tu wystawić? Kamala Harris odpada, bo ma notowania jeszcze gorsze, czyli gwarantuje porażkę. U demokratów brak wodza, a po stronie republikańskiej dwóch potężnych – Trump i gubernator Florydy DeSantis.

W tej chwili Joe Biden jest największym obciążeniem dla demokratów i próbują się z niego jakoś wyplątać. W trakcie kampanii 2020 kryli go wszyscy, bo miał wygrać. Dlatego wielkie media i korporacje takie jak Facebook wyśmiewały oraz cenzurowały doniesienia o korupcji Bidena. Zamykano konta, na których

dziennikarze ujawniali fakty, ograniczano zasięgi dla filmów dokumentalnych i wywiadów ze świadkami. W tej chwili odblokowano wszystko, a wielkie media publikują materiały, które wcześniej same określały jako dezinformację.

Chodzi o to, by afery wokół Bidena wypaliła się teraz – na długo przed kolejnymi wyborami prezydenckimi. A kto tę historię przywoła w czasie następnych wyborów, wyjdzie na nudziarza i nikogo nie podnieci. Stary news nie będzie już nikogo kręcił.

Było tak: syn Bidena, Hunter, zaniósł do naprawy swojego laptopa. Zaniósł, a potem zapomniał odebrać. Jak to możliwe? Hunter to ćpun uzależniony od seksu i pornografii. Żadna tajemnica, sam wielokrotnie o tym opowiadał do kamery, a gdy się leczył, to wszyscy wiedzieli, że się leczy, a potem dowiadywali się, że leczenie nie było skuteczne. Życiorys Huntera jest pełen świństwa i nie stanowi tajemnicy.

Gdy technik zabrał do laptopa, przeraził się nielegalną zawartością i zadzwonił do FBI. Materiały z tego komputera dotarły do opinii publicznej, do Kongresu i Senatu, a zawierają dowody wielu przestępstw.

Klan Bidenów (główne postaci to bracia, siostra oraz syn Hunter) od lat wystawia Joe Bidena na wabia, zgarnia forsy i dzieli się z Joe Bidenem. Forsa płynie z wielu krajów, ale nas najbardziej interesują trzy: Chiny, Rosja i Ukraina.

Chiny: Joe Biden jako wiceprezydent USA w czasach Obamy leci do Pekinu z oficjalną wizytą. Na pokład zabiera syna Huntera, który poleciał

do Chin „w interesach”. Joe Biden mówi, że zupełnie nie wie w jakich, bo nigdy o tym z synem nie rozmawiał. Hunter nic nie umie, na niczym się nie zna, ale wraca z kontraktem na półtora miliarda dolarów. I nie pochwalił się tatusiowi w drodze powrotnej? Chińczycy nigdy nie oddają swoich pieniędzy do zarządzania w obce ręce – mogą kogoś dopuścić do swojej firmy, ale firmę zawsze kontroluje partyjny Chińczyk – a tu mamy do czynienia z przekazaniem kolosalnej kwoty pieniędzy wprost w ręce klanu Bidenów.

Rosja: merem Moskwy jest kumpel Putina. Żona mera Moskwy przekazuje klanowi Bidenów 3,5 mln dol. Są na to rachunki, zapisy bankowe, a Hunter nawet zapłacił w USA podatki od swojej doli. Klan Bidenów nie odpowiada na pytania, za co ta forsa. Dostali tak po prostu? Odpowiedzi zna Putin, czyli ma w ręku mocny lewar na Joe Bidena – podobny do tego, jaki mają Chińczycy.

Ukraina: Joe Biden gościł tam jako wiceprezydent, a jego syn Hunter dostał wtedy posadę w firmie zajmującej się ropą naftową. Ukraina ma swoich oligarchów, takich samych jak ci w Rosji, i oni wszyscy są nawzajem powiązani. Hunter w wywiadzie telewizyjnym przyznał uczciwie, że nie zna się na ropie, na wydobywaniu ani na handlu, więc dali mu tę pracę pewnie dlatego, że tatuś był wiceprezydentem USA. Na początek Hunterowi przelano kilka milionów dolarów, a potem co miesiąc pensję w wysokości 168 tys. Za co? Za bycie zatrudnionym w firmie jednego z ukraińskich oligarchów. Kolejny lewar w kolejnym kluczowym kraju.

My się w Polsce podniecamy, że Ameryka nas obroni przed Ruskimi, a Joe Biden chodzi tak, jak mu pozwalają te trzy lewary – robi, co każą, bo będzie musiał. © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

PIOTR GOCIEK
„CZARNE BATALIONY 2.0”
„WIDZENIE ENEASZA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

215,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 276 zł

~~491 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl ff6ce59dde

Energetykę odmieniamy przez Bałtyk

My już teraz odmieniamy energetykę i budujemy największą polską farmę wiatrową na Bałtyku.



Prowadzimy w zielonej zmianie